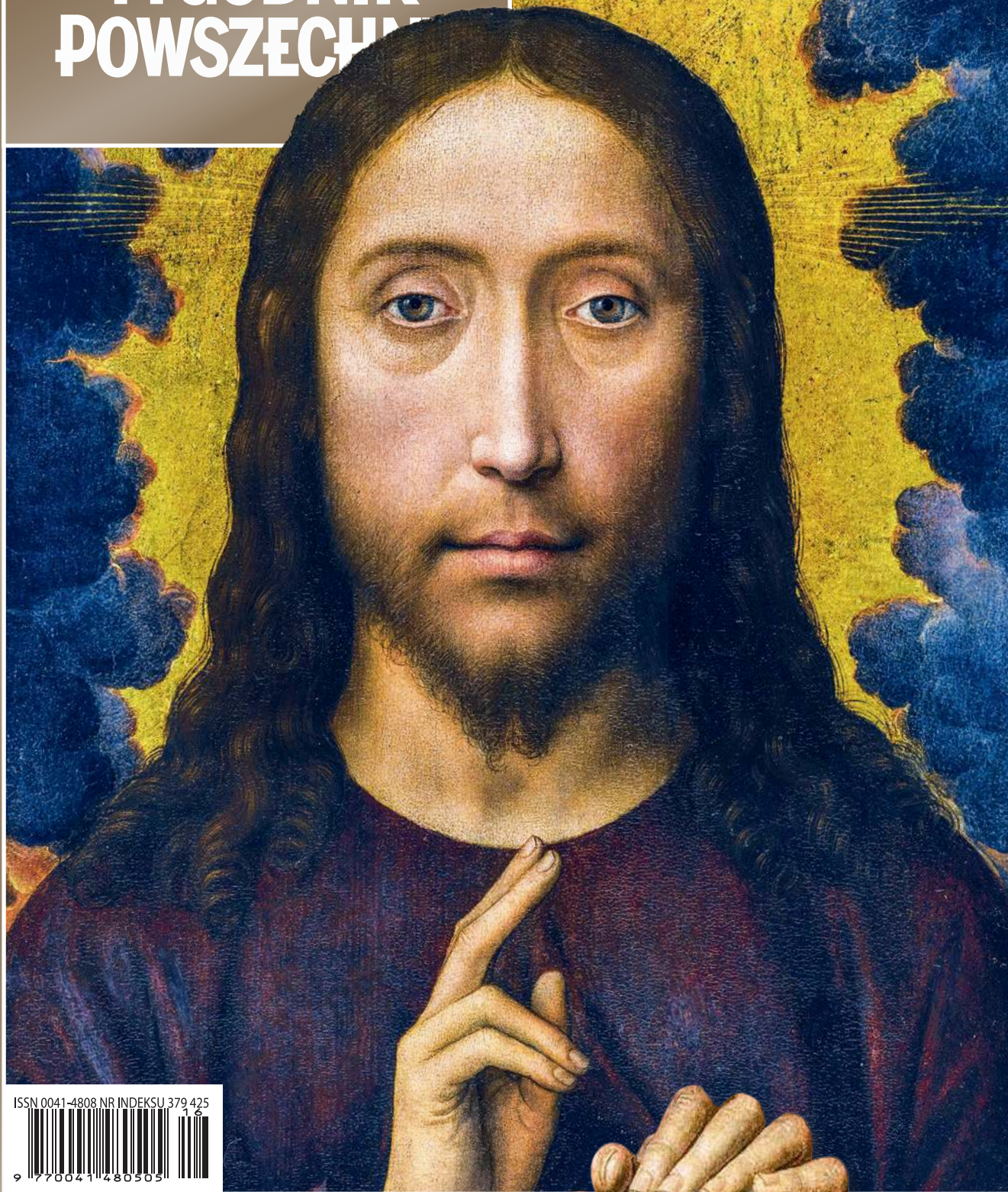


MOC CZYTANIA PRZEWODNIK PO TRIDUUM | KAMPANIA BEZ MIJANKI
JAK WYŚPIEWAĆ MIŁOŚĆ | CHROBRY: GRA O TRON | FIZYKA NIESKOŃCZONOŚCI
GRZYB TAKI JAK MY | WSZYSTKIE CHLEBY JEROZOLIMY **NA WIELKANOC**

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 16 – 22 kwietnia 2025 nr 16 (3954)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425





FUNDACJA
Wrocławskie
Hospicjum
dla Dzieci



POMÓŻ PÓKI JESTEM

Przekaż

1,5%

podatku

KRS 0000 287 982

www.ProcentDlaDzieci.pl

Zosia

Mam wadę wzroku, zaburzenia metaboliczne, choruję na padaczkę lekooporną.

Moment, w którym z ust lekarzy padają słowa: „leczenie dziecka jest niemożliwe” lub „więcej nie da się zrobić”, to dramat dla każdego rodzica. Co dalej? W opiece nad nieuleczalnie i przewlekłe chorymi dziećmi pomaga Fundacja „Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci” działająca na terenie Dolnego Śląska.

Fundacja Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci działa od 2007 roku otaczając chore dzieci oraz ich bliskich kompleksową opieką paliatywną i wytnieniową. Siedziba Fundacji znajduje się we Wrocławiu, podopieczni hospicjum to obecnie 75 dzieci oraz młodych dorosłych dotkniętych chorobami neurologicznymi, genetycznymi, onkologicznymi, oraz którzy ucierpieli w wypadkach.

Fundacja świadczy pomoc bezpłatnie, przez 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Prowadzi hospicjum domowe, czyli dociera do domów pacjentów, gdzie czują się oni najbezpieczniej, zapewniając pomoc lekarzy specjalistów, pielęgniarek, opiekunów wytnieniowych, opiekunów medycznych, psychologów, fizjoterapeutów, rehabilitantów, neurologopedów oraz kapelana. Opieką otaczane są całe rodziny, którym udzielane jest wsparcie psychologiczne, dostęp do sprzętu medycznego oraz pomoc socjalna (prezenty dla dzieci, pomoc w zapewnieniu leków, opłaceniu czynszu, organizacja turnusów wakacyjnych dla zdrowego rodzeństwa itp.).

Przy Fundacji działa również hospicjum perinatalne, które otacza kompleksową opieką, a także wsparciem duchowym rodziny stojące w obliczu ciężkiej, nieuleczalnej choroby swojego jeszcze nienarodzonego dziecka.

Od 2023 roku Fundacja prowadzi Dom Opieki Wytnieniowej „Kokoszka” we Wrocławiu. Jest to pierwsza w zachodniej części Polski placówka, gdzie opieka nad pacjentami terminalnie, przewlekłe chorymi, z niepełnosprawnościami świadczona jest stacjonarnie i całodobowo, wtedy, kiedy jej sprawowanie przez rodziców, opiekunów jest utrudnione lub niemożliwe. Podczas pobytu w „Kokoszce” nad dziećmi czuwa wykwalifikowany personel medyczny i opiekunów. W tym czasie rodzice/opiekunowie mogą zadbać o swoje zdrowie, załatwić bieżące sprawy, poświęcić czas zdrowemu rodzeństwu, pojechać na zasłużony urlop lub po prostu odetchnąć. Usługa opieki wytnieniowej w „Kokoszce” jest również całkowicie nieodpłatna.

Wszystko to możliwe jest w ogromnej mierze dzięki wpłatom 1,5% PODATKU od ludzi dobrej woli.

Dołącz do grona naszych darczyńców. Wspierając działania Wrocławskiego Hospicjum dla Dzieci masz realny wpływ na poprawę jakości życia chorych dzieci i ich rodzin. Przekazanie 1,5% podatku to z pozoru niewielki gest, który dla nich ma jednak ogromne znaczenie, i dzięki któremu udaje się codziennie zmieniać świat na lepsze. Dziękujemy!

KS. ADAM

Boniecki: Wielkanoc po drodze do nieba

CZYTAŁ O ZMARTWYCHWSTANIU JEZUSA: ŻE FANTAZJA. Jeśli się myśli pozytywnie, jeśli się buduje na codziennym ludzkim doświadczeniu, to rzeczywiście... Choć, gdyby było czystym wymysłem, pewnie byłoby starannie opracowane. Byłby o tym przekaz, że mucha nie siada. A co my tu mamy? Opisy mówiące o tym, co było po śmierci Jezusa, nie są spójne. Są jak ludzka pamięć. Zresztą nie w tym jest siła tych opisów. Ich siła jest w doświadczeniach niezliczonych ludzi spotkania ze światem poza naszym, którego doświadczamy nieustannie. Tę kwestię zamknę łatwym zdaniem: zobaczmy po śmierci. Zdanie jest łatwe, ale kontakt z tymi, którzy umarli, bywa utrudniony. Jest jednak faktem, że wiara (przekonanie) o życiu po śmierci okazała się płodna i twórcza. Opieramy się w niej na osobie Jezusa Chrystusa, który przeszedł przez śmierć. Nasza wiedza o niebie (jakkolwiek nazwiemy to, co niewyobrażalne) jest uboga, jednak na tyle mocna, że dała siłę niezliczonym ludziom w godzinie śmierci, czasem godzinę niezwykle trudną. To też jest tajemnica wiary.

Niedziela wielkanocna, najważniejsze święto chrześcijaństwa, jest dniem Zmartwychwstania. Ale nie należy pomijać tego, co zdarzyło się wcześniej. Bez Wielkiego Piątku i Wielkiej Soboty trudno będzie przeżyć niezwykłość i wyjątkowość Wielkiej Niedzieli. Chrystus umarł po męczarni ostatnich godzin, zadanej Mu przez ludzi. Wszystko to jest w liturgii. Tylko jakby za szybko. Konanie na krzyżu, śmierć i zaraz potem już się radujemy Zmartwychwstaniem. Tak świętujemy początek nowej epoki? Kiedy się poważnie myśli o tym, co się stało, to albo się nie traktuje tego nazbyt serio, albo upycha się do jednego worka. Rzeczywistość zaś, dla tych, którzy ją biorą poważnie, jest nade wszystko poza czasem. To, co się wydarzyło tak dawno, jest przeraźliwie aktualne także dzisiaj. Oczywiście

ście nie da się tego do końca zrozumieć. Gdyby to był czysty wymysł ludzki, historia wcale nie musiała być tak straszna. Jezus, Syn Boży, nie musiał umierać na krzyżu, absurd męki był tu – po ludzku – zupełnie zbędny. Jednak taki, a nie inny jej zapis mamy u początków chrześcijaństwa.

Rozumiem tych, którzy nie potrafią się z tym pogodzić. Rozumiem tych, którzy bezradnie rozkładają ręce. Osobliwością wiary jest to, że zdaje się odkładać na bok naszą logikę, wprowadzając nas w rzeczywistość innej logiki, chciałoby się napisać logiki boskiej, ale w gruncie rzeczy nie wiemy, co to za logika. Wiemy to, co wiemy. Za dużo, by odrzucić, ale zbyt mało, żeby zrozumieć.

Obchodzimy więc Wielkanoc, święto Zmartwychwstania. Obchodzimy od wieków i od wieków jesteśmy świadkami zmartwychwstawania ludzi, często nas samych, do wiary. Bo powstanie Chrystusa z martwych, jeśli jest faktem, dotyczy wszystkich czasów. Nie po to zmartwychpowstał, by po kilku tygodniach rozstać się na dobre z tym światem. Jeżeli rzeczywiście zwyciężył śmierć, to pozostaje tu aż po dni ostatnie. A ludzie, tak jak wtedy, mają kłopot z rozpoznaniem Jego obecności. Można by teraz napisać coś, co by sprzyjało naszej uważności, napisać gdzie i jak Go spotkać, jak się z Nim nie rozminąć, ale zaraz przychodzi zniechęcenie: tylu już mówiło i pisało i nic. Nic? Przecież wielu Go spotkało. Więc napiszę, że jest blisko, że jest inny, niż myślimy i Go nie rozpoznajemy, ale jest. Zmartwychwstanie to święta wielkanocne, ale też święta Jego nieustannej bliskości. ©P



Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYM PODWÓJNYM NUMERZE „TYGODNIKA” NA MAJÓWKĘ

MAREK KONDRAT

o niezależności, spokoju, chęci do życia, dobrym winie, szachach i późnym ojcostwie pozbawionym lęku.

MAREK RABIJ

jak spełnić najskrytsze marzenie Polaków: wyspać się. Na dobrą noc pracuje się cały dzień.

IGNACY DUDKIEWICZ

łaska pańska, czyli o świeckich pracownikach Kościoła w Polsce, którzy nie mają żadnych praw.

NA WIELKANOC

**12 Współczujący**
PIOTR SIKORA

Życie nieustannie niesie ból. Wielkanoc to święto współczucia.

**15 Zdarzyło się naprawdę**
MONIKA BIAŁKOWSKA

Liturgia Triduum Paschalnego jest czymś więcej niż rytmem i obrzędem.

**17 Możliwe i niemożliwe.**
Między Piątkiem i Niedzielą

TADEUSZ SŁAWEK

Co stanowi sedno niepokoju, gdy Wielki Post przybliża nas do wielkanocnego poranka?

**19 Ewangelia o zmartwychwstaniu**
PAWEŁ RAKOWSKI

Narracje paschalne różnią się między sobą. Czy to dowód na to, że zmartwychwstanie nie miało miejsca?

**22 Nie zajączek, lecz pantera**

MAGDALENA ŁANUSZKA

Średniowieczne bestiariusze pokazują zaskakującą symbolikę w ówczesnej kulturze i sztuce.

**26 Całun z marmuru**

RYSZARD KOZIOŁEK

Iluzja rzeźby „Cristo Velato” – Chrystusa nakrytego całunem – jest tak potężna, że nie wierzono, że człowiek mógł ją wyciąć w marmurze.

MAREK RABÍJ REDAKTOR PROWADZĄCY

Mędzy Piątkiem i Niedzielą – taki tytuł nosi jeden z tekstów składających się na nasz blok wielkanocny. Na mnie największe wrażenie zrobiły rozważania Piotra Sikory i Ryszarda Koziołka, otwierające i zamykające tę część bieżącego wydania, wspominam jednak o nim dlatego, że w numerze wielkanocnym niemal co stronę opowiadamy o perspektywie, którą w polszczyźnie wyraża się za pomocą przyimka „między”.

Dziennikarstwo, które chce być czymś więcej niż pogonią za sprawami

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj, wyróżniony w konkursie NBP dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.

bieżącymi, często zagląda właśnie pomiędzy. Zwaśnionych ludzi – dla zrozumienia, co ich dzieli. Skrajności – żeby dostrzec, ile naprawdę je łączy. Idee – dla uświadomienia smaganej nimi opinii publicznej, by nie pozwalała sobie łatwo wcisnąć na karki jarzma moralnych czy ideologicznych rygorów. Dziedzictwo „Tygodnika Powszechnego”, który w tym roku kończy 80 lat, to w gruncie rzeczy tradycja nieustannego operowania pomiędzy skrajnościami, w nadziei na znalezienie płaszczyzny jeśli nie do porozumienia, to przynajmniej do zbliżenia.

Przeglądanie ponad stu stron najnowszego „Tygodnika” mnie skojarzyło się z grzebaniem w słoiku pełnym słodyczy. Mam nadzieję, że to samo poczucie obfitości, które nam towarzyszyło podczas pracy, stanie się Państwa udziałem w trakcie lektury. Życzę również, aby czas między Piątkiem a Niedzielą – lub piątkiem i niedzielą – przyniósł Wam dokładnie to, czego sobie po nim obiecujecie. Wesołych Świąt.

©P

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Sieroctwo po państwie
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Komentarze, wydarzenia

■ ■ NA WIELKANOC

12-29 PIOTR SIKORA, MONIKA
BIAŁKOWSKA, TADEUSZ SŁAWEK,
PAWEŁ RAKOWSKI, MAGDALENA
ŁANUSZKA, RYSZARD KOZIOŁEK

31 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

32 Obiecanki mijanki
JAROSŁAW FLIS:
*Największą niespodzianką tegorocznej
kampanii prezydenckiej może być jej brak*

35 Głośno. Jeszcze głośniej
AGNIESZKA KANTARUK:
Polskie miasta i wsie toną w hałasie

38 Telefon grzecznościowy
MAREK RABIJ:
*Boisz się telefonować? Ona zadzwoni
za ciebie*

41 Usłyszcie nas
ANNA GOC:
*Głusi protestują przeciwko traktowaniu
ich jak obywateli drugiej kategorii*

■ ■ REPORTAŻ

46 Co mnie trzyma
ANNA GOC:
*FOP, czyli potocznie syndrom człowieka
z kamienia. Jedenastoletnia Tosia i jej
rodzice zmagają się z tą rzadką chorobą
genetyczną*

■ ■ ROZMOWA

52 Jak śpiewać miłość
ROZMOWA Z ADAMEM STRUGIEM:
*Jestem bytem osobnym. Dla LGBT-ów
radiomaryjny. Dla Radia Maryja lewy*

■ ■ ŚWIAT

58 Droid z karabinem
ANTONINA PALARCZYK:
*Jak przez trzy lata zmieniła się
technologiczna strona wojny w Ukrainie?*

KULTURA



DOROTA SZULC / MATERIAŁY PARTNERSKIE

82

Punkt dobrostanu

Mam taki kalendarz z kartkami
zrywkami. Bez niego nie podróżuję.
Lubię gest zrywania, zostawiania
za sobą przeszłości.

PIOSENKARKA
MELA KOTELUK W ROZMOWIE
Z MONIKĄ OCHEĐOWSKĄ

■ ■ MATERIAŁY PARTNERSKIE ■

44 MAZOWSZE, MECENAS KULTURY

**50 POŻEGNANIE
MROCNIEGO RYCERZA**

**68 POLITYKA I SPEKTAKL
100 TAJEMNICE ZAKONNICZY**

■ ■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
43 OLGA DRENDA **56** STANISŁAW MANCEWICZ
75 WOJCIECH BONOWICZ
98 PAWEŁ BRAVO
106 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE: HANS MEMLING,
CHRYSTUS BŁOGOSŁAWIĄCY, 2. POŁ. XV W.
ALAMY / BE&W

62 Szkoła przed ekranem
PATRYCJA BUKAŁSKA:
*Serial „Dojrzewanie” wywołał
w Wielkiej Brytanii dyskusję
o tamtejszym modelu edukacji*

64 Pięciocentówka z niklu
MAŁGORZATA SIDZ z prowincji Ontario,
serca kanadyjskiego górnictwa

■ ■ HISTORIA

70 Gra o tron
MACIEJ MÜLLER: *Równy tysiąc lat
temu Bolesław Chrobry namaszczoney
został na pierwszego króla Polski.
Jak wyglądała jego droga do korony?*

■ ■ NAUKA

**76 Nie wystarczy nam
zielonych długopisów**
ŁUKASZ ŁAMŻA przybliża problemy,
które naukom ścisłym stawia pojęcie
nieskończoności

■ ■ KULTURA

82 Punkt dobrostanu
ROZMOWA Z MELĄ KOTELUK

86 Sztuki niewyrafinowane
OLGA DRENDA o wystawie prac Zofii
Rydet w krakowskim Muzeum Fotografii

89 Grzyb taki jak my
MICHAŁ WALKIEWICZ:
*Serial „The Last of Us” powraca.
Z kolejnymi trudnymi pytaniami*

**92 Kroniki przepowiedzianej
śmierci**
DARIUSZ KOŚCIŃSKI: *Mija dwadzieścia
lat od śmierci Jerzego Grzegorzewskiego*

95 Polecamy
KOMIKS, PŁYTA, HISTORIA

96 Schulz znowu możliwy
ANITA PIOTROWSKA o filmach
Hasa i „Sanatorium pod Klepsydrą
według Braci Quay”

97 Choroba i poznanie
LEKTOR o „Dziełach zebranych”
Maksa Blechera

■ ■ ZMYŚŁY

102 Chleby i baby
BARTEK KIEŻUN
o wszystkich chlebach Jerozolimy

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...

JAK TO MOŻLIWE – ZOBACZ NA STRONIE

80



Zapisz się na newsletter
POWSZECZ.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podcastów
POWSZECZ.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

SIEROCTWO PO PAŃSTWIE

Kilkumiesięczna Zuzia skazana przez sąd na chorobę sierocą w zakładzie opiekuńczo-leczniczym to nie „wypadek przy pracy”. To kolejny z sekwencji symptomów rozkładu polskiej pieczy zastępczej.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TĄ HISTORIĄ MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE żyją od ubiegłego tygodnia, a biorąc pod uwagę, że w weekend otarła się nawet o najpopularniejszą telewizję śniadaniową („Dzień Dobry TVN”), można powiedzieć, że żyje nią także część Polski. A to nie jest niestety regułą: system pieczy zastępczej, mający za zadanie przygarniać – co do zasady tymczasowo – dzieci porzucane bądź krzywdzone przez rodziców biologicznych, zwykle mało kogo obchodzi. Chyba że zdarzy się nieszczęście. I tym razem się wydarzyło: w wariantcie może nie najgorszym (o śmierci dzieci niewysłanych na czas do pieczy słyszymy regularnie), ale równie niepojętym.

HISTORIA ZUZII | Jest mniej więcej połowa ub. roku; w jednym ze śląskich szpitali matka pozostawia niedawno narodzone

dziecko. Zuzia (takie imię nada dziewczynce autorka materiału Radia TOK FM, które jako pierwsze opisze sprawę) jest karmiona sondą. Po kilku miesiącach sąd – na wniosek Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie – kieruje dziecko do częstochowskiego Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego. Czyli do placówki dla ciężko chorych dorosłych, gdzie nie ma nawet mowy o próbie zapobieżenia chorobie sieroczej, rozwijającej się, gdy dziecko nie ma konkretnego opiekuna. Na tym momencie historii warto się zatrzymać, bo to pierwszy z przystanków w podróży po „kartonowym państwie”. Polskie przepisy jak najślusniej zabraniają już umieszczania dzieci do 10. roku życia w placówkach pieczy zastępczej, czyli tzw. domach dziecka. Tyle że ZOL-e i DPS-y do pieczy zastępczej nie należą, z czego liczni powiatowi urzędnicy wy-

wodzą wniosek boleśnie prosty: tam dzieci wysłać wolno.

INSTYTUCJE | Dziewczynka, jak zresztą setki innych polskich dzieci, łąduje więc w placówce dla dorosłych, mimo iż jej losem zaczyna się interesować coraz więcej instytucji. Dzieje się tak, bo o Zuzi dowiaduje się jedna z organizacji na rzecz wcześniaków, a działaczka na rzecz praw dzieci i badaczka dzieciństwa dr Anna Krawczak opowiada jej historię w czasie posiedzenia sejmowej komisji ds. dzieci i młodzieży. Jak się okazuje, w sprawie interweniują już od jakiegoś czasu m.in. Ministerstwo Rodziny i urzędnicy biura Rzecznika Praw Dziecka. Pojawia się nawet świeżo przeszkolona rodzina zastępcza, chętna i gotowa, by zaopiekować się dziewczynką. Co z tego wynika? Nic. 10 kwietnia sąd w Zabrzu odrzuca wniosek o ustanowienie rodziny zastępczej, przyklepując tym samym pobyt dziewczynki w ZOL-u.

Gdyby przyjąć roboczo optykę sądu, dzieje się tak, bo do opieki nad Zuzią nie zgłosiła się tzw. specjalistyczna rodzina zastępcza, wyznaczana do dzieci chorych i niepełnosprawnych. Tyle że to optyka, w zgodnej opinii działaczy na rzecz praw dzieci, błędna. – Zuzia jest dzieckiem bez orzeczonej niepełnosprawności, a jej stan umożliwia przebywanie w środowisku domowym – mówi „Tygodnikowi” dr Anna Krawczak. – Ta historia pokazuje, że oka systemowej sieci są tak szerokie, że nawet dziecko, które ma zaledwie osiem miesięcy, i dla którego jest rodzina, może zgodnie z prawem trafić do zakładu dla dorosłych. Jego los zależy wyłącznie od tego, co zrobi sędzia na wniosek lokalnych urzędników.

NIEZAWISŁOŚĆ | Oto najważniejszy, a równocześnie najbardziej przewrotny z elementów „państwa z dyktu”. Osierocone dzieci padają nader często ofiarą czegoś, co zgodnie – i jak najstuszej – uznajemy za element dobrze funkcjonującego organizmu: autonomii samorządów i niezawisłości sądów. Albo inaczej: byłby to sprawnie funkcjonujący organizm, gdyby

sędziowie rodzinni mieli wiedzę o psychologii rozwojowej dzieci, a interes samorządowych instytucji (z PCPR-em rządzącym pieczę zastępczą na czele) był zbieżny z interesem dziecka.

SYNEKURA | – W tej chwili bycie szefem takiego powiatowego centrum bywa dożywną synekurą, o ile jest się w dobrych relacjach ze starostą lub prezydentem – uważa Anna Krawczak. – Lepiej nawet nie robić lub wykonywać ruchy pozorowane, bo np. wywalczenie rodzin dla dzieci z niepełnosprawnością oznacza zwykle konflikt z lokalnymi ZOL-ami i DPS-ami, które w ten sposób pozbawia się obsady wolnych miejsc, a więc zagraża „amortyzacji kosztów”. Nie ukrywam, że to jest właśnie moje silne podejrzenie w tej sprawie: że częstochowski ZOL zupełnie nieprzypadkowo walczy o zdrowie dziecko z sondą, i że tej walce sprzyja PCPR.

Jeśli to prawda, krachu polskiej pieczy zastępczej nie uleczy nawet postulowane od dawna radykalne zwiększenie liczby rodzin zastępczych – problem sięga głębiej. I chyba nie da się go rozwiązać bez powołania instytucji, która w tym autonomicznym lokalnym środowisku powie „sprawdzam” (dr Krawczak mówi o mającym realne narzędzia nacisku „rzeczniku praw dzieci w pieczy zastępczej”). Jedno jest pewne: system tak skonstruowany jak w tej chwili, po prostu nie chroni dzieci.

RZECZNICY TO ZA MAŁO | Ożywia za to utarte już powiedzenie, że siłę państwa poznać można po tym, jak traktuje swoich najsłabszych obywateli. Jaka to siła? Dzieci bez rodziców, a na dodatek, jak w przypadku Zuzi, chore czy niepełnosprawne, tułają się od lat po salach ZOL-i czy DPS-ów, mając za swoich reprezentantów i rzeczników pozbawione decyzyjności instytucje, a także garstkę – szczęśliwie głośniejszych, zdeterminowanych i mądrych – działaczek NGO. Jak widać, czasami to za mało nawet na to, by odmienić los jednej ośmiomiesięcznej dziewczynki. ©



Trump vs Chiny

**WOJCIECH BRZEZIŃSKI,
AGATA KAŹMIERSKA**

ODKŁĄD PREZYDENT USA OGŁOSIŁ „DZIEŃ WYZWOLENIA” i nałożył cła na niemal cały świat, minęło ledwie kilka dni. W tym czasie Trump rozpętał wojnę handlową z Chinami, wywołał armagedon na światowych giełdach i znów rozwścieczył wielu sojuszników. A także „wyzwolił” miliony Amerykanów od nadziei na stabilną przyszłość.

W Polsce największe zainteresowanie budziła zapowiedź Trumpa, który zawiesił na trzy miesiące dodatkowe cła nałożone na większość państw świata, w tym na kraje UE. W mocy pozostają jednak 10-procentowa taryfa na wszystkie dobra i 25-procentowe stawki na aluminium, stal i auta sprowadzane do USA. Trump nie uzasadnił, dlaczego zmienił zdanie, choć jeszcze dzień wcześniej podczas spotkania Partii Republikańskiej ironizował, że przedstawiciele wielu państw dzwonią do niego i „całują po tyłku”, starając się o zniesienie ceł i zawarcie nowych umów handlowych.

Kilka dni później prezydent zrobił kolejny zwrot – i ukłon wobec firm z USA produkujących elektronikę czy iPhone’y: zwolnił z większości ceł importowane z Chin półprzewodniki, komputery i akcesoria IT. Wyraz realizmu czy prezent dla prezesów tych firm, jak Apple, którzy go poparli?

Jednak gdy idzie o inne towary sprowadzane z Chin, Trump nie odpuścił. Przeciwnie: po tym, jak Chiny zapowiedziały własne taryfy odwetowe, podbił stawkę. Obecnie cła na import z Chin – wyjąwszy wspomnianą elektronikę – wynoszą 145 proc., a na towary amerykańskie wysyłane do Chin 125 proc.

Trump twierdzi, że Chiny „nie okazały szacunku”. Pekin odpowiada: szantaż to nie sposób na rozmowę z nami.

Kto bardziej na tym straci, Chiny czy USA? Media społecznościowe pełne są nagrań amerykańskich przedsiębiorców zagrożonych plajtą: zamówili towary w Chinach, ale nie mają pieniędzy, by płacić cła nałożone przez Trumpa. Za portfele będą się łapać też konsumenci w USA. Z kolei w Chinach miejsca pracy mogą stracić miliony ludzi. Ale Pekin jest bardziej odporny na takie wstrząsy – od kilku lat przygotowywał się gospodarczo na napięcia ze Stanami, a do tego ma system impregnowany na protesty obywateli.

Gdy dwoje takich gigantów rzuca się sobie do gardeł, można być pewnym, że wstrząsy rozejdą się po całym świecie. Doskonale było to widać na światowych giełdach, które odnotowały spadki niewidziane od krachu w 2008 r. Szacuje się, że w ciągu tygodnia wyparowało z nich około 11 bilionów dolarów. ©



Pospolite ruszenie

MAREK KĘSKRAWIEC

MIELIŚMY OTRZYMAĆ SPEKTAKL dwóch aktorów, w którym Rafał Trzaskowski i Karol Nawrocki ponownie wygłoszą te same kwestie i odegrają te same emocje. Po czym usłyszą od swych sztabowców, że zaorali przeciwnika, któremu spadła maska tępaka z ciemnogrodu/niemieckiego sługusa (niepotrzebne kreślić). Wieczór z tym politycznym wrestlingiem, w którym ujrzeliśmy więcej walki na prowokacje niż na programy, niespodziewanie zamienił się w spontaniczny sejmik. Stało się tak za sprawą Szymona Hołowni, który zwołał do Końskich pospolite ruszenie kandydatów – tym samym nie pozwalając na kolejny akt polaryzacji, na którym skorzystałby rządzący Polską od dwóch dekad duopol. Miało się to odbyć przy udziale TVP, która dzieląc gorszych na lepszych i gorszych, kolejny raz pokazała, jak daleko jej do standardów telewizji publicznej.

Egzamin ze spontaniczności najlepiej zdali Szymon Hołownia i Magdalena Biejat. Nie mają większych szans na zwycięstwo, ale w piątek wieczorem było widać, że stanęli do wyścigu o prezydenturę, bo mają własne pomysły na Polskę i zależy im, by przekonać do nich wyborców. Hołownia nie bał się wyjść ze strefy komfortu i zgłosił się do obu debat – także na wrogim terenie TV Republika. Całymi minuta-

mi słuchał buczenia i obelg, ale nie dał się zbić z tropu, tylko robił swoje, a widzowie telewizji Sakiewicza, chcąc nie chcąc, musieli go słuchać.

Nie wiem, czy dla tak mocno sformatowanego widza marszałek Sejmu mógł okazać się przekonujący, ale część odbiorców na pewno doceniła jego odwagę. W głównej zaś debacie (TVP, TVN i Polsatu), poza niezbędnymi popisami wiedzy własnej, w najbardziej spójny sposób za prezentował to, co teoretycznie najistotniejsze – program. A także szczerze emocje. One były też siłą Magdaleny Biejat, zwłaszcza w momencie, gdy przejmowała tęczową flagę od zawstydzonego nią kandydata KO. Ten moment, choć nie stanie się wyborczym gamechangerem, zostanie zapamiętany na długo.

Rafał Trzaskowski był dla mnie największym rozczarowaniem tej drugiej debaty. Mówił dużo, ale był wyraźnie zmęczony i rzucał ogólnikami przyprowadzonymi przesadną gestykulacją. Wyglądał na „wyreżerowanego” i ciężko było pod maskażem dostrzec prawdziwego i ciekawego człowieka, jakim przecież jest. To zresztą był również problem Karola Nawrockiego. Nie wypadł źle, ale znowu był sztuczny. Miałem dojmujące wrażenie, jakby w przypadku obu głównych kandydatów chodziło o wybór partyjnego produktu, a nie przewodnika narodu. Już czas się odpakować. ©P

Szymon Hołownia podczas debaty prezydenckiej w Końskich. 11 kwietnia 2025 r.



ADAM KUMOROWICZ / PAP



Wolność słowa

PIOTR ŚMIŁOWICZ

WOJEWÓDZKI SĄD ADMINISTRACYJNY UCHYLIŁ nazienne koncesje dla sympatyzujących z PiS telewizji Republika i wPolsce24. Sprawa ta ma kilka poziomów; pierwszy jest formalny i wydaje się, że sąd miał podstawy, by podjąć taką decyzję. Przy wydawaniu obu koncesji w lecie ubiegłego roku KRRiT zламаła szereg procedur, a jej przewodniczący Maciej Świrski specjalnie nie ukrywał, że sympatyzuje z obiema stacjami i dlatego dostały one koncesję.

Nie broni się więc za bardzo zarzut, że to polityczny zamach na prawicowe telewizje, inspirowany przez obecną koalicję rządzącą. Nie sądzę zresztą, by akurat sąd administracyjny, mocno stroniący od politycznych afiliacji, był tu instrumentem władzy. Polityczny efekt tej decyzji może być wręcz przeciwny – przybieranie przez stacje pozy ofiar „reżimu Tuska” raczej napędzi wyborców Karolowi Nawrockiemu.

Sama decyzja też nie jest dla obu stacji nadmiernie dyskryminująca.

Mogą one nadawać tak jak do tej pory, aż do uprawomocnienia się decyzji WSA.

To zaś szybko nie nastąpi, bo KRRiT zapowiada odwołanie do Naczelnego Sąd Administracyjny, a ten swoje orzeczenie wyda nieprędko. Jednak sprawa ta może być rozpatrywana również na innym poziomie. Czy telewizje te w ogóle powinny mieć koncesje? Obie posługują się politycznym hejtem, kopiując styl TVP z czasów Jacka Kurskiego, a niektórych ich dziennikarzy – manipulujących niemałą przecież grupą widzów – trudno odróżnić od partyjnych funkcjonariuszy. Prawdą jest zarazem, że w dobie zdominowania przekazów informacyjnych przez media społecznościowe, wiele mediów tradycyjnych chętnie kopiuje znany z internetu czarno-biały obraz świata, a różni je coraz częściej tylko wektor polityczny i stopień deformowania rzeczywistości. Walcząc o widza/czytelnika/słuchacza odwołują się zbyt często do emocji, a to nie sprzyja niuanowaniu przekazu.

Wobec niemożności zmiany tej sytuacji istnienie mediów o różnych sympatiach staje się jakimś gwarantem wolności słowa – każdy ma wszak możliwość wyboru tej stacji telewizyjnej, którą chce oglądać. Dlatego mimo negatywnej oceny przekazu obu prawicowych telewizji uważam, że powinny mieć prawo do nadawania, oczywiście po spełnieniu wymogów formalnych. ©P

NA PUNKTY

MASZEROWAĆ

Ulicami Warszawy przeszedł, zorganizowany przez PiS, marsz z okazji 1000-lecia Królestwa Polskiego i 500-lecia Hołdu pruskiego. Jedno z haseł chętnie skandowanych przez manifestantów brzmiało „Nie bać Tuska”, przemawiali Jarosław Kaczyński i Karol Nawrocki, a nie do końca chyba obiektywny Ratusz oszacował liczbę uczestników na 20 tysięcy.

KOPACĆ

W dniu imprezy PiS Donald Tusk opublikował w mediach społecznościowych film zapraszający na późniejszy o dwa tygodnie marsz z okazji – wyteż wzrok i znajdź różnicę – 1000-lecia Korony Polskiej. Wśród „tysiąca powodów do dumy”, pomiędzy papieżem i Szymborską, na filmie zwraca uwagę nadreprezentacja futbolistów.

KRZYCZĘĆ

Powodów do dumy nie daje z pewnością sposób obchodzenia 15. rocznicy katastrofy smoleńskiej: politycy związani z obecną władzą oddawali hołd ofiarom na Powązkach Wojskowych, a ci z opozycji – przy Pałacu Prezydenckim i na placu Piłsudskiego, gdzie wcześniej aktywista klimatyczny oblał tamtejszy pomnik czerwoną farbą. ©



Koniec atlantyckiego romantyzmu

WOJCIECH PIĘCIAK

TRAF CHCIAŁ, ŻE WSZYSTKO ZDARZYŁO się jednego dnia, 8 kwietnia. Najpierw: armia USA podała, że nie odpowiada już za centrum logistyczne w Jasionce, przez które idzie większość pomocy dla Ukrainy. Definitywnie, bo już od stycznia nieba pilnują tam Niemcy, Norwegowie i Szwedzi. Jasionka jest więc nadal jednym z najlepiej chronionych miejsc Europy, tyle że przez inne kraje NATO. Zasadne jest jednak pytanie, czy to rozsądne, by żołnierze USA opuszczali ją teraz, gdy Trump próbuje skłonić Kreml do rozejmu. Fakt, że to krok planowy, a polski prezydent, premier i nawet politycy opozycji zapewniali, iż żołnierze USA zostaną u nas, nie zmienił dość fatalnego odbioru tej wiadomości.

Tego samego dnia telewizja NBC podała, że Pentagon rozważa wycofanie z Europy 10 tys. żołnierzy, tj. połowę z tych, których w latach 2021-22 przysłał Biden. Mowa o Polsce i Rumunii, ale że w Rumunii żołnierze USA jest niewiele („nacją wiodącą” są Francuzi), redukcja dotknęłaby głównie Polskę. I znów od naszych polityków można było słyszeć zaprzeczanie. Bądź zaskoczenie.



Tymczasem nie powinno być zaskoczenia, to bowiem musiało nadejść. I znów traf chciał, że 8 kwietnia Senat USA zatwierdził na zastępcę sekretarza obrony ds. polityki Elbridge’a Colby’ego (na zdjęciu). Już wcześniej ważne funkcje w Pentagonie objęło kilka osób z nim związanych.

Wiosną 2023 r. Colby udzielił „Tygodnikowi” wywiadu. Mówił: „Stany muszą skupić się przede wszystkim na Azji. To nieuniknione. Myślę, że Joe Biden jest ostatnim prezydentem działającym w duchu transatlantyckiego romantyzmu. W długofalowej perspektywie

Europa jest dla Amerykanów mniej istotna niż Azja. (...) Boję się, że teraz, w obliczu wojny w Ukrainie, Europa znów przyzwyczai się, że zawsze może polegać na naszej wiodącej roli w zapewnianiu bezpieczeństwa. To nie jest realistyczne podejście. Lepiej jest przewidzieć czekające nas realia i się do nich razem przystosować”.

Zamiast zaprzeczać zmianie, która ma miejsce w USA, lepiej pokazać społeczeństwu, że ona nie oznacza, iż zostaniemy sami jak w 1939 r. Bo nie zostaniemy. I dostosować się do tego, co jest. Bez nerwowości, ale też bez wątpliwych obietnic wobec obywateli. ©

CHRISTOPHER R. THOMPSON / ARCHIWUM PRYWATNE B. COLBY’EGO



Francja: rekordowa liczba chrztów

MACIEJ MÜLLER

PRAWIE 18 TYS. OSÓB (10,3 tys. dorosłych i 7,4 tys. nastolatków) przyjęło we Francji chrzest. Jużeszły rok był pod tym względem rekordowy (12 tys. chętnych), a tendencja wzrostowa trwa od pięciu lat. Liczba katechumenów jest – jak wynika z wypowiedzi osób odpowiedzialnych za ich przygotowanie – wręcz przytłaczająca i wymaga namysłu nad sposobem zintegrowania ich ze wspólnotą. Arcybiskup Lyonu

i prymas Galii Olivier de Germay zaproponował, by w parafiach tworzyć niewielkie grupy składające się z katechumenów i parafian – tak, by włączać tych pierwszych w życie Kościoła już na etapie przygotowań.

Jak wykazała ankieta przeprowadzona wśród katechumenów, 65 proc. nie wychowało się w wierzącej rodzinie. Ok. 550 osób wywodzi się z innych religii, w tym 4 proc. z islamu. Ważnym motywem decy-

zji było dla większości uczestnictwo w liturgii (83 proc. przychodziło na mszę przed okresem katechumenatu). Do Kościoła przyciąga wspólnotowość – np. dla 19-letniej Sary, która po wyjeździe na studia do innego miasta czuła się samotna, msza studencka była „źródłem pocieszenia i spokoju”.

Połowa ankietowanych spotkała pomocnego księdza, zakonnicę czy katechetę. O tym, że wiara szerzy się dzisiaj nowymi kanałami, świadczy jed-

nak odpowiedź na kolejne pytanie: dla prawie 80 proc. ważnymi autorytetami byli influencerzy katolicki: wymieniano m.in. dominikanina Frère Paula-Adriena (prawie 500 tys. subskrypcji na YT) i Victora, świeckiego prowadzącego kanał „Le catho de service” (katolik na służbie, 62 tys. subskrypcji). Wielu do chrztu zachęcił też serial „The Chosen”.

Eksperci wskazują, że w powszechnej opinii Kościół francuski odzyskał wiarygodność przez fakt, że kwestia pedofilii duchownych została przebadana przez niezależną komisję, wypłacane są odszkodowania, a zalecenia z powstałego raportu są wcielane w życie. ©



Widok wystawy Mischy Kuballa „Przestrzeń referencyjna”.
Katowice, listopad 2022 r.

Przychodzi Polska do galerii

SZTUKA ■ Coraz chętniej odwiedzamy galerie sztuki. Wedle najnowszych danych GUS, w zeszłym roku do muzeów wybrało się ponad 4,5 mln osób. To tak, jakby z rzeźbą i malarstwem zapragnęło obcować ponad 15 proc. wszystkich dorosłych Polaków. W porównaniu z 2023 r. to duży skok frekwencyjny, aż o 12 proc.

Istnieje podejrzenie, że za ten świetny wynik odpowiadają duże wystawy organizowane w Krakowie i Warszawie, które przyciągnęły nie tylko mieszkańców, ale i turystów (Mazowieckie i Małopolskie skusiły swoją ofertą prawie 60 proc. wszystkich miłośniczek i miłośników sztuki). Stołeczne Muzeum Narodowe mogło się pochwalić rekordem frekwencji – w minionym roku jego próg przekroczyły 2 mln osób. Za ten sukces odpowiedzialna jest wystawa poświęcona malarstwu Józefa Chełmońskiego, którą obejrzało ponad 200 tys. zwiedzających. Również Muzeum Narodowe w Krakowie ustanowiło w roku 2024 rekord frekwencji, przyjmując 1,86 mln osób.

Ale poza centrum też bywa nieźle. Państwowe i samorządowe galerie sztuki posiadają dziś ogółem 1,2 mln zbiorów własnych (wzrost o 2 proc. w porównaniu z rokiem 2023), prawie połowa z nich to malarstwo. Łącznie mogliśmy wybrać spośród ponad 4 tys. wystaw.

Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach zanotowała

wzrost ok. 15-20 proc. To zasługa 28. Biennale Plakatu Polskiego, które zawsze wzbudza, jak przyznają pracownicy, spore zainteresowanie.

– Widzimy tendencję wzrostową – mówi „Tygodnikowi” także Ewa Łączyńska-Widz, dyrektorka Biura Wystaw Artystycznych w Tarnowie. – Niestety nasza statystyka tego nie pokazuje, gdyż w 2023 r. mieliśmy wystawy bezpłatne, organizowane z grantu norweskiego.

Możliwość uczestnictwa w wydarzeniach organizowanych przez BWA bez konieczności ponoszenia opłaty za bilet podziałała jak magnes i zaowocowała sporą frekwencją. Ale Tarnów zaobserwował też spore zainteresowanie niszowym, jakby się mogło wydawać, performensem – w 2024 r. jego widzów było czterokrotnie więcej niż w roku 2023 r.

– Naszej galerii przybywa bardziej świadomych widzów – tłumaczy to zjawisko Łączyńska-Widz. – Jest więcej osób, które przyjeżdżają do nas z odległych części Polski. Wielu turystów łączy też podróże w Bieszczady czy Tatry z odwiedzeniem po drodze tarnowskiego BWA. Zmęczeni krakowskim tłumem zatrzymują się w Tarnowie, zachwycając galicyjskim klimatem miasta, świetną architekturą i ofertą kulturalną. Tutaj nie trzeba czekać w kolejkach ani do galerii i muzeów, ani do kawiarni.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Ekstremalna Droga Krzyżowa: towar eksportowy

WIARA ■ „Pomysł pochodzi z Polski, gdzie taka droga krzyżowa odbywa się od kilkunastu lat. Za pierwszym razem dostosowaliśmy Ekstremalną Drogę Krzyżową do potrzeb lotewskich i zaangażowaliśmy w organizację tego wydarzenia zarówno Kościół luterański, jak i baptystów” – powiedział tygodnikowi „The Tablet” ks. Ilmārs Tolstovs, proboszcz parafii Matki Bożej Królowej Różańca w lotewskim mieście Salaspils. O polskiej eksportowej ekstremalnej praktyce duchowej brytyjski tygodnik katolicki informował na głównej stronie.

Pierwsza EDK przeszła z Krakowa do Kalwarii Zebrzydowskiej w 2009 r. Odpowiadała na zapotrzebowanie młodych mężczyzn, by duchowość połączyć z wysiłkiem fizycznym. Fundacja Indywidualności Otwartych, która jest odpowiedzialna za koordynowanie wydarzenia w Polsce i na świecie, na swojej stronie sugeruje, by minimalna długość trasy wynosiła 40 km, lub 30 km, gdy przewyższenie podczas wędrówki wyniesie więcej niż 500 m: „Chodzi o wyjście ze strefy komfortu i doświadczenie trudów wędrówki”. Niektóre trasy są naprawdę ekstremalne – np. podczas wędrówki z Kępnicy koło Nysy do Barda Śląskiego pokonuje się aż 73 km i przewyższenie wynoszące 1239 m. Bezpieczeństwo zapewniają m.in. specjalna aplikacja i telefony dyżurne.

W zeszłym roku EDK przeszło ponad 100 tys. ludzi. W tym roku przygotowano 1472 trasy w 17 krajach. Z roku na rok liczba krajów się zwiększa. W tym roku ekstremalną praktykę duchową można było podjąć w Estonii, w Niemczech, Belgii, Holandii, Norwegii, Irlandii, Kanadzie, w USA, a nawet na Islandii. Często jest tak, że organizatorami EDK są Polacy mieszkający na Zachodzie. W angielskim Bornemouth wydarzenie zorganizowała polska parafia pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa. Ulicami Pragi z kolei przeszła droga krzyżowa zorganizowana przez czeską parafię, ale opiekunem trasy był Polak. Są jednak na świecie także miejsca, gdzie polski pomysł jest po prostu przyjmowany, jak np. Ekstremalna Droga Krzyżowa w brytyjskim Birmingham, zorganizowana przez promujące liturgię trydencką Oratorium św. Filipa Neri.

Nocna droga krzyżowa w lotewskim Salaspils skierowana była przede wszystkim do młodych. W trasę o godz. 20.00 w piątek wychodziły zespoły 2-5-osobowe, zawsze pod opieką osoby pełnoletniej. Miały dotrzeć do 14 punktów kontrolnych, w których otrzymywały kolejne zadania, i wrócić przed godz. 5.00 do kościoła. Lotewska trasa nie została jednak uwzględniona w spisie polskiego koordynatora. Być może dlatego, że organizatorzy uatrakcyjnili EDK, zamieniając ją w zawody: za pierwsze miejsce otrzymywało się bon o wartości 50 euro, za drugie i trzecie – bon na 25 euro. ©© ARTUR SPORNIĄK



Drzewa tonka (*Dipteryx oleifera*)

Istnieje gatunek drzew, któremu służą uderzenia pioruna

EKOLOGIA ■ Co roku setki milionów drzew umierają z powodu uderzeń piorunów. Ponieważ mówimy o zdarzeniach losowych, burze można uznać za jedno z kluczowych zjawisk prowadzących do dryfu genetycznego wśród drzew, czyli niezwiązanych z jakością osobników zmian w populacjach. Łatwo wyobrazić sobie w jakimś gatunku drzewa bardziej i mniej odporne na wichury czy pasożyty, ale na uderzenia pioruna trudno się przecież przygotować – zwłaszcza jeśli jest się drzewem. Po prostu trzeba mieć szczęście.

Okazuje się jednak, że są gatunki wyjątkowe. Even Gora ze Smithsonian Tropical Research Institute w Balboa w Panamie i współpracownicy wy-

kazali, że rosnące w lasach środkowej i południowej Ameryki drzewa tonka (*Dipteryx oleifera*) nic sobie nie robią z uderzeń piorunów – ba, one czerpią z nich korzyści! W gęsto zarośniętych dżunglach, takich jak ta w Panamie, pojedyncze uderzenie pioruna uszkadza średnio aż 23,6 drzewa, z czego 5,3 później ginie. To powolna śmierć – nie przypomina tej, którą znamy z naszych lasów, w których pioruny potrafią momentalnie zniszczyć pień drzewa. W tropikach ich niszczycielska moc skupia się na koronach drzew – a gdy te obumierają, skazują pechowego osobnika na śmierć z głodu.

Badacze zaobserwowali 93 bezpośrednie uderzenia piorunów w drzewa – co drugie z nich ginęło, a znaczna część z tych, które przeżyły, traciła część korony. Wśród bezpośrednio trafionych drzew było także 10 należących do *D. oleifera* i żadne z nich nie odniosło obrażeń. W przeciwieństwie do ich sąsiadów, a także lian, które wiły się wokół ich pni (pioruny niszczyły ponad 2 tony biomasy w pobliżu trafionego drzewa tonka).

W dżungli bezcennym zasobem są przestrzeń i dostęp do światła, dlatego pozbawione przez pioruny konkurencji i pasożytów drzewa tonka mogą się rozrastać i produkować więcej nasion. Badacze szacują, że typowe drzewo tego gatunku, osiągające ponad 50 m wysokości, w ciągu życia przyjmie 5 uderzeń piorunów. Ma o 50-70 proc. większe szanse niż inne drzewa o podobnych wymiarach na to, że zostanie trafione, dzięki rozłożystej koronie. Najwyraźniej korona ściąga pioruny po to, by pozbyć się uciążliwych sąsiadów.

© © ŁUKASZ KWIATEK

Versace wraca do Włoch

MODA ■ Ma być jak dawniej, czyli luksusowo, niemal barokowo. Marka Versace właśnie dołącza do portfolio założonej 112 lat temu w Mediolanie Prada Group, nie mniej znanego producenta luksusowej odzieży i akcesoriów. Za kwotę 1,25 mld euro sprzedał ją mediolańskiej spółce amerykańsko-brytyjski Capri Holdings, który był jej właścicielem od 2019 r. Na finiszu negocjacji wartość transakcji prawdopodobnie obniżono o 200 mln euro z powodu cel na europejskie wyroby, które nałożyła administracja Donalda Trumpa.

Twarzą i założycielem Capri Holdings jest znany amerykański projektant mody Michael Kors, twórca marki o tej samej nazwie. Z czasem Capri dorobił się także znanego brandu obuwniczego Jimmy Choo. Zakup Versace był kolejnym etapem, który miał uczynić holding amerykańskim odpowiednikiem francuskiej grupy LVMH, do której należą m.in. marki Dior, Kenzo, Bvlgari czy Fendi.

W międzyczasie Amerykom szyki pomieszała jednak Federalna Komisja Handlu, która jesienią ub. roku zablokowała planowaną fuzję Capri Holdings z grupą Tapestry, do której należą brandy Coach, Kate Spade i Stuart Weitzman. Przejęta za 2,1 mld dolarów marka Versace stała się nieoczekiwanie ciężarem dla swojego właściciela – tym bardziej że jej wyniki sprzedaży były dalekie od zadowalających.

Nowy właściciel ikony włoskiej mody zmierzy się z poważnym wyzwaniem. Musi na nowo przekonać do Versace najzamożniejszych klientów, dla których ta marka przestała być synonimem luksusu i elitarności.

© © MAREK RABIJ

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.





WIELKANOC

WSPÓŁCZUJĄCY

Świat ma swoją ciemną stronę, życie nieuchronnie niesie ból.
Dlatego warto celebrować Wielkanoc – święto współczucia.

PIOTR SIKORA

DO DZIŚ PAMIĘTAM CHWILĘ SPRZED LAT PONAD DWUDZIESTU. Wchodzimy do jednego z krakowskich kościołów. Dzieci idą przodem. Tuż za drzwiami jedno z nich nagle odwraca się z płaczem, przestraszone, chce uciec na zewnątrz. Mija ułamek sekundy – i już rozumiem: na ścianie naprzeciwko, za ołtarzem, wielkie ciało niemal nagiego człowieka, poskręcane z bólu, rozpięte na krzyżu. Zbyt koszmarny widok dla psychiki dziecka.

Oswoić absurd

Przyzwyczailiśmy się, my – dorośli (czyż dorosłość nie polega bowiem na tym, by wiedzieć, że świat jest, jaki jest, że nie można zatem przejmować się za bardzo, bo wtedy nie poradzimy sobie i do niczego w życiu nie dojdziemy?). Może potrzebna była wrażliwość dziecka, dużo bardziej zgodna z wrażliwością opisaną w Księgach. Jak czytamy u Izajasza: „wielu przeraziło się na jego widok, tak nieludzko został oszpecony jego wygląd i postać jego stała się niepodobna do ludzi” (Iz 52, 14). Nie wiadomo na pewno, o kim pisał prorok. Chrześcijańska tradycja umieszcza ten tekst pośród wielkopiątkowych czytań – zauważając, że tajemnicze słowa sprzed wieków trafnie opisują tego, który umiera na krzyżu.

Oczywiście, pytanie o sens tej śmierci nadal nie daje spokoju. Teologowie przez wieki różne wysnuwali pomysły, by wyjaśnić coś, co wygląda na absurd, którego nie da się oswoić. Oni próbowali. Ale przecież wiele z tych odpowiedzi (np. ta, że krzyżowa śmierć Syna była ofiarą konieczną, by uspokoić gniew Ojca skierowany na nas, grzeszników) wydaje się jeszcze bardziej absurdalne niż niezrozumiała śmierć niewinnego...

Nadać sens wydarzeniu na Golgocie starali się już bezpośredni uczniowie Rabbiego z Nazaretu. Próbuje jakoś

poradzić sobie z przerażeniem i grozą, przypominali sobie teksty Ksiąg, w których brzmiał Święty Głos. Jedną z nich był zwój Izajasza. Zapewne dlatego właśnie czytamy w Wielki Piątek jej słowa:

„Nie miał On wdzięku ani też blasku, aby na Niego popatrzyć, ani wyglądu, by się nam podobał. Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi, Mąż boleści, oswojony z cierpieniem, jak ktoś, przed kim się twarz zakrywa, wzgardzony tak, iż mieliśmy Go za nic. Lecz On się obarczył naszym cierpieniem, On dźwigał nasze boleści, a myśmy Go za skaźca/trędowatego uznali, chłostanego przez Boga i zdeptanego” (Iz 53, 2-4).

Razem w ciemności

Jest w tym fragmencie coś, co porusza duszę, wlewa nieco nadziei, przynosi ulgę, dodaje otuchy. On obarczył się naszym cierpieniem, dźwigał nasze boleści, zatem nie jestem sam/a w doświadczeniu ciemnej strony życia. Z drugiej strony jednak gdzieś w tyle głowy pojawia się myśl-wątpliwość: co to znaczy, że ktoś „dźwiga moją boleść”? Czy to w ogóle możliwe? A nawet jeśli: cóż z tego, nadal mnie boli! Nie będę próbował rozbroić tej myśli-wątpliwości. Chcę tylko zauważyć, że tekst Izajasza nie jest jedynym miejscem w świętych Księgach, w którym pojawia się ów motyw.

Na przykład Mateusz (lub ktokolwiek inny, kto jest autorem Ewangelii znanej nam pod tym imieniem) skonstruował niezwykle plastyczny obraz. Oto sąd nad ludzkością na końcu czasów. I boski Sędzia, który mówi: gdy byłem głodny, nakarmiliście mnie (lub nie); gdy byłem spragniony, daliście (lub nie daliście) mi pić. Następnie Sędzia wyjaśnia ludziom zdumionym, bo nie przypominają sobie, by Go kiedykolwiek spotkali: cokolwiek uczyniliście (lub nie) jednemu z tych najmniejszych, uczyniliście mnie (por. Mt 25, 31-46).

Albo weźmy czwartą z Ewangelii, w której znajduje się między innymi takie zdanie (jeszcze bardziej bezpośrednio

*Bramantino, Chrystus Zmartwychwstały,
ok. 1490 r., ze zbiorów Muzeum Thyssen-Bornemisza
w Madrycie.*



powiązane z wydarzeniami, które świętujemy w Wielkanoc): „Gdy zostanę podniesiony nad ziemię, przyciągnę wszystko do siebie” (J 12, 32). Wywyższenie nad ziemię to oczywiście – tekst wyjaśnia to w kilku miejscach klarownie – ukrzyżowanie Jezusa.

Ale znamienne jest także słowo *helkysō*, przełożone terminem „przyciągnę”. Grecki oryginał może oznaczać także ruch, który kończy się jeszcze bardziej we wnętrzu tego, kto jest tego ruchu źródłem. *Helkysō* można bowiem przetłumaczyć jako: „wchłoneń”. Niezależnie jednak od tłumaczenia, w tekście chodzi wyraźnie o bliskość ze wszystkim, o jedność, wręcz o utożsamienie się. To, co jest przyciągane w momencie (w procesie?) ukrzyżowania, Jezus uznaje za całkiem swoje, za część siebie. Co dotyka drugą osobę, dotyka także mnie – mówi.

Czuła moc

Nie wiem, czy da się te słowa Jezusa wyjaśnić na metafizycznym poziomie. Można jednak spróbować czytać te teksty, szukając pewnych analogii w ludzkim, powszechnym doświadczeniu. Chodzi o doświadczenie cierpienia – na co wskazują zarówno przykłady z obrazu sądu nad narodami (głód, pragnienie, bezdomność, nagość, więzienie), jak i powiązanie przyciągnięcia do siebie z wywyższeniem na krzyżu.

A doświadczenie cierpienia – zarówno własne, jak i innych – jest trudne do zniesienia. Figura Ukrzyżowanego, której przestraszyło się moje dziecko, była artystycznie udanym przedstawieniem – właśnie dlatego spowodowała taką, a nie inną reakcję małej, delikatnej osoby. Nie powinno dziwić, że czytamy w tekście proroka: „Przed nim się twarze zakrywa”. Od cierpienia odwracamy wzrok. Albo raczej: nasz wzrok sam się od cierpienia odwraca, nie trzeba tu żadnej naszej decyzji, taka jest nasza naturalna reakcja.

Decyzji wymaga postawa przeciwna: „niezakrycie twarzy”, nieodwrócenie wzroku, współczujące bycie z cierpiącym (zarówno z cierpiącym samym sobą, jak i z cierpiącą inną osobą) i pozwolenie, by to cierpienie dotknęło nas. A może nawet decyzja tu nie wystarczy – potrzebna jest siła i wiele umiejętności.

Jednakże próba odepchnięcia cierpienia, „zakrycia przed nim twarzy”, udawanie, że go w naszym życiu nie ma, poszukiwanie i korzystanie z rozmaitych „znieczulaczy”, powoduje tylko, że cierpienie narasta i staje się bardziej destrukcyjne dla nas i naszych bliskich. Nie ma zatem wyjścia: jeśli chcemy choć trochę cierpienie uleczyć, musimy zdobyć się na stanięcie z nim twarzą w twarz, przyjąć go i uznanie: istnieje.

Niełatwe to zadanie. I czyż nie jest tak, że tym trudniejsze, im bardziej w swoim cierpieniu jesteśmy samotni? Można to zaobserwować nawet w lepszych sytuacjach. Jeśli boli mnie głowa i nikt z bliskich mi osób nie zauważa, że cierpię, nie okazuje mi zrozumienia i współczucia, przeżywanie nawet tego niewielkiego bólu staje się trudniejsze. Nawet zaś niewielki gest współczucia, zwłaszcza ze strony osób, które są dla mnie ważne, zmniejsza moje doświadczenie cierpienia.

Z drugiej jednak strony współczucie staje się tym trudniejsze, im głębsza ciemność, która na nie czeka. Każda i każdy, kto ma wśród bliskich osobę mierzącą się z nieuleczalną, bolesną chorobą, wie, jak bardzo wyczerpujące jest bycie przy takiej osobie z pełnym współczuciem i zaangażowaniem. Jeśli ktoś nam bliski ma długotrwale obniżony nastrój, trudno wytrwać we współ-smutku, w końcu zacznie pojawiać się zniecierpliwienie, może nawet złość na tę osobę: czy nie mogłaby wreszcie poczuć się lepiej?! Byłoby nam wszystkim łatwiej!

Tak, współczujące bycie z tymi, którzy cierpią, nie pozostaje bez konsekwencji. Obrazy i figury Ukrzyżowanego pokazują to jasno (i czasem w sposób przerażający). Być może, aby naprawdę okazać współczucie i wytrwać w nim, trzeba mieć w sobie Moc Bożą. Być może właśnie dlatego trzeba aż przez trzy noce – od czwartku, gdy pozwolił się związać, do nocy wielkiej, gdy wymknął się wszelkim więzom – celebrować boskie Współczucie. Bo współczucie jest najbardziej boskim doświadczeniem, jakie dostępne jest nam na tym świecie. Choć bowiem nie rozwiązuje ono wszystkich problemów i nie anihiluje ciemnej strony rzeczywistości, to sprawia, że życie jest możliwe.

© P. PIOTR SIKORA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

Pokażmy, że pamiętamy!

Z okazji 82. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim, którą będziemy obchodzić 19 kwietnia, dziś w numerze **naklejki** – żonkile, symbol tej rocznicy. Ks. Adam Boniecki jest ambasadorem akcji Żonkile, organizowanej przez Muzeum POLIN, a „Tygodnik” towarzyszy jej od wielu lat.

19 IV 1943

**POWSTANIE
W GETCIE
WARSZAWSKIM**

#ŁączyNasPamięć



Obrzęd obmywania nóg podczas Liturgii Wielkiego Czwartku, Bazylika Grobu Pańskiego. Jerozolima, 18 kwietnia 2019 r.

Zdarzyło się naprawdę

MONIKA BIAŁKOWSKA

Liturgia Triduum Paschalnego wyznacza porządek i sens świętom Wielkanocy. Jest jednak czymś więcej niż tylko rytmem i obrzędem.

CISZA I ŚPIEW. ŚWIATŁO I CIEMNOŚĆ. Powtarzane co roku gesty i słowa, z których każde ma swoje znaczenie. Tajemnica, która odsłania się krok po kroku.

Czwartek miłości

Tego dnia Jezus po raz pierwszy od szabat nie poszedł na noc do Betanii, ale został w Jerozolimie. Dla wielu pielgrzymów Betania była ostatnim przystankiem w drodze na Paschę. Wielu z nich słyszało już o Jezusie i Jego cudach. Wielu spodziewało się, że to obiecany mesjasz: król,

który wreszcie uwolni ich z rzymskiej niewoli. Entuzjazm Palmowej Niedzieli jeszcze nie opadał. Tłum niechętnie porzuca emocje. Czekał w napięciu, aż król, którego triumfalnie wprowadził do Jerozolimy, dokończy swojego dzieła.

Można przypuszczać, że właśnie teraz, w czwartek, Jezus po raz pierwszy od wielu dni usłyszał ciszę. Pozostał sam ze swymi uczniami, uciekając od tłumu. Chciał spotkać się tylko z nimi, zjeść kolację, która mogła być ostatnią. Wydarzenie, które my świętujemy przy dźwięku organów, było w istocie intymnym spo-

tkaniem z najbliższymi. Niemal w sekrecie, w ukryciu – powodowanym nie strachem, ale miłością. Spotkaniem tych, którzy przeżyli ze sobą wiele, a którzy muszą się zmierzyć z nową, straszliwą rzeczywistością. Ale przedtem chcą jeszcze przez chwilę побыć razem. Było więc pożegnaniem, które przychodzi w odpowiednim czasie, zanim rozegra się dramat. Powiedzeniem, że nawet jeśli Mnie wśród was już nie będzie, nie bójcie się, będę nadal. Tylko czyńcie to na Moją pamiątkę. Było testamentem.

Nie wszyscy byli tego świadomi. W zasadzie wiedzieli o tym tylko oni: Jezus i Judasz. Ale i w pozostałych do spotkania musiało pozostawić ślad. Tak jak wspominamy naszych bliskich – ich ostatnie słowa, ostatnie wrażenie: „a taki był jeszcze wczoraj radosny”. Pewnie tysiące razy wracali do tamtej atmosfery, rozważali każde słowo, każdy gest. Dlatego tak dobrze je zapamiętali.

Jak wynika z ewangelicznych opisów, podczas Ostatniej Wieczerzy zachowany był schemat wieczerzy paschalnej. Ale ten nie miał nic z formalizmu, nie był jedynie wzniosłym rytuałem. Tak mocno wrósł w żydowską tożsamość i rodzinę.

Trudno to wszystko wyłuskać z wielokoczwartkowej liturgii, podniosłej i ozdobionej życzeniami dla księdza. Z uporem szukam w niej właśnie tego: pamięci ostatniego spotkania, gdy mamy jeszcze dla siebie czas i nie potrzebujemy niczego więcej. Tylko być razem. Wtedy dopiero widać, co znaczą słowa, że Eucharystia to Miłość.

Noc samotności

Jeśli w ten sposób spojrzymy na Ostatnią Wieczerzę, to i Ogrójec zyska nową perspektywę. Getsemani to nie tylko lęk i krwawy pot. Ale też wielka samotność.

Uczniowie poszli do ogrodu Getsemani z Jezusem, żeby się wyspać. Tak po prostu. Do Jerozolimy na Paschę przychodziły tłumy, nie dla każdego był dach nad głową. Noc była ciepła, spanie pod gołym niebem nie stanowiło problemu.

Tylko Jezus nie poszedł spać. Odszedł na bok, żeby się modlić. Ale wiedząc, co Go czeka, nie chciał być sam. W trudnych chwilach chcemy mieć przy sobie bliskich, choćby tylko po to, by nas trzymali za rękę. Dlatego zabrał ze sobą na modlitwę Piotra, Jakuba i Jana. Tyle że oni, zmęczeni wydarzeniami tygodnia, również zasnęli.

→ Czy sen może być zdradą? Opuśczeniem tego, który zaufał i prosił o pomoc? Stojąc przed perspektywą cierpienia i śmierci, Jezus odkrywa, że dalej musi iść sam. Że ludzie, którzy byli przy Nim przez lata, dalej już nie dadzą rady.

Ciekawe, że w polskiej tradycji zwykliśmy czuć długo przy grobie Jezusa. Czasem całą noc. Czuwania „w ciemnicy”, w Wielki Czwartek, są krótsze, mniej zauważalne, niczym kolejny gest do odhaczenia. Jezus skazany jest na samotność.

Pusty piątek

Liturgia Wielkiego Piątku jest inna. Nie chodzi przecież o przejście po śladach jerozolimskich wydarzeń. Droga Krzyżowa odprawiana jest zwykle w czasie, gdy ludzie są jeszcze w pracy. Godzina śmierci Jezusa nie różni się niczym od innych południowych godzin.

W wieczornej liturgii jest tylko krzyż i pustka po Tym, który umarł. Zastanawiające, dlaczego Kościół nie zauważa w liturgii wyraźniej samej śmierci Jezusa. Jest tylko krótkie przyklęknięcie po słowach w Ewangelii: „oddął ducha”. Nic więcej.

Nie ma odpowiedzi i wyjaśnień. Nie ma poruszającego, ostatniego spojrzenia w oczy Boga. Nie ma Eucharystii.

Wielki Piątek w liturgii
to obraz świata, jaki mógłby
być, gdyby Boga nie było.

Pusty ołtarz,
puste tabernakulum.
Jak rozmawiać z kimś,
kto nie żyje?

Wielki Piątek w liturgii to obraz świata, jaki mógłby być, gdyby Boga nie było. Długie modlitwy zanoszone za całą ludzkość, ale czy ktoś je usłyszy? Pusty ołtarz, puste tabernakulum. Do kogo mówimy? Jak rozmawiać z kimś, kto nie żyje? Grób, z którym nie wiadomo, co robić. Czy w ogóle jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, że jest śmierć, a po niej już nic? Adoracja krzyża, bo nie można adorować martwego Boga.

Jako chrześcijanie, nie potrafimy wejść do końca w dramat Wielkiego Piątku. Przecież wiemy, jak skończy się ta historia. Wierzymy, że Jezus żyje – pustka, milczenie i pytanie o sens są więc tylko na chwilę i symbolicznie. Tamtego roku dramat Wielkiego Piątku wydarzył się

naprawdę. Przerażeni uczniowie rozproszyli się po Jerozolimie. Nie mieli nadziei, nie czekali na niedzielę, kolorując w międzyczasie jajka i prasując świąteczne koszule. Wpadli w pustkę na kilka strasznych dni. Dla nich wszystko się skończyło.

Trudno nie myśleć o tym przy Grobie Pańskim.

A gdyby jednak nie wstał? Gdzie byśmy dziś byli? Gdzie bylibyśmy, gdyby zmartwychwstanie nie wydarzyło się naprawdę?

Noc zakorzenienia

Kilku prostych ludzi rozeszło się z Jerozolimy powtarzając, że Jezus powstał z martwych, a oni są tego świadkami. Inni poszli za nimi. Zaczęli się zbierać we wspólnoty, z których z czasem wyrosła duchowość i religia, ale też sztuka, nauka, literatura, architektura. Zmartwychwstanie zmieniło świat w wymiarze, którego na co dzień sobie nie uświadamiamy. Są nim przesiąknięci nawet ci, którzy w nie nie wierzą. Bo nie trzeba wierzyć, że Jezus powstał z martwych, by żyć owocami, choćby pośrednimi, tamtego wydarzenia.

Dla chrześcijan te owoce są nieporównanie większe. Wierzymy, że przez zmartwychwstanie Bóg otworzył nam drzwi do wieczności. Skończyło się umieranie „na zawsze”. Śmierć dla nas, tak jak dla Jezusa, jest tylko etapem do przejścia.

W liturgii Wielkiej Soboty – Wigilii Paschalnej – opowieść o przejściu staje się jeszcze głębsza. W całym roku liturgicznym nie znajdziemy drugiej takiej syntezy historii zbawienia: od stworzenia świata i pierwszego grzechu, przez cierpliwe wychodzenie Boga w stronę człowieka – prośby, próby, obietnice, kolejne szanse. Można ją czytać genealogicznie, jak rodzinną historię. Ze świadomością, że stąd jesteśmy, że to wszystko jest nasze. Można przyznać z dumą, że nasze słowa i myśli, nasza krew i wiara – są z nich, dzięki nim, z nimi. Wigilia Paschalna zakorzenia nas najpierw w historii – daje tożsamość, pokazuje, że wyrastając z jednego korzenia, wszyscy jesteśmy braćmi. Dopiero potem rozlegają się dzwony. Dopiero potem jesteśmy gotowi usłyszeć, że Chrystus zmartwychwstał: za każdego i za każdą z nas. Dla całego stworzenia.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

W każdej krainie każdy człowiek
W udręce swej i znoju
Przyzywa ludzki kształt Miłości,
Litości i Pokoju

POŻEGNANIE

Żegnamy naszą

Mamę-Rybcie, Babciulkę, Prababcię

Ś.†P.

Kazimierę Szewczuk

urodzoną w Wilnie 1.07.1929 r.,

mieszkającą też w Leżnie, Olsztynie i Gdańsku;

nauczycielkę i pedagogkę, koneserkę rzeczy mądrych,

pięknych i dobrych, nasz ludzki kształt miłości.

Zmarła 5.04.2025 r. wśród bliskich – dziękujemy, że z nami była.

RODZINA



Fragment fresku Fra Angelico *Oplakiwanie Chrystusa*, 1387-1455. San Marco, Florencja

Możliwe i niemożliwe. Między Piątkiem i Niedzielą

TADEUSZ SŁAWEK

Martwe ciało Jezusa zostaje powierzone skalnej pieczarze, która jest łonem, a ono nie przestaje być źródłem życia. Nawet największy kamień odtoczy z wejścia do groty.

CO STANOWI SEDNO NASZEGO NIEPOKOJU, gdy Wielki Post przybliży nas coraz bardziej do Wielkanocnego poranka? Czy niemożliwe może stać się teraz możliwe? Może ta wyjątkowa Niedziela ulokowana jest w czasie, który nie należy już do człowieka? A co, jeśli nie? I świt

tej Niedzieli będzie po prostu kolejnym brzaskiem ludzkiego dnia?

Przecież święta Wielkanocne są świętami „ruchomymi”, więc pozostają w głębokim pokrewieństwie z ludzkim czasem. Nie mają jednej ustalonej daty, lecz płyną w rzece przemian, do której nie

sposób wstąpić dwa razy. Ale istotą Wielkanocy jest zjawisko powrotu, powtórnego wstąpienia w rzekę życia, która już raz wyrzuciła człowieka na swój drugi brzeg. Czyli niemożliwe może stać się możliwe?

Duch Wielkiego Piątku i Wielkiej Soboty

Faryzeusze byli rzecznikami możliwego. Pojawili się u Piłata, mówiąc „przypomnieliśmy sobie, że ów oszust powiedział jeszcze za życia: »Po trzech dniach powstanę«” (Mt 27, 63). Powrót z nocy śmierci był dla nich tak dalece niemożliwy, że nazwali Jezusa „oszustem”. Tak bardzo wykraczał poza ich obraz świata, że wręcz pamięć odmówiła im zapisania go w archiwach. Zapomnieli o tym wydarzeniu i dopiero musieli je sobie przypomnieć. Trudno im się dziwić, dla nich niemożliwe nie mogło okazać się możliwe.

Od Ewangelistów dowiemy się za to, że już wieczorem pierwszego dnia po szabacie Jezus zjawił się wśród uczniów. Pamiętamy późniejsze o osiem dni

→ doświadczenie Tomasza, i to, że w ujmując ludzki sposób Mistrz spyta uczniów, czy mają coś do zjedzenia. Ale to wszystko są już ich świadectwa po Piątku, Sobocie, kiedy to śmiertelni próbują zorganizować sobie świat i życie na nowo w duchu Niedzieli. Czynią to bardzo po ludzku, odwołując się do świadectwa zmysłów; ktoś, kogo można dotknąć – istnieje. Skoro jednak można niemożliwego doświadczyć, zobaczyć i dotknąć, to czy nie sprowadzamy tej niewyjaśnialnej przecież tajemnicy do rangi złożonej nam zwykłej, racjonalnej obietnicy?

„Teraz jednak dla tych, którzy są w Chrystusie Jezusie, nie ma już pojęcia. Albowiem prawo Ducha, który daje życie w Chrystusie Jezusie, wyzwoliło cię spod prawa grzechu i śmierci. Co bowiem było niemożliwe dla Prawa, ponieważ ciało czyniło je bezsilnym, [tego dokonał Bóg]. On to zesłał Syna swego w ciele podobnym do ciała grzesznego i dla [usunięcia] grzechu wydał w tym ciele wyrok potępiający grzech, aby to, co nakazuje Prawo, wypełniło się w nas, o ile postępujemy nie według ciała, ale według Ducha” (Rz 8, 1-4). To Pawłowe zdanie o ciele Jezusa „podobnym” do ludzkiego „grzesznego” ciała wprowadza zamieszanie: odciąga nas od ludzkiego cierpienia i śmierci, jakby nie przywiązując do niej wagi. A przecież jesteśmy śmiertelni – możemy roztrząsać zagadnienia wieczności i życia wiecznego, ale w doświadczeniu ludzkim stale mówimy o godzinie śmierci. W duchu Piątku i Soboty niemożliwe jest po ludzku niemożliwe.

Niemożliwe okazało się także to, do czego Jezus zachęcał: wyzwolenia spod władzy „zakonu” na rzecz powszechnego „usynowienia”, ustanawiającego nad-obywatelstwo człowieka, który jest „przyobleczone w Chrystusa”. W konsekwencji: „Nie masz Żyda ani Greka, nie masz niewolnika ani wolnego, nie masz mężczyzny ani kobiety; albowiem wy wszyscy

Czynić życie znośnym
tu i teraz jest wyzwaniem
dla chrześcijaństwa,
nawet jeśli z usprawiedliwioną
zająkliwością wypowiada się
ono o życiu przyszłym.

jedno jesteście w Jezusie Chrystusie. A jeśli jesteście Chrystusowi, tedy jesteście potomkami Abrahama, dziedzicami według obietnicy” (Ga 3, 28-29). Jego śmierć, brutalna i okrutna, położyła kres marzeniom Izajasza, które zapisał w jedenastym rozdziale swego proroctwa o świecie, w którym „wilk zamieszka wraz z barankiem, pantera z kozłkiem razem leżeć będą, cielę i lew paść się będą społem i mały chłopiec będzie je poganiał. Krowa i niedźwiedzica przestawać będą przyjaźnie, młode ich razem będą legały. Lew też jak wół będzie jadał słomę. Niemowlę igrać będzie na norze kobry, dziecko włoży swą rękę do kryjówki żmii. Zła czynić nie będą ani zgubnie działać” (Iz 11, 6-9). Wstaje niedzielny dzień, a my ciągle zostajemy w historii, czyniąc zło i zgubnie działając.

Izajaszowa wizja mogłaby się ziścić w Niedzieli, która nie należy już do kalendarza ludzkiego czasu, choć przecież w nim, my żyjący, pozostajemy nieodwołalnie zamknięci. Nasz zwykły ludzki, arcy-ludzki świt też wstanie w Wielką nocną niedzielę i w tym paradoksie kryje się ziarno nadziei. Nie ma ona wiele wspólnego z prostą satysfakcją płynącą z odnotowania dopełnienia się cyklu: koniec Postu, wraca normalne życie, a symbolicznie pusty grób jest tylko znakiem owego powrotu.

Przecież faryzeusze budzą niechęć nie tyle niewiarą w Zmartwychwstanie (bo komu z nas ta wiara przychodzi łatwo?

kto z nas istotnie w nie wierzy, a nie jedynie odnotowuje jako artykuł wiary?), co przekonaniem, że teraz jest już „po wszystkim”, że wszystko będzie „normalnie”, że *status quo* zostało obronione. Nie pojęli, że Chrystus nie chciał ich władzy ani obalić, ani przejąć, ale przesycić ją innym duchem, tak jak chciał owego człowieka nad-obywatelstwa. W tym nad-obywatelstwie bylibyśmy przyobleczeni w Chrystusa, a nie w mundury.

Płaczące serce świata

„Boże mój, czemuś mnie opuścił” – okrzyk konającego Jezusa powinien nie dawać nam spokoju. Nie tylko dobiega nas z ostatecznej krawędzi, nad którą stoi ten, kto zaraz zapadnie w ciemność, ale pozostaje – choć to tylko przecież jeden epizod wielkiego dramatu – w szczególnej relacji z wymogiem wiary, której punktem centralnym i niepodważalnym jest Zmartwychwstanie. Jasno, aż nadmiernie kategorycznie, wyraził to św. Paweł mówiąc: „Jeśli nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara” (1 Kor 15, 13-15). Tymczasem Jezus krzyczy. To jest istotne; wszak czytamy u Mateusza (ale także u Marka i Łukasza), iż zawołał „donośnym głosem”.

Święty Paweł ustanawia fundamentem wiary coś, co w swej genezie zdaje się jej przeczyć. Wiara „nie krzyczy”, ale Jezus woła „donośnym głosem”. Włącza siebie i swoje ciało w jeden strumień ludzkich doznań cierpienia i radości, błogosławieństwa i przekleństwa, a w końcu jego głos traci wszelką wyrazistość, zapada w szum, rżenie, przestaje się wypowiadać, choć żąda naszej uwagi.

„Stał się człowiekiem”, a więc w chwili największej męki wołał „donośnym głosem”, bo nie wiem, czy dla rozrywanego bólem ciała istnieje jeszcze w ogóle coś takiego jak „wiara” czy „artykułowana wy-

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: PIOTR MUCHARSKI
Zastępcy red. naczelnego:
EWELINA BURDA, MICHAŁ KUZIŃSKI
Redakcja:
www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca:
Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji:
ul. Dvorska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega sobie
prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść
ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy
publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów:
[www.tygodnikpowszechny.pl/](http://www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza)
nota-wydawnicza

 S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”

REKLAMA

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

powieź”. Czy nie są już tylko puste łupiny abstrakcyjnych pojęć? Może więc w niedzielny świt celebруемy tak naprawdę ten straszny, przenikający do kości krzyk cierpienia ponad miarę i przypomina się nam wers Nelly Sachs o „płaczącym sercu świata”? Wiersz Sachs daje przejmujące świadectwo wielkanocnego poranka: „Nadal żyjący chwytały się czasu / Aż tylko złoty pył pozostał im w rękach / Śpiewają słońce – słońce – / Północ czarne oko / jest przykryta całunem –” (tłum. R. Krynicki).

Nie możemy, my, „nadal żyjący”, dać się uwieść trzeźwą „normalnością” tego dnia. Trzeba nam zachować niepokój i poczucie straty. Zawołanie Chrystusa „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił!” nie cichnie tego rana i będziemy je słyszeć tak długo, jak długo będziemy pamiętać, że życie i śmierć splatają się w jedno. Martwe ciało Jezusa zostaje powierzone skalnej pieczarze, która jest łonem, a ono nie przestaje być źródłem życia. Nawet największy kamień odtoczy z wejścia do groty.

Sen chrześcijaństwa

Musimy żyć na jawie dnia ludzkiej radości i cierpienia, głupoty i nędzy tak, by zachowując racjonalność, nie budzić się z pięknego, niezrozumiałego, bogatego w symbole i znaczenie snu chrześcijaństwa, nie tyle o zmartwychwstaniu, co snu zmartwychwstania. Wtedy niemożliwe może stać się możliwe, choć sami zapewne nie będziemy wiedzieć, jakie przejawy owo niemożliwe znajdzie sobie w naszym życiu. W każdym razie skutkiem jego pojawienia się będzie to, że nasze życie stanie się bardziej ludzkie i znośne.

Dlatego tak razi kategoryczność sądu św. Pawła: „Jeżeli tylko w tym życiu w Chrystusie nadzieję pokładamy, jesteśmy bardziej od wszystkich ludzi godni politowania” (1 Kor 15, 19). Czynić życie znośnym tu i teraz jest wyzwaniem dla chrześcijaństwa, nawet jeśli z usprawiedliwioną zająkliwością myśli ono i wypowiada się o życiu przyszłym. Jean-Luc Marion cytuje Prousta utrzymującego, że „przyszłość niekiedy mieszka w nas, choć o tym nie wiemy” (tłum. Małgorzata Frankiewicz). Jak dobrze określa to istotę oddziaływania, jakie chrześcijaństwo winno mieć na człowieka.

© TADEUSZ SŁAWEK



GRAŻYNA MAKARA

*Procesja rezurekcyjna w parafii pod wezwaniem św. Mikołaja w Brzegach.
Niedziela Wielkanocna, 31 marca 2024 r.*

Ewangelia o zmartwychwstaniu

PAWEŁ RAKOWSKI

Czytelnicy Ewangelii nie radzą sobie z faktem, że narracje paschalne różnią się między sobą. Bo skoro nie zgadzają się fakty, to może zmartwychwstanie w ogóle nie miało miejsca? ➔

→ **W**IELE LAT TEMU, PODCZAS MOJEJ JEDYNEJ WIZYTY W JEROZOLIMIE, w ramach akademickiego kursu z archeologii Ziemi Świętej, nie wszedłem do grobu Jezusa, wyznając w ten sposób moją osobistą wiarę w słowa anioła, że „nie ma Go tu” (Mt 28, 6). Uznałem, w perspektywie wiary, że grób Jezusa jest jedynym miejscem we wszechświecie, w którym rzeczywiście Go nie znajdę. Nie widziałem zatem potrzeby, by tam wchodzić. Dziwiło mnie od dawna, że chrześcijanie pielgrzymują do miejsca nieobecności swojego Zbawiciela. Ale z drugiej strony, to właśnie nieprzerwany od czasów starożytnych łańcuch pielgrzymów potwierdza lokalizację grobu, co miało dla mnie znaczenie w studiach nad tekstami Ewangelii. Archeologia rzuciła zresztą nowe światło na historyczną wiarygodność ewangelicznych narracji. Po odkryciu starożytnego przebiegu murów Jerozolimy okazało się, że grób, który dziś znajduje się w ich obrębie, w rzeczywistości był poza murami starego miasta. Tak jak mówią pisma.

To odkrycie ważne jest także z innego powodu. Gdyby grób Jezusa znajdował się wewnątrz miasta, ruch pielgrzymkowy mógłby zostać przerwany z powodu zakazu wstępu do Jerozolimy, jaki Rzymianie wydali Żydom po powstaniu Bar Kochby w 135 roku. Skoro był poza murami, pielgrzymi mogli nieustannie go odwiedzać, podtrzymując międzypokoleniową pamięć o jego lokalizacji. Inaczej stało się z wiecznikiem, nie tylko dlatego, że został zburzony. Także dlatego, że znajdował się wewnątrz murów i z powodu zakazu wstępu do miasta jego lokalizacja zatarła się w zbiorowej pamięci.

Ewangelie i fakty

Uwiarygodnianie tekstów biblijnych przez archeologię stało się potrzebne dopiero po Oświeceniu, gdy ludzie zaczęli inaczej podchodzić do historii. Współcześni czytelnicy Ewangelii nie radzą sobie z faktem, że narracje paschalne różnią się między sobą. Pojawia się wątpliwość – skoro nie zgadzają się fakty, to czy zmartwychwstanie Jezusa miało miejsce? Mamy poważne zamieszanie w tekstach dotyczące tego, kto był obecny przy grobie w pierwszym dniu po szabacie i co się tam tak naprawdę wydarzyło.

Głośnym przykładem takiego zamieszania jest zakończenie najstarszej z Ewangelii, według Marka. W ostatnim czasie do szerszej grupy wiernych dotarła informacja, że w oryginalnej jej tekst kończy się na ucieczce i milczeniu kobiet: „wyszły

i uciekły od grobu; ogarnęło je bowiem zdumienie i przestrasz. Nikomu też nic nie oznajmiły, bo się bały” (Mk 16, 8). Pozostałe wersety, które możemy znaleźć we współczesnych przekładach Ewangelii Marka, są późniejszym dodatkiem.

Ucieczka kobiet

Powodem ucieczki kobiet z grobu jest „zdumienie i przestrasz”, za którymi kryją się greckie słowa: *tromos kai ekstasis*. Pierwsze mówi o przerażeniu i trwodze. Drugie – o zdumieniu i oszołomieniu, a może nawet ekstatycznym uniesieniu, jak chciałaby tradycja mistyczna. Słowo *ekstasis* składa się z przed-

rostka *ek* (na zewnątrz) i *stasis* (stan, pozycja), tak jakby ucieczka od grobu była dla kobiet zarówno wyjściem na zewnątrz, w sposób fizyczny, jak i zmianą stanu, pozycji wewnętrznej, wskazującą na jakieś wewnętrzne poruszenie duchowe – niemal mistyczne – w związku z zobaczeniem pustego grobu. A jako że kobiety nikomu nic nie powiedziały, mamy pole do szerokich interpretacji, a przynajmniej postawieniu kilku pytań, co mogło być powodem ich *tromos i ekstasis*.

Czy sam fakt, że Jezus powstał z martwych – wrócił ze świata zmarłych? Mogło tak być, ale takie historie kobiety już знаły, z czasu, gdy Jezus przywracał do życia syna wdowy z Nain (Łk 7, 11-17) czy wyprowadzał z grobu Łazarza (J 11, 1-44). Mogły mieć też w pamięci starsze opowiadanie o ożywieniu syna wdowy z Sarepty Sydońskiej przez Eliasza (1 Krl 17, 17-24).

Czy zachwycił je fakt, że Jezus żyje i będzie mógł jako ocalony mieszkać razem z Bogiem? Czytamy w księdze Rodzaju, że Bóg „porwał” do siebie Enocha (Rdz 5, 24), podobnie jak z Eliasza (2 Krl 2, 1-18). Jezus nie byłby zatem pierwszym człowiekiem, który przebywa w swoim ciele w obecności Boga w niebie.

Najstarsze świadectwo

Być może odpowiedzi na to pytanie o *tromos i ekstasis* należy szukać nie w tekstach Ewangelii, a w listach Pawła z Tarsu, które powstały znacznie wcześniej. Logika podpowiada, by sięgnąć do najstarszego z nich, Pierwszego do Tesaloniczan, gdzie już w dziesiątym wersecie czytamy o oczekiwaniu ponownego przyjścia Jezusa, którego Bóg „wzbudził z martwych” (1 Tes 1, 10). A pod koniec listu Paweł zapewnia: „Jeśli bowiem wierzymy, że Jezus istotnie umarł i zmartwychwstał, to również tych, którzy umarli w Jezusie, Bóg wyprowadzi wraz z Nim”. Prawdą jest, że to najstarszy tekst, jaki się zachował. Ale wiele wskazuje, że to właśnie w późniejszym Pierwszym Liście do Koryntian Apostoł zawarł jeszcze starsze chrześcijańskie wyznanie wiary w zmartwychwstanie Jezusa, w słowach: „Przekazałem wam na początku to, co przejąłem: że Chrystus umarł – zgodnie z Pismem – za nasze grzechy, że został pogrzebany, że zmartwychwstał trzeciego dnia, zgodnie z Pismem: i że ukazał się Kefasowi, a potem Dwunastu, później zjawił się więcej niż pięciuset braciom równocześnie; większość z nich żyje dotąd, niektórzy zaś pomarli. Potem ukazał się Jakubowi, później wszystkim apostołom. W końcu, już po wszystkich, ukazał się także i mnie jako poronionemu płodowi” (1 Kor 15, 3-8).

OGŁOSZENIE

Kluby „Tygodnika Powszechnego” życzą redaktorom, autorom, pracownikom oraz czytelnikom pisma głębokich przeżyć Triduum Paschalnego i radości Świąt Wielkiej Nocy.

Kluby Tygodnika Powszechnego



KLUBYTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

DRAMATY PSYCHOLOGICZNE, WYJĄTKOWE POWIEŚCI, KTÓRE ZMIENIAJĄ WASZE SPOJRZENIE NA RODZINNE RELACJE.

**SKANDYNAWSKI
FENOMEN
WYDAWNICZY!**

*Herngren jest
mistrzynią w pisaniu
o związkach
i emocjach, które
zwykle się
przemilcza.
„Smålandsposten”,
Szwecja*

REKLAMA



Troje rodzeństwa –
try trzy różne obrazy dzieciństwa.

Kto pamięta, jak było naprawdę?
Czy można ufać własnym wspomnieniom?
Co jesteśmy winni naszym bliskim?

HISTORIA, W KTÓREJ KAŻDA ZE STRON MA SWOJE RACJE.



Sceny z życia rodzinnego - Moa Herngren z wielkim kunsztem
opowiada o złożonych i kruchych więziach między najbliższymi.

Pisząc, że Chrystus umarł „zgodnie z Pismem”, Paweł nie mógł się odnosić do tekstów Ewangelii, skoro tych wtedy jeszcze nie było. Miał więc na myśli teksty napisane przed Jezusem, które dziś nazywamy Starym Testamentem. (Na marginesie, warto zauważyć zaskakującą nieobecność kobiet w przekazie Pawłowym, w porównaniu do późniejszych narracji ewangelicznych).

Czasy ostateczne

Wróćmy jednak do Listu do Tesaloniczan, ponieważ w nim możemy znaleźć wskazówkę, dlaczego jest tyle zamieszania wokół zmartwychwstania Jezusa. Jednym z wielu powodów, dla których Paweł pisze list do Tesaloniczan, jest potrzeba odpowiedzi na kryzys myślenia o eschatologii, czyli czasach ostatecznych. Z cytowanych słów Listu wynika, że wspólnota w Tesalonicach zaczęła martwić się o tych, którzy umarli, nie doczekawszy ponownego przyjścia Jezusa. Paweł ich zapewnia, że i oni zmartwychwstaną, tak jak Chrystus. Tematy zmartwychwstania Jezusa i eschatologii są ze sobą ściśle związane.

Bo kluczowy dla tej refleksji nie jest sam fakt, że Jezus zmartwychwstał, ale to, że wraz z Jego zmartwychwstaniem rozpoczęły się czasy ostateczne. Wiele wskazuje, że właśnie to najbardziej zaskoczyło uczennice i uczniów Jezusa.

Cała późniejsza dynamika wędrowania i głoszenia Ewangelii o zmartwychwstaniu daleko poza Galileę odbywa się właśnie w przekonaniu, że „nie mamy już czasu”. Nie ma czasu wprowadzać nikogo w zawiloci prawa – więc Paweł rezygnuje z obrzezania. Czytamy o masowych chrztach, bo „nie ma już czasu”, a przecież chrzest włącza we wspólnotę, którą omija sąd ostateczny (Dz 2, 41). W atmosferze „ostatnich dni”, jakie zostały, nikt nie brał się za pisanie o życiu Jezusa – teksty te zaczęły powstawać, gdy wspólnota wejdzie w okres poważnego kryzysu załamania się oczekiwań na szybkie, powtórne przyjście Jezusa. Nie dziwi zatem, że w najstarszym zachowanym Liście do Tesaloniczan – sprawa eschatologii jest jednym z pierwszych wyzwań. Głosząc Chrystusa zmartwychwstałego, pierwsi chrześcijanie chcieli powiedzieć: czas się kończy, to czas decyzji, bo za chwilę wróci Chrystus, *maranatha!*

Ostatnie pokolenie

Jednak Chrystus nie wracał. Czekanie na ponowne Jego przyjście odsunęło w czasie pisanie tekstów – nikt nawet nie myślał, że jeszcze jakieś będą potrzebne, przecież mieli być ostatnim pokoleniem. Kiedy jednak nadeszło kolejne, palącym stało się zachowanie głoszonego przekazu. Zaczęto więc pisać, ale dostęp do świadków był już utrudniony, wielu z nich nie żyło, przekaz szedł więc z „drugiej” i „trzeciej” ręki. Nie wszyscy zapamiętali wydarzenia podobnie, zatem narracje o zmartwychwstaniu obrastają w nowe elementy. Ze wspólnych został pusty grób, odsunięty kamień, wspomnienie dnia po szabacie czy też ogólny przekaz, że kobiety były pierwszymi świadkiniami zmartwychwstania. Zamieszanie w biblijnych tekstach jest efektem tamtej atmosfery „braku czasu” na rzetelne zebranie przekazu. Ale jest przecież jeszcze pusty grób. Można pojechać i zobaczyć.

© PAWEŁ RAKOWSKI





Pantera, miniatura z rękopisu „Tractatus de naturis animalium in XX libros divisus, quorum tres extremi desunt”, XIV w., Monachium, Bayerische Staatsbibliothek Clm 6908, fol. 78r

ste, ale mogło być wzbogacone o dodatkowe motywy ikonograficzne.

Pelikan z pisklętami

W przypadku mszału z kolekcji Czartoryskich mamy tych motywów kilka: jest miecz przebijający pierś Marii (nawiązanie do słów proroka Symeona w czasie Ofiarowania Dzieciątka w świątyni; zapowiedział on Matce Boskiej: „Twoją duszę miecz przeniknie”), mamy też zaskakującą formę samego krzyża: nie zbite belki, lecz roślina – tak zwane Drzewo Życia (łac. *Arbor Vitae*). To nawiązanie do rajskiego drzewa, które przyniosło grzech i śmierć, podczas gdy drzewo krzyża dało ludzkości życie i odkupienie. Motyw krzyża jako Drzewa Życia rozwijał się od 2. połowy XIII w. przede wszystkim dzięki tekstom św. Bonawentury, który porównywał w swoich pismach krzyż Chrystusa do kwitnącego drzewa.

Chrystus umiera na drzewie, ale jest w tym zapowiedź Zmartwychwstania i wiecznego życia. I podobny przekaz niosą ze sobą zwierzątka, ukazane w naszej miniaturze pod krzyżem i na jego szczycie.

W górnej części miniatury widzimy gniazdo pelikana – ptak rozdziobuje swoją pierś, a jego krew tryska na pisklęta. Zgodnie z opisem ze średniowiecznych bestiariuszy, młode pelikana, gdy podrosną, dziobią swoją matkę – ona w odwecie uderza w nie, nie chcąc je uśmiercać. Po trzech dniach opłakiwania pelikan rozdziobuje własną pierś i krwią wskrzesza swoje młode. To zapowiedź Zmartwychwstania Chrystusa, przywróconego do życia przez Boga Ojca na trzeci dzień po śmierci, a także nawiązanie do ofiary z własnej krwi, którą złożył Zbawiciel.

Wspomniane średniowieczne bestiariusze to kompendia wiedzy o zwierzętach. Starożytni pisarze, tacy jak Arystoteles, Pliniusz Starszy czy Herodot, opisując przyrodę, gromadzili informacje o zwierzętach – zarówno te wynikające z obserwacji, jak i ludowe podania i mity. Najprawdopodobniej autor schyłku III wieku nieznany grecki autor stworzył traktat, wzbogacając starożytne przekazy o inter-

Nie zajaczek, lecz pantera

MAGDALENA ŁANUSZKA

Studiowanie bestiariuszy pozwala nam poznać zaskakującą symbolikę Zmartwychwstałego Chrystusa w średniowiecznej sztuce i kulturze.

W 1870 r. Władysław Czartoryski zakupił w Paryżu średniowieczny rękopis – mszał cysterski, który mógł powstać na terenach Nadrenii pod koniec

XIII wieku. Początkowo księgami liturgicznymi zawierającymi teksty oracji mszalnych były sakramentarze, które z czasem zastąpione zostały przez księgi zawierające cały zestaw tekstów potrzebnych do sprawowania Eucharystii, czyli mszały. Kluczowa modlitwa eucharystyczna, zwana Kanonem rzymskim, tak we wcześniejszych sakramentarzach, jak i w późniejszych mszałach, była dekorowana przedstawieniem Ukrzyżowania – zwłaszcza że krzyż mógł zarazem pełnić rolę inicjału „T” w początkowym zwrocie tejże modlitwy: *Te igitur, clementissime Pater*.

Ale nawet jeśli tej roli nie pełnił, to w mszałach zazwyczaj występowało Ukrzyżowanie – tak zwane „liturgiczne”, czyli ograniczone do przedstawienia Chrystusa na krzyżu, Matki Boskiej i św. Jana Ewangelisty. Niby pro-

pretacje wczesnochrześcijańskie, na podstawie pism takich autorów jak św. Paweł czy Orygenes. Traktat w 51 rozdziałach opisywał wybrane kamienie oraz rośliny, ale przede wszystkim ponad 40 zwierząt, głównie występujących w obszarach śródziemnomorskich, a także fantastycznych, takich jak gryf, jednorożec czy smok. Być może anonimowy autor działał w Aleksandrii, największym ośrodku naukowym starożytności.

W IV wieku wspomniany traktat stał się popularny (był cytowany przez innych autorów), zaś w V wieku został przetłumaczony na łacinę. W podobnym czasie pojawiły się również wersje etiopska, ormiańska, syryjska i arabska, zaś u schyłku I tysiąclecia powstał nawet przekład starosłowiański. Staro-wysoko-niemiecka wersja datowana jest na 2. połowę XI wieku. Od pierwszych słów tekstu: „*Physiologus dicit...*” („Fizjolog mówi, że...”), tekst ten nazywamy „Fizjologiem”.

Do starożytnego „Fizjologa” z czasem dodawano kolejne źródła, takie jak pisma Izydora z Sewilli czy Hrabana Maura – i tak powstały średniowieczne bestiariusze. Najstarszy zachowany ilustrowany bestiariusz pochodzi z 2. ćw. XII wieku – powstał w Anglii i jest przechowywany w Bodleian Library w Oksfordzie (MS Laud Misc. 247). Ilustracje, które go zdobią, to po prostu niepokolorowane romańskie rysunki, przedstawiające opisane zwierzęta.

Król zwierząt

Poza wspomnianym wcześniej pelikanem, symbolikę chrystologiczną i odnoszącą się do Zmartwychwstania miał lew. W miniaturze naszego mszału widzimy go pod krzyżem, pochylającego się nad swoimi młodymi. To odniesienie do opowieści o tym, że lwica rodzi martwe młode, ale po trzech dniach przychodzi lew i ożywia je swoim oddechem (lub przez wylizywanie) – tak jak Jezus na trzeci dzień po śmierci został ożywiony tchnieniem swego Ojca. Bestiariusze mówiły ponadto, że ścigany lew zaciera swoje ślady ogonem (tak jak Chrystus, stając się człowiekiem, ukrył swą boską naturę), oraz że śpi z otwartymi oczami (to odnoszono do Jezusa w grobie – martwego jako człowieka, ale wiecznie żywego jako Bóg).

Porównanie Chrystusa do lwa ma zresztą szerszy kontekst. W Apokalipsie Mesjasz określony został jako „lew

z pokolenia Judy”, co jest nawiązaniem do błogosławieństwa Jakuba z Księgi Rodzaju, który powiedział do swego syna: „Judo, młody lwie, na zdobyczy rósć będziesz, mój synu: jak lew czai się, gotuje do skoku, do lwicy podobny – któż się ośmieli go drażnić?” (proroctwo mesjańskie wg Biblii Tysiąclecia, Rdz 49, 9). Ponadto starotestamentowy król Salomon miał zasiadać na tronie ze złota i kości słoniowej, zdobionym rzeźbionymi lwami – lwy stały się zatem także atrybutem sprawiedliwego sędziego i mądrości. Średniowieczne przedstawienia Madonn na lwach interpretuje się właśnie w tym kontekście: wsparta na lwach Maria, trzymająca na swych kolanach Dzieciątka, jest Tronem Mądrości, na którym zasiada Mesjasz.

Szerzej zaś, poza kontekstem biblijnym, lew funkcjonował jako król zwie-

rząt, a także bestia o symbolice solarnej, m.in. ze względu na swe złociste umaszczenie i grzywę okalającą pysk niczym promienie słoneczną tarczę. Zodiakalny lew króluje na przełomie lipca i sierpnia – w okresie „panowania Słońca” na półkuli północnej. Pamiętać przy tym trzeba, że Słońce w większości pogańskich religii związane było z któryś z głównych bóstw, nic zatem dziwnego, że już w okresie wczesnochrześcijańskim Chrystus stał się „Słońcem Niezwykłego”.

Chrystologiczne ptaki

Nie tylko lew i pelikan miały symbolicznie odnosić się do śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Motyw obumarcia i powrotu do życia pojawiał się także na przykład w mitach związanych z orłem i feniksem.

BIBLIOTEKA NARODOWA POLONA



Ukrzyżowanie, miniatura z Mszału Ms. Czart. 1552 IV, ok. 1300 (?), Biblioteka XX Czartoryskich – Muzeum Narodowe w Krakowie, fol. 66v



Od góry: eniks, miniatura z angielskiego rękopisu bestiariusza, ok. 1200-1210, British Library w Londynie, Royal MS 12 C XIX, fol. 49v
Caladrius i chory, miniatura z angielskiego bestiariusza, ok. 1236-1250, British Library w Londynie, Harley MS 3244, fol. 52r

→ W bestiariuszach przeczytamy, że orzeł ma bardzo ostry wzrok, potrafi lecąc nad wodą dostrzec ryby w głębinach, a ponadto może patrzeć bezpośrednio na słońce. Jak orzeł łapie ryby, tak Chrystus łapie ludzkie dusze; Zbawiciel też może patrzeć bezpośrednio na Boga Ojca. Na starość wzrok orla pogarsza się, a jego pióra stają się ciężkie; wówczas ptak leci ku słońcu, które wypala zarówno bielmo z jego oczu, jak i stare pióra. Następnie orzeł (w miniaturach na tym etapie przedstawiany jak oskubany kurczak) trzykrotnie nurkuje w wodzie i w ten sposób odzyskuje swą młodość.

W sztuce ptak w płomieniach to jednak najczęściej nie orzeł, lecz mityczny

feniks, o którym część źródeł mówi, że żyje w Indiach. Gdy osiąga wiek 500 lat, przybywa do Heliopolis, gdzie wczesną wiosną kapłani składają gałązki na ołtarzu. Tam feniks wznieca ogień, w którym się spala; nazajutrz z popiołów wychodzi robaczek, który drugiego dnia zamienia się w małego ptaszka, zaś trzeciego przyjmuje formę nowego feniksa. To oczywiście zostało zinterpretowane jako odniesienie do świętej ofiary Jezusa, Jego śmierci i zmartwychwstania. Wierzą także, że na świecie żyje tylko jeden feniks, cyklicznie umierający w płomieniach i odradzający się z popiołów.

A skoro mowa o mitycznych ptakach, to jeszcze jeden, mniej znany, był porów-

nywany do Chrystusa: mianowicie caladrius. Miał to być biały ptak, który potrafi ocenić, czy chory człowiek wyzdrowieje, czy umrze. Mógł go także uzdrowić – siadał na pacjencie i wyciągał z niego chorobę; następnie unosił ją ku słońcu, gdzie ulegała ona spaleni. Podobnie Chrystus może uzdrowić każdego grzesznika, zabierając jego grzechy poprzez swą ofiarę, która dokonana się na krzyżu.

W niektórych bestiariuszach znajdziemy interpretacje wyjątkowe, niefunkcjonujące szerzej w średniowiecznej sztuce. Do takich przykładów należy porównanie Chrystusa do... sępa. Sęp żywi się zwłokami: widząc padlinę, spada na nią z góry, co czasem jego samego zabija. Tak i Chrystus, widząc z nieba martwość grzesznej ludzkości, zstąpił na ziemię, by ponieść śmierć. To porównanie znajdziemy na przykład w słynnym Bestiariuszu z Aberdeen (Aberdeen University Library MS 24), uważanym za jeden z najwspanialszych rękopisów tego typu. Spisany i bogato iluminowany w Anglii około 1200 r., jest on powiązany z Bestiariuszem Ashmole'a (Oxford, Bodleian Library, MS Ashmole 1511), a wokół nich powstała cała grupa, pochodząca z Yorkshire i Lincolnshire, z początków XIII wieku.

Bestiariusz z Aberdeen jest notowany w królewskiej kolekcji w 1542 r. – trudno powiedzieć, czy zawsze należał do rodziny monarszej, czy też trafił w jej ręce z jakiegoś klasztoru zlikwidowanego w wyniku Reformacji. W XVII wieku Thomas Reid, sekretarz króla, podarował rękopis bibliotece Marischal College w Aberdeen, która to instytucja połączyła się z Aberdeen University w 1860 r. Strona internetowa poświęcona temu bestiariuszowi (The Aberdeen Bestiary Project) zawiera nie tylko skany rękopisu, ale także transkrypcje łacińskiego tekstu wraz z przekładem na język angielski i komentarzami.

Wąż wodny i pantera

Kolejne zaskakujące „wielkanocne” nawiązanie w Bestiariuszu z Aberdeen pojawiło się w ramach opowieści o wężu wodnym, zwanym hydrusem. Żyje w Nilu i jest wrogiem krokodyla – wpłwa w paszczę śpiącej bestii, a gdy krokodyl go połknie, przegryza jego trzewia, wydostaje się na zewnątrz i zabija go. Jak zapisano we wspomnianym rękopisie, można

to odnieść do Chrystusa, który po dopełnieniu swej ofiary zstąpił do otchłani, pokonując diabła i otwierając bramy piekieł, wypuszczając wszystkich sprawiedliwych. To właśnie *Anastasis*, czyli Zstąpienie do otchłani, było przez wiele wieków podstawowym wielkanocnym przedstawieniem Jezusa, który zwyciężył śmierć. Zmartwychwstanie w formule ukazującej Zbawiciela wychodzącego z grobu wykształciło się dopiero w pełnym średniowieczu.

Warto przy okazji nadmienić, że symbolizujący piekło krokodyl bywał – zwłaszcza przez północnoeuropejskich artystów – ukazywany w sposób zaskakujący. Jako „dzika bestia” bardziej przypominał wilka lub niedźwiedzia niż krokodyla, a jego cechą charakterystyczną była głowa obrócona o 180 stopni. To dlatego, że starożytni autorzy, m.in. Pliniusz Starszy, wspominali, iż krokodyl jest jedynym zwierzęciem, które kłapie nie dolną, lecz górną szczęką – z czego wynioskowano, że musi on mieć odwrócony łeb.

Wracając do Zmartwychwstania – ważna w jego symbolice była pantera.

Średniowieczne księgi o zwierzętach kryją w sobie zaskakujące opowieści, nierzadko osadzone w starożytnych mitach i z czasem przejęte przez myśl chrześcijańską.

Starożytne opisy zwierzęcia, mówiące, że jest ono cętkowane, żółtawe, z plamkami białymi i czarnymi, w średniowiecznych bestiariuszach zmieniły się w stwierdzenie, iż pantera jest „wielobarwna”, przez co artyści ukazywali ją jako tęczową. Pantera, jak przeczytamy, rodzi tylko jedno młode – płód ma bowiem pazury, którymi rani od wewnątrz łono swej matki, przez co nie może ona mieć kolejnego potomstwa. To odnoszono do Marii, matki jedynego syna.

Przed wszystkim jednak istotna była opowieść o tym, że gdy pantera się naje, chowa się do jaskini i zapada w sen na trzy dni. Następnie budzi się i wydaje z siebie ryk, a z jej pyska wydobywa się wspaniała, słodka woń. Wszystkie zwierzęta zbierają się wokół jaskini, przywabione owym zapachem – wszystkie, oprócz smoka, który jest przerażony i chowa się pod ziemię. Rycząc po trzydniowym trawieniu pantera symbolizuje wychodzącego z grobu Chrystusa Zmartwychwstałego, przyciągającego wszystkie dusze, zaś zlekniiony smok to oczywiście szatan.

Średniowieczne księgi o zwierzętach kryją w sobie zaskakujące opowieści, nierzadko osadzone w starożytnych mitach i z czasem przejęte przez myśl chrześcijańską. Studiowanie bestiariuszy pozwala nam zrozumieć, dlaczego określone zwierzęta ukazywane były w konkretnym kontekście i jakie miały znaczenie.

A zatem to nie zajączek czy kurczaczek, lecz lew, pelikan, pantera i feniks są prawdziwymi symbolami Chrystusa Zmartwychwstałego.

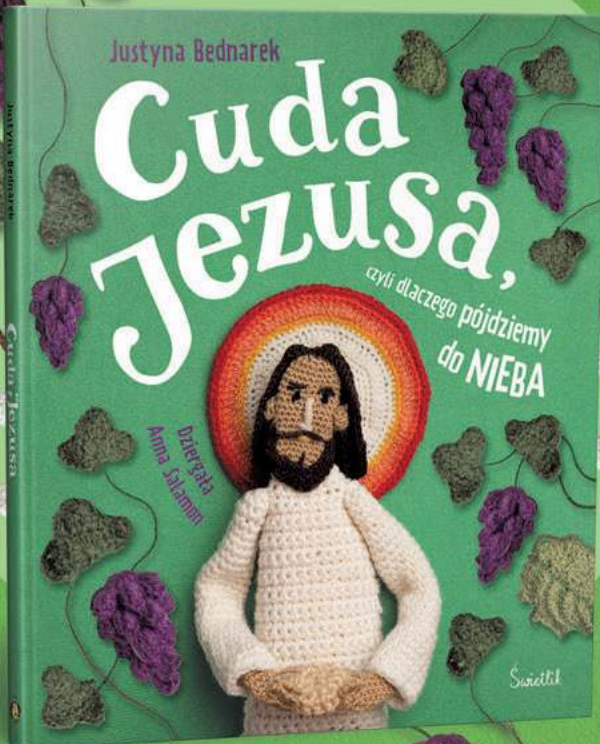
© MAGDALENA ŁANUSZKA

REKLAMA

Przeczytajcie opowieści o cudach Jezusa!

Zastanawialiście się kiedyś, co pomyśleli goście weselni w Kanie Galilejskiej, gdy Jezus zamienił wodę w wino? Albo jak zszokowani musieli być świadkowie obserwujący Jezusa chodzącego po wodzie?

Poznajcie fascynujące opowieści z życia jednej z najważniejszych postaci w historii świata – Jezusa Chrystusa w nowej książce JUSTYNY BEDNAREK z dzierganymi ilustracjami ANNY SALAMON.



Całun z marmuru

RYSZARD KOZIOŁEK

Długo nie wierzono, aby człowiek mógł to wyrzeźbić w marmurze. Iluzja „Cristo Velato” – Chrystusa nakrytego całunem – jest tak potężna, że podejrzewano artystę o nałożenie na rzeźbę tkaniny, utrwalonej chemicznymi zabiegami.

NIE CHCIAŁEM WRACAĆ DO NEAPOLU. PIERWSZY POBYT wystarczył mi na piętnaście lat. Dotarliśmy tam nocą całą rodziną po wielu nieudanych próbach znalezienia ulicy, przy której mieliśmy mieszkać. Wszyscy kierowcy na mnie trąbili, bo nie rozumiałem, jak można na jednym pasie do skreśtu ustawiać się w trzy rzędy. Wszyscy na nas patrzyli. Wyrzuciłem rodzinę z bagażami i pojechałem odstawić auto kilkaset metrów dalej. Parking był wykutą w skale płataniną komór zapchanych samochodami.

Facet w budce wskazał mi miejsce, wziął ode mnie kluczyki, a w zeszycie w kratkę napisał dwa razy „Toyota” i numer rejestracyjny. Oderwał kawałek z jedną i podał mi. „Nie mam toyoty, mam mitsubishi” – protestowałem w panice. Machnął ręką i zajął się następnym klientem. Świsstek papieru schowałem do portfela wyobrażając sobie, jak za trzy dni będę tłumaczył po włosku, którego nie znam, lub po angielsku, którym on nie mówi, że to auto jest moje. Rodzinie poszło lepiej. Mieszkanie było tam, gdzie miało być, więc padliśmy ze zmęczenia do łóżek prawie tak, jak staliśmy.

Następnego dnia w autobusie skradziono mi portfel. W Pompejach, na Capri, w Sorrento nie mogłem myśleć o niczym poza tym, czy odzyskam samochód. Miałem dość. Trzeciego dnia poszedłem na miękkich nogach do znanej budki. Tłumacząc na wszystkie sposoby, że zostawiłem tu samochód, ale nie toyotę, którą wpisał do zeszytu. A tę kartkę, którą mi dał, to mi ukradziono. Nie mógł zrozumieć. Nikt by nie mógł. Zadzwonił gdzieś i podał mi słuchawkę. Wytłumaczyłem, a głos po drugiej stronie się nie zdziwił. Poprosił, żeby dać mu Franco, który wkrótce wyparkował mój samochód z groty, a ja oddaliłem się z poczuciem, że umknąłem fatum.

Obiecałem sobie nigdy więcej nie żartować z ludowej mądrości przysłów i wytartych powiedzonek. Przypisywane Goethemu powiedzenie „Zobaczyć Neapol i umrzeć” jest kalką włoskiego „Vedi Napoli e poi muori”. Odnosi się do „napolitudine” – odmiany melancholii, jaką rzekomo produkuje to miasto u wszystkich, którzy je opuszczają. Goethe, 2 marca 1787 r., zanotował: „O położeniu miasta i jego urokach, tylekroć już opisywanych i chwalebnych, ani słowa. »Vedi Napoli e poi muori« – mawiają tu. »Zobaczyć Neapol i umrzeć«”. („Podróż włoska”, przeł. H. Krzeczkowski). Ja nie tęskniłem.

*Niewidomi dotykają rzeźby
Chrystusa spowitego
całunem, autorstwa
Giuseppe Sanmartina,
podczas specjalnego
otwarcia Muzeum Kaplicy
Sansevero
dla niewidomych
i niedowidzących.
Neapol, Włochy,
19 lutego 2013 r.*



Z czasem uznałem, że powiedzenie zrodziło się raczej w czasie jednej z epidemii nawiedzających miasto i było ostrzeżeniem.

Płaszcz od Aquascutum

Wracaliśmy do Włoch wielokrotnie, także głęboko na południe. Nigdy do Neapolu. Dwanaście lat później zatrzymaliśmy się w Weronie. Celem był ogromny hangar na przemysłowych przedmieściach miasta, gdzie umieszczono wszelkie używane wcześniej dobra, których właściciele już nie chcieli lub nie potrzebowali. Zbieraliśmy się do wyjścia, gdy zatrzymały mnie krawaty. „Zobacz ten” – Krystyna wskazała na egzemplarz w gablocie. Zapytałem o cenę i zgodnie z naturą tego miejsca od razu chciałem się targować. Młodziutki sprzedawca spojrzał na mnie wzrokiem pełnym pogardy. „This is Marinella” – wycedził zimno. No jasne, Marinella, od razu widać, że to jej krawat – chciałem powiedzieć, ale się oddalił. Upokorzony zapłaciłem w kasie 38 euro.

Po wyjściu z hangaru sięgnąłem po telefon. Pan Eugenio Marinella otworzył w 1914 r. luksusowy sklepik odzieżowy w Neapolu, w eleganckiej dzielnicy Chiaia, gdzie istnieje po dziś dzień jako jedna z ikon miasta. Z czasem zasłynął z krawatów wykonywanych ręcznie, przynosząc chwałę neapolitańskiemu rzemiosłu i owijając wiele sławnych szyi.



CESARE ABBATE / EPA / PAP

Po powrocie do domu nieostrożnie zachciało mi się wiedzieć więcej. Pan Eugenio okazał się anglofilem, który początkowo zaopatrywał swój sklep w towary z Wysp. Między innymi sprowadzał płaszcze „słynnej marki Aquascutum” – przeczytałem i poczułem, że jednak jestem kompletnym ignorantem modowym.

W roku Wielkiej Wystawy Światowej (1851) krawiec i przedsiębiorca John Emary otworzył sklep z odzieżą męską przy 46 Regent Street. Dwa lata później wyprodukował pierwszą wodoodporną tkaninę wełnianą, opatentował swoje odkrycie, a nazwę firmy zmienił na „Aquascutum”. Od łacińskiego: *aqua* – woda; *scutum* – tarcza. Przełomem w rozwoju firmy był dzień, w którym płaszcz zamówił najważniejszy dandys Imperium Brytyjskiego, czyli przyszły król Edward VII. Od 1897 r. trwa długi królewski patronat nad firmą.

Wkręcony na dobre, kliknąłem kolejny link. Otworzył się sklep z używaną odzieżą w Pradze. Na fotografii był mężczyzna z rowerem, miał na sobie płaszcz w kratkę. „Fajny – pomyślałem. – A co mi tam”. Po kilku dniach przyszła paczka. Włożyłem. Wełniany, do kolan, szeroki niczym peleryna, z dużymi kieszeniami, jak lubię. Zdumieni spoglądaliśmy w lustro jak bardzo był na mnie. „Możesz mnie w nim pochować” – zażartowałem do Krystyny.

Ciekący dach bazyliki

Kariera trenczy Aquascutum zaczęła się na długo, zanim wsunęli się w nie król Anglii, Winston Churchill czy Margaret Thatcher. Pierwszą falę popularności firma zawdzięczała wojnie krymskiej między Rosją a Turcją i sprzymierzonymi z nią Anglią i Francją. Z wielu powodów wyjątkową i ważną po dziś dzień. Była pierwszą wojną nowoczesną, do której użyto dalekosiężnych karabinów, okrętów parowych, kolei, telegrafu, nowoczesnej medycyny, reporterów wojennych z aparatami fotograficznymi. Mimo użycia nowoczesnych technologii do zabijania był to konflikt tradycyjny, a może nawet archaiczny, przypominający średniowieczne krucjaty. Jak pisze Orlando Figes w książce „Wojna krymska 1853-1856. Ostatnia krucjata”, jej zarzewiem był spór między łacinnikami a prawosławnymi o zarządzanie Bazyliką Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Strony wspierała odpowiednio Francja i Rosja.

Kiedy w Wielki Piątek 1846 r. księża katolicy przybyli z białym obrusem, aby przykryć nim ołtarz Grobu, był tam już obrus prawosławny. Doszło do sporu, kto ma prawo pierwszy rozpocząć obrzędy wielkopiątkowe. „Wkrótce cała bazylika zmieniła się w pole bitwy. Rywalizujące ze sobą grupy walczyły nie tylko z użyciem pięści, ale też krucyfiksów, świeczników, kielichów mszalnych, kaganków i kadzielnic, a nawet



→ kawałków drewna z relikwiarzy. Starcie kontynuowano z użyciem noży i pistoletów, przeschmuglowanych do bazyliki przez wiernych z obu stron. Kiedy w końcu straż Mehmeda Paszy oczyściła świątynię, na jej posadzce spoczywało ponad 40 zabitych” (przeł. Maciej Balicki).

Od XIX w. wyraźnie nasila się prawosławny ruch pielgrzymkowy do Jerozolimy. „Rosjanie w pewnym sensie uważali Ziemię Świętą za fragment swej duchowej ojczyzny. Idei »świętej Rusi« nie wiązały granice państwowe” (Figes). Podobnie twierdzili Francuzi, których z Palestyną wiązały krucjaty średniowieczne, a katolicka prasa przypominała, że Francuzi przelali najwięcej krwi w obronie Kościoła w Palestynie. Oba państwa udzielały więc wsparcia swoim pielgrzymom, podsycając tym samym konflikt między nimi. Czarę przelał przeciekający dach Bazyliki Grobu Pańskiego i kłótnia o to, kto ma prawo go naprawić. W 1851 r., dzięki naciskowi Francji na Turcję, konflikt o klucze do bazyliki wygrali łacinnicy, co wproważyło w furję cara Mikołaja I, który zagroził Turcji wojną.

Terytorium właściwego sporu nie była jednak Palestyna, ale Krym, traktowany przez Rosję jako miejsce święte chrześcijaństwa prawosławnego. Dla nacjonalizmu rosyjskiego XIX w. religia nie była prywatną sprawą obywateli. Tożsamość religijna i polityczna poddanych miała być wspólna i jedna. Wojna z muzułmańską Turcją była traktowana przez propagandę rosyjską na równi z obroną pielgrzymów prawosławnych w Palestynie: to była ta sama święta krucjata. Nie wolno stracić z oczu tej wielowiekowej linii frontu rosyjskiego. Z powodów religijnych i strategicznych na terytorium wzdłuż północnej granicy imperium osmańskiego toczą się wszystkie wojny rosyjsko-tureckie od XVII do końca XIX w. – z krymską i tą z lat 1877-1878, na której Wokulski zrobił majątek, aby zaimponować Izabeli. Zajęcie ukraińskiego Krymu w 2014 r. przez Putina jest najnowszą odsłoną tego fundamentalnego celu politycznego carów rosyjskich.

Dama z lampą i zarazki

Do jednej z tych wojen, zwanej krymską, przystąpiła w 1853 r. Anglia, a pan Emary zrobił świetny interes, dostarczając swoje płaszcze walczącym na niej oficerom. Tym, którzy mieli szansę je nosić, ponieważ ochrona przed deszczem nie była pierwszym zmartwieniem walczących tam żołnierzy żadnej ze stron.

Wspomnienia sanitariusza przynoszą przerażający obraz pola bitwy pod Almą: „Setki rannych, porzuconych przez własne pułki, z rozdzierającymi serce krzykami, jękami i błagalnymi gestami, prosiły, aby wsadzono ich na wozy. Cóż jednak mogłem dla nich zrobić? Byliśmy przeładowani. Próbowaliśmy ich pocieszać, mówiąc, że wrócą po nich pułkowe wozy, choć oczywiście tak się nie stało. Jeden z żołnierzy prawie nie mógł się czołgać – stracił obie ręce i przestrzelono mu brzuch. Inny miał urwaną nogę i rozbitą szczękę, urwany język i ciało pokryte ranami. Na twarzy malowała się tylko prośba o łyk wody. Skąd jednak można było wziąć choćby tyle?” (Orlando Figes).

Wojna wymusza inwencję zarówno w sztuce niszczenia ciał, jak i w ich leczeniu. Symbolem nowoczesnej opieki nad rannymi jest najsłynniejsza pielęgniarka wojny krym-

skiej Florence Nightingale. Nazwana przez żołnierzy „Damą z lampą”, stała się mitem za życia; kobiecym wcieleniem wiktoriańskich cnót: opiekuńcza, zaradna, pracowita, religijna, nowoczesna, pełna poświęcenia, gospodarna, ambitna, zdyscyplinowana, praktyczna, obdarzona silną wolą.

Kiedy przybyła 4 listopada 1854 r. do frontowego szpitala w Scutari, zastała angielskich żołnierzy w potwornych warunkach. Ranni, umierający i chorzy leżeli razem w brudzie i odchodach. Nie było ogrzewania, za to pełno robactwa. Dziennie umierało kilkudziesięciu żołnierzy. Florence przewiozła wykwalifikowane pielęgniarki, postawiła szpital na nogi, wprowadziła żelazną dyscyplinę, obsesyjnie dbała o czystość. Mimo to wskaźnik zgonów rósł.

„Okazało się, że główny szpital został zbudowany na dole kloaczny, kanały przeciekają, a nieczystości dostają się do wody pitnej. Nightingale nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia, uważała bowiem, że zarazki przenosi zanieczyszczona para wodna. (...) Żołnierze znajdujący się pod opieką Nightingale mieliby większą szansę na przetrwanie w przeciętnej tureckiej wiosce niż w jej szpitalach w Scutari” (Orlando Figes).

Ludzkie ciała są takie przenikliwe; tak delikatne jest ich okrycie, w porównaniu ze skórą większości ssaków. Przecież to się rwie, pruje i pęka przy byle skaleczeniu. Jakby natura nie była wystarczającym wyzwaniem dla naszej kruchości, od wieków wymyślamy coraz skuteczniejsze narzędzia do otwierania ciał. Wojna wydobywa z nich gwałtownie wszystko, co staramy się zatrzymać w granicach skóry. Ledwie możemy je ochronić przed wilgocią i chłodem – za „wodną tarczą”; w śmiesznym płaszczu pana Emary’ego.

Twoja skóra, mój całun

Oczywiście wróciliśmy. Ja w płaszczu i krawacie, niczym w pokutnym stroju, który był dowodem uznania siły tego miasta. A może zostaliśmy skutecznie wezwani, aby odkupić winę pierwszego pobytu w Neapolu? Wtedy nie posłaliśmy zobaczyć Chrystusa Zakrytego.

Kaplica Sansevero nie jest osobnym budynkiem, jej fasada ciasno przylega do sąsiednich kamienic. Poświęcona została Marii Dziewicy, co może dziwić, zważywszy że od XVIII w. stała się publicznie dostępną lożą masonską. Ale u jej XVI-wiecznych początków leży cierpienie matki – Adrian Carafa della Spina, żony pierwszego księcia Sansevero. Jej syn, Fabrizio Carafa, został przyłapany ze swoją ukochaną Marią d’Avalos, której mężem był słynny kompozytor Carlo Gesualdo da Venosa.

Zazdrosny mąż zabił oboje w łóżku w nocy z 16 na 17 października 1590 r. Matka Fabrizioja wymogła na mężu rozpoczęcie budowy kaplicy, która miała być pocieszeniem i odkupieniem. To, czym kaplica jest dziś, zawdzięczamy Ramondowi di Sangro, siódmemu księciu Sansevero. Mason, chrześcijanin, naukowiec, erudyta zbudował w niewielkiej kaplicy symboliczną ścieżkę mądrości, której kolejne etapy zawierają zaszyfrowane znaczenia, umieszczone w zgromadzonych tam posągach, na czele z najważniejszym i najsłynniejszym – „Chrystusem Zakrytym”, wyrzeźbionym przez Giuseppe Sanmartina.

Rzeźba przedstawia leżącego Chrystusa nakrytego całunem, miękkim i niemal przezroczystym. Kamienna iluzja jest tak potężna, że długo nie wierzone, aby człowiek mógł to wyrzeźbić. Podejrzewano, że tkanina została nałożona na rzeźbę i poddana chemicznym zabiegom, które ją utrwaliły. W świetle ostatnich badań wiadomo, że Chrystus został wyrzeźbiony z jednego kawałka marmuru, a szczegóły całunu noszą ślady używanych narzędzi. Gdyby nie obcegi, gwoździe i ciernie leżące obok prawej nogi Chrystusa, posąg emanowałby wyłącznie kojącym pięknem. Nie taki jednak był cel zadziwiającego projektu księcia di Sangro.

Kaplica Sansevero jest wspaniałym epizodem z dziejów oświeceniowego rozumu, kiedy człowiek nie chciał się specjalizować, ale upierał się ogarnąć w harmonijną jedność wszystko, co zwykle ludzkie oko postrzega jako chaos, sprzeczności, nieprzewidywalne konflikty. Wiedza i wiara; nauka i alchemia; męskie i kobiece; przemijające i wieczne zostały sobie w kaplicy symbolicznie zaślubione. Żeby jednak stać się gościem tej uczty weselnej, trzeba przejść drogę wtajemniczenia znaczoną sekretnym sensem masonskich rytuałów.

Ostatnim punktem tej drogi inicjacyjnej, a zarazem pierwszym etapem odrodzenia, miało być spotkanie z Chrystusem Zakrytym, czyli rozważanie i zrozumienie śmierci – własnej śmierci. Zgodnie z planem księcia, rzeźba nie miała spoczywać w centralnym punkcie kaplicy, ale na gołej ziemi w podziemnym pomieszczeniu. Uczeń powinien dotknąć śmierci, czyli wejść za Chrystusem do grobu i z niego wyjść, wcześniej kontemplując sens przesłoniętej całunem figury zdjętego z krzyża Chrystusa.

Jeśli pojmie jej znaczenie, narodzi się na nowo. Ale tylko jeśli rozwiąże kluczowy dylemat, który ilustruje dzieło Santmartina: jaki mianowicie będzie następny ruch postaci pod całunem? W głąb ziemi czy w przeciwną stronę – ku życiu wiecznemu? Czy rzeźba obrazuje spokój śmierci, czy błogość odrodzonego życia? Nie sposób sprawdzić, czy Chrystus jest jeszcze martwy, czy już żywy. „Nie tykaj się mnie, bom jeszcze nie wstał do Ojca mego” (Jan 20, 17; przeł. Jakub Wujek) – powstrzymał Chrystus Marię Magdalenę, podobnie jak ochrona kaplicy powstrzymuje zwiedzających, którzy nie mogą się oprzeć.

Odkąd rzeźba stała się światową sensacją, turysta nie ma czasu na masonskie rytuały. Obsługa popędza, bo inni też przyjechali z całego świata, żeby podziwiać. Chrystus spoczął ostatecznie w centrum kaplicy, a większość z nas nie zwraca w ogóle uwagi na rzeźbę dookoła. Mimo to książę i tak osiągnął swój pedagogiczny cel. Kolejne tysiące zwiedzających co roku kontemplują śmierć Jezusa. Lub przynajmniej z zachwytem na nią patrzą. Piękno i kunszt tej rzeźby to estetyczna ko-

Kaplica Sansevero
jest wspaniałym epizodem
z dziejów oświeceniowego
rozumu, kiedy człowiek
nie chciał się specjalizować,
ale upierał się
wszystko ogarnąć
w harmonijną jedność.

rupcja zaleźnionego umysłu, który broni się przed rozważaniem własnej śmierci.

Najważniejsze pytanie

Jeśli chcemy odczuć jej terapeutyczne działanie lub przynajmniej uchwycić ideę kaplicy w trybie nieerudycyjnym, warto zacząć ją zwiedzać od pomieszczenia z „Maszynami Anatomicznymi”. Tak zostały nazwane – odtworzone w wosku – ciała mężczyzny i kobiety, z których zdjęto skórę, aby ukazać wnętrze oraz żyły i tętnice człowieka. Szok i odraza na widok makabrycznych eksponatów zmienia się w zachwyt, kiedy osłoni je skóra i całun oszalałająco pięknego posągu Chrystusa.

Teraz widać lepiej, o co chodziło księciu. Nasz zachwyt jest pułapką, gdyż podziwiając nakryte woalem martwe ciało, mimowolnie medytujemy nad tym, w co przystrojone są wszystkie naturalne „maszyny anatomiczne” na tej ziemi, nie wyłączając Boga, kiedy

stał się człowiekiem.

„Miała w trumnie strój bogaty, / Malowany w różne światy, / Że gdy w nim się zapodziała, / Nie wędrując – wędrowała. / Strój koloru murawego, / A odcienia złocistego, / Murawego – dla murawy, / Złocistego – dla zabawy” (Bolesław Leśmian „Strój”).

„Dla murawy” czy „dla zabawy” jest wszystko, co istnieje? To ostatnie i pierwsze, czyli najważniejsze pytanie na ścieżce mądrości, którą zbudował dla nas książę Rajmund w kaplicy Sansevero. Wezwany na pomoc Leśmian w balladzie o zgwałconej zbiorowo dziewczynie odpowiada, że po to i po to. Nadal nie rozumiem tej lekcji. Jaki sens ma ten krawat i płaszcz, i całun koronkami wykończony; całe to strojenie się, aż do śmierci?

No to jeszcze raz. Nie da się sprawdzić, czy żyją, czy nie. Chłopaki z wojny krymskiej i ukrzyżowany Jezus. Nie da się nawet przekonująco wyjaśnić, dlaczego ktoś im to zrobił i nadal robi, i to w tak okrutny sposób; na wojnie i podczas pokoju. Jedno wszelako jest pewne. Że zostały nam po nich na ziemi całun i narzędzia uśmiercania – instrumenty troski lub okrucieństwa wobec ludzkich ciał. Porzucone; gotowe do wykorzystania. No i my, żyjący przez chwilę wystarczająco długo, aby wybrać. Winni i tak już jesteśmy.

„I nie było nikogo, kto by jej nie zabił. // I nie było nikogo, kto by nie był dumny, / Że ją przeżył, gdy poszła wraz z hańbą do trumny. // Tylko Bóg jej nie zdradził i ślepo w nią wierzył / I przez łzy się uśmiechał, że ją w niebie przeżył. // „Ty musisz dla mnie pójść na śmierci wezglowiu, / A ja muszę dla ciebie trwać na pogotowiu! // Ty pójdziesz tą doliną, gdzie ustaje łkanie, / A ja pójde tą górą na twoje spotkanie. // Ty opatrzysz me rany, ja twych pieczęci ciernie, / I będziemy oddać w siebie wierzyli beźmiernie!”

© RYSZARD KOZIOŁEK

12 KWIETNIA

N O C —
K I N —
S T U D Y
J N Y C H

10-12 PAŹDZIERNIKA

N O C
P O E
Z J I

16 MAJA

N O C
M U Z
E Ó W

KRAKOWSKIE 2025
n c

14-15 SIERPNIA

N O C —
C R A C
O V I A
S A C R
A —

1 CZERWCA

N O C
T A Ń
C A —

12 LIPCA

N O C
J A Z
Z U —

14 CZERWCA

N O C
T E A
T R Ó
W —

O. WACŁAW

Oszajca: Dla kogo te święta



DLA CHRZEŚCIJAN – BRZMI ODPOWIEDŹ na pytanie w tytule. Ale co w takim razie mają ze sobą zrobić niechrześcijanie i ateści? Do świątecznego stołu i dzielenia się jajkiem (a w Narodzenie Pańskie opłatkiem), zasiadają wszyscy, bez względu na wszelkie względy. A że

w tym kraju „winą jest duża / Popsować gniazdo na gruszy bocianie, / Bo wszystkim służyć”, to też wielkim grzechem jest „popsować” wspólne rodzinno-przyjacielsko-religijne świętowanie, wszczynając spory, czyja wiara jest lepsza, czy przekonując, że religia to wytwór chorej wyobraźni, a jedynie ateizm jest godny rozumnego człowieka.

Zamiast skakać sobie do oczu, spróbujmy pomyśleć: skoro już jest tak, że przeciwieństwa „ogonami są związane”, to może mają wspólny mianownik? Może nie musimy walczyć? A jeśli coś musimy, to „wzajemnie dźwigać nasze ciężary” – czyli współdziałać, żeby współistnieć. Tak zwani trzeźwo myślący, ironicznie się uśmiechając, rzekną: czcze mrzonki, „daremne żale, próżny trud”, głupie marzycielstwo. Czyżby? Skoro Jezus z Nazaretu, którego śmierć wspominamy, jak też niemożliwa do policzenia rzesza ludzi, którzy tak jak On za wierność przekonaniu, że również śmierć ma sens, zapłacili i płacą życiem – czy to naprawdę nic nie znaczy?

O czym więc marzymy? W ostatecznym rozrachunku o świecie na miarę Człowieka-Boga. To marzenie sprawia, że człowiek nie ucieka od rzeczywistości. Przeciwnie, zanurza się w nią jak w bezdenną otchłań, i zaczyna w tych ciemnościach widzieć, że rzeczywistość nie jest jedynie bezsensowną gmatwaniną wydarzeń, skoro w takim świecie, jaki jest, całym sobą zaznał radości, był szczęśliwy. Zapisem tej rozmarzonej ludzkiej wędrówki są religie, mity o Edenie, Olimpie, Arkadii, Szeolu, Niebie i Piekło, Krainie Wiecznych Łowów itd. Do tych marzycieli coraz śmielej dochodzą ci nazywani naukowcami i opowiadają o dziesięciu wymiarach przestrzeni. Poeta Anioł Ślăzak radzi: „Pomyśl, że z niczego nagle coś się staje, / Śmierć wydaje życie, ciemność światło daje”. Dlatego: „Nie wierzę w żadną śmierć: choć marłbym co godzina, / To z każdą życie znów wspanialsze się zaczyna”. Dlatego w Święta Wielkanocne, wspominając o męce i śmierci człowieka, Syna Bożego Jezusa z Nazaretu, czytajmy równoległe Pieśń nad pieśniami. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Odpowiedzialność



KOLEJNY RAZ PRZED WIELKANOCĄ publikuję rozważanie jednej ze stacji Ekumenicznej Drogi Krzyżowej (odbyła się ona w Łodzi w piątek przed Niedzielą Palmową). Stacja XI „Jezus przybity do krzyża”:

Jesteśmy uczestnikami, a nie widzami tej sceny. Mówi o tym Apostoł Piotr w pierwszej mowie: „Tego Męża, który mocą wolnego zamysłu i przed-wiedzy Boga został wam wydany, wzięliście i przybiliście [do krzyża] i zabiliście rękami ludzi [żyjących] poza Prawem” (Dz 2, 23; przekład Biblii Jerozolimskiej). Nie ma wątpliwości co do tego, kto odpowiada za to, co się dzieje przy tej stacji – nawet jeśli młoty i gwoździe pozostają w „rękach ludzi żyjących poza Prawem”, tzn. rzymskich żołnierzy. Nie ma jak się schować przed tym „wy przybiliście!”. Lepiej – tak jak tamci słuchacze z dnia Pięćdziesiątnicy – pozwolić, aby te słowa „przeszyły [na wylot] nasze serca” (por. Dz 2, 37) i zapytać apostołów: „Co mamy czynić, Bracia?”. Usłyszymy: nawróćcie się, bo dla was jest obietnica przebaczenia grzechów i otrzymania Ducha Świętego.

Pytanie o odpowiedzialność za rany zadane Ciału Jezusa brzmi bardzo mocno: Kto odpowiada za podziały? Że do dziś trwają? Że także teraz Go bołą i krzyżują? W odpowiedzi usłyszymy to samo Słowo Boga: „Wy”. I znów, nie da się uciec w myślenie typu: „przecież ja nie wprowadzam w Kościele podziałów”, albo „czy ja kogokolwiek wyklinał?”.

Być może właśnie to potrzebujemy usłyszeć najbardziej: Chrystus Pan został nam wydany! Nie jest w rękach kilku „wybrańców”, którzy tworzą jego hierarchię: biskupów, pastorów, teologów. Nie. Został wam wydany. I wy Go przybiliście. Brakiem wyjścia jednych ku drugim, wspólnej modlitwy, wspólnego działania choćby w obszarze charytatywnym. Poczuciem samowystarczalności we własnym wyznaniu. Kwestionowaniem tego wszystkiego, co Duch Pana czyni w poszczególnych Kościołach i w relacjach między nimi. Obojętnością. Krytykantwem. Pamiętliwością.

Jeśli to Słowo „przeszyje nasze serca”, poprowadzi nas do nawrócenia, do przebaczenia i do przyjęcia Ducha. On jest Duchem jedności. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekołkcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

OBIECANKI MIJANKI

Doświadczenia wszystkich wyborów prezydenckich od 2005 roku ostrzegają przed przedwczesnym ogłaszaniem zwycięzcy. Na ostatniej prostej naprawdę wiele się tam działo. Dziś największą niespodzianką może być to, że nic nadzwyczajnego się nie zdarzy.

JAROSŁAW FLIS



RYWALIZACJA O URZĄD PREZYDENTA jest w naszym systemie politycznym tak pokrętnie skonfigurowana, że również w kampanii nic nie wydaje się proste. „Ojcowie-założyciele” naszej konstytucji pozszywali z różnych ustrojowych pomysłów przedziwne monstrum, które niby ma być głową państwa, ale nie jest w stanie kontrolować rąk (rządu) oraz nóg (parlamentu). Co najwyżej może te nogi krępować wetem.

Doświadczenia minionego ćwierćwiecza przekonują, że prezydent nie kontroluje niczego więcej poza swoją kancelarią. I nawet w tak sprzyjających okolicznościach jak sprawowanie urzędu w drugiej kadencji, z jednoczesną przynależnością do obozu mającego sejmową większość – a był to przypadek nie tylko Andrzeja Dudy, ale i Aleksandra Kwaśniewskiego – nikt nie stara się wciągnąć prezydenta w proces zarządzania państwem. Nie jest on też specjalnie użyteczny w rzucaniu kłód pod nogi wrogiemu rządowi, co było udziałem Kwaśniewskiego za czasów AWS i Lecha Kaczyńskiego za rządu Donalda Tuska. Koordynacja takich działań jest raczej w rękach lidera sejmowej opozycji, dla którego głowa państwa może być tylko użytecznym narzędziem.

Czyja flaga na maszcie

Również dla reelekcji prezydenta jego osobiste zasługi i starania nie mają wielkiego znaczenia. Ważniejsze jest, jak społeczeństwo ocenia aktualny rząd i jak bardzo prezydent może liczyć na zaangażowanie partyjnego i rządowego zaplecza (jeśli są z tego samego obozu). Sam kandydat może oczywiście też coś zepsuć, ale konsekwencje okażą się o wiele głębsze, jeśli to jego stronnictwo zacznie popełniać błędy. On sam na potrzeby kampanii ma raczej dobrze odegrać rolę człowieka sprawczego. Właśnie dlatego kandydaci z godną podziwu wiarą snują przed nami plany, które rzekomo wcielią w życie natychmiast po zwycięstwie.

Podstawowy sens elekcji jest jednak inny.

Chwałę wieczoru wyborczego prezydent dzieli ze swoją połową kraju, symbolicznie wciągając na maszt flagę własnej

drużyny. Nie – nie narodowej – tylko jednego z dwóch obozów, które na potrzeby tego rozstrzygnięcia musiały się uformować. Choć drużynom nie brakuje fanów, a nawet fanatyków, to nie wszyscy czują się zagorzałymi kibicami zwycięzcy. U wielu o tym, po czyjej stronie się opowiedzą, przesądza wyłącznie niechęć do konkurencji. Bo to, która flaga jest akurat na maszcie, oznacza też, której tam nie ma. Można się wtedy cieszyć, że nawet jeśli sprawy nie idą w dobrą stronę, to przynajmniej nie idą w złą. Ulga może być pożądanym uczuciem, jeśli nie ma szans na euforię.

Z wszystkich tych powodów jedno jest jasne dla całej klasy politycznej – lider silnej partii, który ma ambicję i w którego zasięgu jest funkcja premiera, nie będzie startował w wyborach prezydenckich. Dwaj gracze najcięższej wagi – Tusk i Kaczyński – nie daliby się na to namówić nawet zasypywani komplementami przez unizonych dworaków. To premier posiada w Polsce realną władzę, a poza tym obaj mają już za sobą nieudaną próbę i na pewno nieraz żalowali, że się na nią kiedyś w ogóle zdecydowali. Każda z tych prób mogła bowiem zakończyć ich karierę znacznie wcześniej, niżby sobie obaj życzyli. Nic też nie wskazuje na to, by po nieuchronnym odejściu starzejących się liderów miało się coś zmienić. Gdyby Rafał Trzaskowski został prezydentem, jedna rzecz w sprawie przywództwa w Platformie jest już niemal pewna – to nie on będzie następcą Tuska.

Nauczki z przeszłości

Powyższe reguły gry mają same w sobie niebanalny wpływ na przebieg kampanii, jednak najbliższe wybory odbywają się w realiach odmiennych od wcześniejszych. Dzieli je najkrótszy odstęp od wyborów sejmowych, w których doszło do zmiany rządu (przy rekordowej frekwencji). Do tego pomiędzy jednymi a drugimi wyborami były jeszcze dwa inne głosowania – samorządowe i europejskie. Obie te kampanie najwyraźniej nie przekonały PiS do korekty swojego podejścia do rzeczywistości.

Po porażce wyborczej racjonalne jest dokonanie zmiany poprzedzonej analizą, co poszło nie tak. Tymczasem wszystkie siły w przegranym obozie ułożyły się tak, że możliwy jest tylko jeden wspólny przekaz: byliśmy genialni – patriotyczni i kry-

stalicznie czysti – a władzę straciliśmy przez oszustwo naszych podłych przeciwników. W takiej strategii króluje nadzieja na powtórzenie triumfu Donalda Trumpa, który na podobnej nucie wrócił na utraczony cztery lata wcześniej urząd. Jeśli jednak PiS nie udało się utrzymanie u władzy – wzorem Orbána – przez cztery kadencje, to jeszcze gorzej może pójść próba naśladowania amerykańskiego idola.

Bo też Trzaskowski nie jest ani Joe Bidenem, ani Kamalą Harris. Kandydat KO przegrał poprzednie wybory, więc miał do odrobienia ważną lekcję. Na dziś wygląda to tak, że bardzo się stara nie tylko o to, by nie powtórzyć błędów sprzed pięciu lat, lecz także o to, by o takim właśnie jego podejściu mówiono. Całkowicie racjonalnie objężdża mateczniki PiS i stara się pokazywać w takich sytuacjach, które mają niwelować jego słabości z przeszłości. Tak jest choćby w przypadku zdjęć ze szkolenia wojskowego czy wyjścia z propozycją debaty z Karolem Nawrockim w Końskich.

Ważnym czynnikiem jest też doświadczenie Bronisława Komorowskiego z 2015 r., które doprowadziło do zaniżenia oczekiwań wobec Trzaskowskiego. Jednak spodziewany spadek poparcia po pojawieniu się pod koniec ubiegłego roku konkurentów nie uruchomił kuli śnieżnej. Notowania kandydata KO w styczniu się ustabilizowały, a w kwietniu nawet lekko odbiły w górę.

Jego atutem okazała się też krytyka ze strony mediów i środowisk, które zarzucają Trzaskowskiemu zbytni skręt ku centrum czy zgola w prawo. Taka krytyka ze strony najzagorzalszych zwolenników postępu – tych, którzy wyniosłym dydaktyzmem już nieraz zrażali umiarkowanych wyborców do swoich ulubieńców – najwyraźniej nie zmniejszyła poparcia do Trzaskowskiego, lecz ograniczyła liczbę tych, którzy mu nie ufają. Tak można interpretować zmiany w kolejnych sondażach.

Jeśli wejdiesz między kaczkę...

W przypadku medialnego zaplecza PiS brakuje choćby cienia takiego sceptycyzmu względem własnego kandydata. Zachwalany jako „obywatelski”, idealnie wpisuje się w narrację obozu Kaczyńskiego, zaś przynależący doń dziennikarze i publicyści odpowiadają na to niemal bezdyskusyjnym entuzjazmem. Tym samym przekreślając korzyści →

Spotkanie kandydata Konfederacji na prezydenta RP Sławomira Mentzena z mieszkańcami Kraśnika, 9 kwietnia 2025 r.

→ płynące z postawienia na kogoś, kto przecież nie jest z samego jądra partii, więc mógłby poszerzyć elektorat.

W przekazie Nawrockiego nie ma jednak niczego, pod czym nie podpisaliby się najbardziej radykalni i bojowi politycy PiS – Tarczyński, Fogiel czy Czarnek. Na spotkania organizowane przez Kluby „Gazety Polskiej” przychodzą ci, którzy ją czytają, bo zgadzają się z jej specyficznym opisem rzeczywistości. W tym duchu zadają pytania i komentują wypowiedzi kandydata. Skutki takiego codziennego treningu można ująć poprzez parafrazę znanej porzekadła: „jeśli wejdiesz między kaczki, kwaczysz tak jak reszta paczki”.

Lecz pomimo tego – a może właśnie dlatego – Nawrocki nie jest w stanie przyciągnąć wszystkich wyborców, którzy w przeprowadzanych równolegle sondażach partyjnych wskazują na PiS. Być może część z nich widzi w wyborach prezydenckich okazję do wysłania swojej partii sygnału ostrzegawczego? A może sympatycy PiS dostrzegają słabości Nawrockiego, o których partyjni i medialni aktywi nie chce publicznie rozmawiać? Tak czy owak, jego notowania zamiast rosnąć dalej po początkowym zrywie, zaczęły od stycznia spadać. Zamiast wyciekniętej mijanki z „Trzaskiem”, nad prezesem IPN zawisła groźba innej mijanki – z tym trzecim.

Nie jest nim jednak, tak jak przed pięciu laty, Szymon Hołownia. Zaskakujący swoją skalą wzrost poparcia stał się udziałem Sławomira Mentzena, a złożyło się na to kilka czynników. Na pewno w sporej części zapracował na sukces sam, wspierany przez środowisko zdolne do organizowania nawet kilku spotkań dziennie. Biegłość w wykorzystywaniu społecznościowych narzędzi została modelowo powiązana z bezpośrednim kontaktem z wyborcami. Skrzykiwane przez internet spotkania są okazją do „policzenia się” zwolenników i przykuwania uwagi mediów. Na początek tylko lokalnych, lecz

PiS nie umie skorzystać z wybrania Nawrockiego,
człowieka spoza jądra partii,
który mógłby poszerzyć
elektorat. Jego kampania
wpisała się w radykalną
narrację Kaczyńskiego.

z czasem też ogólnopolskich, które – niezależnie od sympatii czy może w tym wypadku antypatii – nie mogą odpuścić fenomenowi o takiej skali.

Przewagi tego trzeciego

Jednak zasadnicze znaczenie ma połączenie dwóch przewag, z których każda jest słabością pozostałych konkurentów. Wybory w tym właśnie czasie, przy znanych strategiach PiS i PO, dają szczególny bonus tym, którzy dotąd nie rządzą. W normalnych warunkach każde wybory są zasadniczo plebiscytem pozwalającym rozstrzygnąć prosty dylemat – czy ma być tak jak jest, czy ma być lepiej? Strategia PiS sprowadziła to do innego plebiscytu – czy ma być tak jak jest, czy tak jak było?

W tej sytuacji istotna część Polaków „prosi o inny zestaw pytań”. Hołownia „model 2025” stracił swoją przewagę, którą poza nim mieli wszyscy trzeci kandydaci w wyborach prezydenckich od 2005 r. – Lepper, Napieralski i Kukiz. Nie byli oni ani za aktualnym rządem, ani za poprzednim. Dziś w takiej roli nie występuje Hołownia, ale Mentzen.

Na jego korzyść działa także to, że jest w jednej z parlamentarnych partii realnym liderem, nawet jeśli nie jedynym. W dwóch poprzednich wyborach (sejmowych w 2023 r. i prezydenckich w 2020), które mimo wszystko okazały się porażkami Konfederacji, to współlider Krzysztof Bosak był twarzą partii. To on występował w debatach. „Konfa” nie gra więc dokładnie tej samej melodii, co poprzednim razem, i stara się o wrażenie, że zmieniła kierownictwo. To daje jej kolejną przewagę nad PiS.

Ustytuowanie Konfederacji nieco z boku opisywanej już nieraz w „Tygodniku” nowej osi ideowej podziału („góra-dół”) daje jej jeszcze inny bonus – może ściągać do siebie elektorat wszyst-

kich trzech największych list z ostatnich wyborów sejmowych. W sondażu IBRiS z połowy marca, właśnie wtedy, gdy Mentzen wspiął się na obecny poziom poparcia, głosowanie na niego deklarował co ósmy wyborca PiS, taka sama część wyborców Trzeciej Drogi i co dziesiąty sympatyk KO z 2023 roku.

Do stojących z boku jest podobnie daleko z góry, dołu i środka osi podziału. Czy w takiej sytuacji uda się rzeczywiście „wywrócić stolik” i przeorientować polską rywalizację? W przypadku partii niesięgającej jeszcze do ćwiartki wyborczego tortu wydaje się to ciągle dzieleniem skóry na niedźwiedziu. Tym bardziej że po szczerych wyznaniach w wywiadzie u Krzysztofa Stanisławskiego na temat aborcji i opłat za studia Mentzen znalazł się w impasie; sklejanie ekonomicznych liberałów i obyczajowych tradycjonalistów nie jest łatwe. Na korzyść Nawrockiego działa też zupełnie inna skala lokalnych struktur. Po zeszłorocznych wyborach Konfederacja ma 5 radnych powiatowych, a PiS – ponad 2000. Na pytanie o szanse na to, że trzeci stanie się drugim, wypada dziś odpowiedzieć krótko – pół na pół.

Ten – jak na razie – pierwszy

Ważkim czynnikiem w rywalizacji Nawrocki – Mentzen jest to, kto ma większą szansę na pokonanie Trzaskowskiego w drugiej turze. Żaden z nich nie posiada tu wyraźnej przewagi, co znacznie ogranicza też możliwość ostatecznej „mijanki” z Trzaskowskim.

Przewagi prezydenta Warszawy biorą się m.in. ze słabości konkurentów. Hołownia nie zainwestował za wiele w tworzenie bliskich związków z PSL, a jedność lewicy nie przetrwała tworzenia rządu z „libkami”. To dlatego Trzaskowski nie musi się specjalnie starać, by udowodnić, że spośród kandydatów obozu rządzącego to on ma największą szansę pokonania czy to Nawrockiego, czy Mentzena. Alternatywni kandydaci pozostają w wyczerpującym napięciu, mającym swe źródła w trudnościach koalicyjnego rządu – zdominowanego przez premiera, choć nie aż tak, by raz za razem nie dochodziło do spięć.

Trzaskowski nie jest jednak Tuskiem i z tego właśnie powodu przyciąga co czwartej wyborce Trzeciej Drogi sprzed półtora roku i co drugiego Nowej Lewicy. Daje mu to przewagę nad dwójką głów-



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”** co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka

w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach
na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

nych opozycyjnych kandydatów i nie grozi mu – a przynajmniej dziś niczego takiego nie widać – mijanka na prowadzeniu. Pytanie tylko, czy słabe wyniki koalicyjnych partnerów Platformy nie spowodują u nich panicznych ruchów – poważniejsze tarapaty rządu mogłyby się natychmiast przełożyć na wynik Trzaskowskiego. Dziś notowania gabinetu Tuska są takie sobie – lepsze niż w końcówce ery Morawieckiego, lecz sporo gorsze niż w jego najlepszych momentach, w 2019 roku.

Poza rozstrzygnięciem kwestii podziału władzy i symbolicznym ukierunkowaniem ideowych drogowskazów, majowe wybory prezydenckie są okazją do wysłania jeszcze jednego sygnału tym, którzy chcieliby rządzić. Możemy swoim głosem nagradzać tych, którzy się starają. Nie tyle próbując udawać kogoś zupełnie innego czy prowokować konkurentów do pokazania tego, co w nich najgorsze. Raczej sami starają się dostosować do naszych wymagających wyobrażeń – korygować swoje słabości, doskonalić zalety, otwierać na krytykę i szukać równowagi w społecznym życiu.

Głos w pierwszej turze jest nie tylko decyzją w sprawie tego, kto trafi do tury drugiej. Jest też sygnałem dla zawodników w ostatecznym pojedynku, na co powinni zwracać uwagę. Takie właśnie jego wykorzystanie wydaje się najlepiej służyć dobru wspólnemu. Na finałny „armagedon” w drugiej turze nic nie poradzimy – po raz kolejny spolaryzuje on społeczeństwo, u jednych pozostawiając poczucie triumfu, u drugich smutek i lęk. Możemy jednak zawczasu pomyśleć o tym, jak tych uczuć nie doprowadzać do ekstremum. Może to będzie największe zaskoczenie wyborów, że nie okażą się aż tak destrukcyjne dla naszego życia politycznego, jak te wcześniejsze? Stąd warto się przyglądać kandydatom. To przecież od naszych – wyborców – reakcji zależeć będzie to, o co oni będą się starać. Ani miejsce w układzie władzy, ani sposób wyboru same z siebie nie zachęcają kandydatów do spuszczenia z tonu i do trojski o całą wspólnotę. Musimy to wziąć na siebie. © JAROSŁAW FLIS



Domy pod estakadą w ciągu drogi krajowej nr 47 we wsi Lasek. 3 kwietnia 2025 r.

Głośno. Jeszcze głośniej

TEKST I ZDJĘCIA **AGNIESZKA KANTARUK**

Kosztowne zabezpieczenia akustyczne ciągną się kilometrami – przy polach i ugorach. Jednak lokalne społeczności nie są w stanie wyegzekwować ochrony swoich własnych domów. „Krowom ekrany zbudowali, ludziom nie” – mówią mieszkańcy Nowego Targu.

KAFARY WALIŁY TAK ZACIEKLE, ŻE w domach od hałasu nie dało się wytrzymać, a niektórym sąsiadom popękały ściany. Po zgiełku budowy miał przyjść następny: stały, codzienny hałas pojazdów na nowym odcinku Drogi Krajowej 47. „Zakopianka” przejeżdża nawet 30 tys. pojazdów na dobę – na starej drodze stały one najczęściej w wielogodzinnych korkach, nowa nitka umożliwia dużo szybszą jazdę. Ale szybko oznacza głośno. Bardzo głośno.

Pełna ochrona pastwisk

– Te hałasy wzbudziły naszą podejrzliwość. Zaczęliśmy się z sąsiadami zastanawiać, czy inwestor na pewno zadba o to, byśmy do końca życia nie musieli wegetować w ciągłym hałasie – wspomina Stanisław Tętnowski, mieszkaniec nowotar-

skiego osiedla Na Skarpie. Wczesną wiosną 2024 r. wraz z sąsiadami zaczął prywatne śledztwo. Przyglądali się budowie, zauważyli też montaż ekranów. Tyle że nie tam, gdzie mieszkają ludzie.

– Były przy ugorach, nieużytkach, pastwiskach, pomiędzy nową a starą nitką „zakopianki”, gdzie jest rów i kawałek zbocza, ale nikt tam nie mieszka – wylicza Stefan Pókała. – Gęsto zaludnione osiedla Na Skarpie, Bór, Niwa, Grel oraz wieś Lasek, nad którą przechodzi estakada, zostały bez ekranów.

Mieszkańcy skrzyknęli się do protestu. Jak wspomina Tętnowski, najpierw sądzili, że brak ekranów to jakiś błąd w projekcie. Racjonalnie nie umieli wyjaśnić, dlaczego za publiczne pieniądze stawia się ekrany tam, gdzie do niczego nie służą, a odmawia się ich osiedlom blisko

→ drogi. Napisać petycję, zebrali podpisy większości mieszkańców osiedla, zwrócili się do Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad, ale nie przyniosło to żadnego efektu. Samochody wjechały na asfalt zgodnie z planem – ekrany się nie pojawiły.

– W przeciagu jednej doby znaleźliśmy się w hałasie, który urywa głowy. To był niesamowity szok dla organizmu – wspomina Jarosław Fryc, którego dom znajduje się w odległości 40 metrów od estakady w Nowym Targu.

Zazwyczaj hałas narasta z czasem: albo pojawia się coraz więcej jego źródeł, albo zwiększa się natężenie pochodzące ze źródła już istniejącego – tak jak miało to miejsce w odniesieniu do starszych fragmentów „zakopianki”. Taki hałas też jest szkodliwy, ale część osób odczuwa przynajmniej iluzoryczne poczucie, że jakoś przyzwyczajają się do niego. Ale gdy kilkadziesiąt decybeli więcej pojawia się nagle, potrafi wyrzucić całe życie do góry nogami.

Skrajną zmianę akustyczną przeżyli mieszkańcy podkarpackiej wsi Czarna, której wjechała wprost pod okna część Paneuropejskiego Korytarza Transportowego, czyli trasy z zachodu na wschód, biegnącej przez terytorium Polski od przejścia granicznego z Niemcami w Jędrzychowicach, aż do przejścia z Ukrainą w Korczowej. Ich również zostawiono bez ekranów. – W czasie, gdy budowano tujejszy odcinek autostrady, podniesiono w Polsce, wbrew wytycznym WHO, dopuszczalne normy hałasu. Chodziło o to, by można było budować autostrady taniej, bez infrastruktury chroniącej przed hałasem – wspomina Łukasz Belter z miejscowego Stowarzyszenia na rzecz Wiedzy i Rozwoju „WiR Kopernik”, które zorganizowało akcję „Stop hałasowi od autostrady”. Ludzie zwracali się do władz gminnych i regionalnych, prosili o pomoc lokalnych polityków, w tym posłów. Nic nie wskórali, ale ich protest przerodził się w ogólnopolską inicjatywę, której efektem są prace nad obywatelskim projektem zmian ustawowych, mających wzmocnić ochronę przed hałasem. Chcą go złożyć na ręce Marszałka Sejmu RP.

Haczyk zbyt wysoko

Dlaczego o ekrany tak trudno jest się prosić? Wszystko zależy od wytycznych z analizy środowiskowej, wykonywanej dla konkretnej inwestycji. Jej autorzy,

Minister środowiska podwyższył dopuszczalne poziomy hałasu do tego stopnia, że mało co może je dziś przekroczyć.

Wszystko z powodu boomu budowlanego przed Euro 2012.

używając oprogramowania do obliczeń akustycznych, prognozują, czy dojdzie do przekroczenia dopuszczalnych norm. – Lokalizacja ekranów zawsze wynika z treści decyzji wydanych przez organy odpowiedzialne za ochronę środowiska. Dokumenty te wskazują, w których miejscach powstaną ekrany, jaki będą miały charakter, czy będą przezroczyste, czy tzw. pełne, i jaka będzie ich wysokość – potwierdza Kacper Michna, rzecznik prasowy krakowskiego oddziału GDDKiA.

Ogłuszające normy

Ale jest też pewien haczyk: dopuszczalne poziomy hałasu ustawione są w Polsce tak wysoko, że potrzeba naprawdę potężnego dźwięku, by oficjalny pomiar wykazał przekroczenia. Normy nie mają więc nic wspólnego z troską o nasze zdrowie, a jest tak od 2012 r. Wówczas minister środowiska Marcin Korolec, mając na celu ograniczenie kosztów robót drogowych w trakcie boomu budowlanego tuż przed Mistrzostwami Europy w Piłce Nożnej, podwyższył dopuszczalne poziomy hałasu do tego stopnia, że mało co mogło je przekroczyć. Zrobił to nie zasięgając opinii Ministerstwa Zdrowia ani innych jednostek naukowo-badawczych. Doprowadziło to Polskę aż przed Trybunał Sprawiedliwości UE, który w wyroku z 20 kwietnia 2023 r. stwierdził, iż Polska nie dostosowuje się do wymogów UE w zakresie walki z hałasem.

Skoro dopuszczalne poziomy hałasu są tak wysokie, to może przynajmniej nie są przekraczane? Ależ skąd! Polska jako kraj członkowski Unii zobowiązana jest do sporządzania raz na pięć lat strategicznych map hałasu, obrazujących stan narażenia obywateli. Sporządza się je dla miast powyżej 100 tys. mieszkańców, głównych dróg, lotnisk, linii kolejowych i obiektów przemysłowych. Można

się z nich dowiedzieć, że dopuszczalne normy hałasu są w Polsce przekraczane niemal wszędzie, gdzie tylko na władzach miast i zarządców obiektów generujących hałas spoczywa obowiązek ich opracowania.

Z map hałasu da się wyciągnąć konkluzję, że gdziekolwiek powstaje droga do szybkiej jazdy, z dużym obłożeniem, tam ludzie będą narażeni na bardzo intensywny hałas. Ale mapy mapami, a nowe inwestycje mają swoje prawa. Jak pokazał dalszy ciąg nowotarskiej historii, opinia środowiskowa to dokument mający większą władzę niż ministerstwo, organy ochrony środowiska, posłowie, burmistrz, wójtowie i radni razem wzięci. To akustyk rozdaje karty, decydując w pojedynkę, jak zostaną rozdysponowane setki tysięcy złotych na ochronę przed hałasem i kogo ta ochrona obejmie – ludzi czy krowy. I nikt nie może zakwestionować jego decyzji, co rzuca pewne światło na fakt, dlaczego w kraju stoją kilometrami ekrany w miejscach, gdzie nikt nie mieszka, a jednocześnie nie można się doprosić ochrony akustycznej na terenach gęsto zaludnionych.

Dodatkowo opinie środowiskowe sporządzane są na długo przed tym, nim rzeczywiście do robót budowlanych, a po nich – do otwarcia trasy. Tymczasem „pomiędzy” wiele się dzieje. Z danych Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców wynika, że z końcem 2023 r. zarejestrowanych było w Polsce 27 mln 347 tys. samochodów osobowych (co trzeci ma co najmniej 20 lat), 672 tys. więcej niż rok wcześniej. W roku 2024 pulę zasililo kolejne 967 tys. pojazdów. Dla porównania: w 1990 r. wszystkich aut w kraju mieliśmy 5,2 mln.

Prawo bez konsekwencji

GDDKiA w ciągu roku od uruchomienia nowej drogi jest zobligowana do przeprowadzenia analizy porealizacyjnej oraz do oceny wcześniejszych prognoz (na co ma kolejnych sześć miesięcy). Dopiero po półtora roku może się więc okazać, że zmuszono ludzi do życia w hałasie nie do wytrzymania. Nikt nie poniesie za to konsekwencji, bo prawo żadnej odpowiedzialności w tej kwestii nie przewiduje.

– W naszej społeczności żyją osoby ciężko chore, często wymagające skomplikowanej rehabilitacji, które nie mogą



JAROSŁAW FRYC w ogrodzie swojego domu w pobliżu drogi krajowej nr 47 poprowadzonej na estakadzie. Nowy Targ, osiedle Na Skarpie, 3 kwietnia 2025 r.

czekać tak długo – mówi Aneta Piłat, która razem z sołtysiem wsi Lasek Józefem Skotnickim koordynowała wysyłanie pism do wszystkich adekwatnych instytucji po tym, jak 30 sierpnia 2024 r. uruchomiono nowy odcinek DK 47, a wieś znalazła się w strefie silnego hałasu. Przechodzi nad nią olbrzymi wiadukt, zaś brak ekranów przekłada się też na fakt, że w przypadku stłuczek albo odśnieżania wszystko, co spada z konstrukcji, ląduje w ogródkach albo na lokalnej drodze.

Ostatnie pismo, z prośbą o wykonanie pomiarów hałasu, trafiło do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Krakowie. – Ekran to jedno, ale by starać się o lokal zastępczy dla osoby ciężko chorej, która nie może przebywać non-stop w hałasie i wibracjach płynących od drogi, musimy mieć dowody w postaci wyników pomiarów – wyjaśnia Aneta Piłat. Na pismo wysłane 21 stycznia 2025 r. odpowiedź wciąż nie nadeszła.

Bezskuteczne okazały się też wszystkie wnioski kierowane do GDDKiA oraz instytucji ochrony środowiska przez władze Nowego Targu. Radna Ewa Pawlikowska nie może się tej sytuacji nadziwić: – Przecież hałas, zaraz po smogu, ma najbardziej negatywny wpływ na zdrowie ludzi i niesie z sobą poważne koszty społeczne.

Najgorsze jest to, że instytucji, które powinny o nas w tej kwestii dbać, nie brakuje. Mamy Wojewódzkie Inspektoraty Ochrony Środowiska i Regionalne Dyrekcje Ochrony Środowiska, podlegające Ministerstwu Klimatu i Środowiska; urzędami adekwatnymi do zgłaszania pro-

blemów z hałasem są jeszcze starostowie i marszałkowie województw. Jednak ludzie walczący z hałasem są mocno rozczarowani tymi instytucjami. „Pisma można pisać, ale hałasu od tego nie będzie mniej” – to jeden z typowych komentarzy.

W efekcie np. mieszkańcy podkrakowskiej Modlnicy, gdzie w grudniu 2024 r. otwarto kolejny fragment północnej obwodnicy Krakowa (z ekranami przy polach, a bez ekranów przy osiedlach), chodzą po domach w ochronnikach słuchu i błagają o pomoc w telewizyjnych programach, a ci, którzy odczuwają w domach hałas od krajowej siódemki w rejonie, gdzie jest ona wylotówką z Krakowa na Warszawę, chodzą po przejściu dla pieszych z transparentami i blokują ruch na drodze w Widomej.

Tak jest w całym kraju. W samej Warszawie trwa jednocześnie kilka protestów, m.in. o brak ekranów przy trasach S7 i S8. Łącznie liczba podobnych akcji obywatelskich idzie w setki.

Procedury zabijają protesty

Mieszkańcy nowotarskich osiedli pisma do WIOŚ i RDOŚ wysłali jesienią 2024 r. Prosilili o stwierdzenie, czy dochodzi u nich do przekroczenia dopuszczalnych poziomów hałasu, czy nie. Ich listy, bez względu na to w jakiej formie i do kogo je adresowali, trafiły na biurko mgr inż. Ewy Gondek, kierownika Delegatury WIOŚ w Nowym Sączu, która odpisała wszystkim to samo: „Przedmiotowa sprawa pozostaje poza kompetencjami WIOŚ, gdyż dotyczy braku wykonania ekranów akustycznych przewidzia-

nych w projekcie ww. inwestycji drogowej”, wobec czego WIOŚ przekazuje pisma od mieszkańców Małopolskiemu Wojewódzkiemu Inspektoratowi Nadzoru Budowlanego.

Tego było już mieszkańcom za wiele: przecież informacja o tym, że ekranów nie ma w żadnym projekcie, była podawana publicznie już od wiosny 2024 r., mówili o tym także przedstawiciele władz oraz GDDKiA. Ludzie napisali więc do Ministerstwa Klimatu i Środowiska z błaganiami o pomoc, ale skończyło się na tym, że ich sprawę odesłano do jednostek, które nie zajęły się nią dotychczas. Przekierowano ją również do wyjaśnienia do Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego.

W końcu biurokratyczna przepychanka zdenerwowała podhalańskiego posła Andrzeja Guta-Mostowego, któremu wyjaśnienia w sprawie składał na piśmie marszałek Sejmu Szymon Hołownia, zasięgnąwszy wcześniej wiedzy od wiceministra infrastruktury Stanisława Bukowca. Poseł PiS dowiedział się w ten sposób tego, co wszyscy: nie ma ekranów, bo nie było ich w projekcie, a nie było ich w projekcie, bo analiza środowiskowa wykazała, że ich być nie musi. Czyli dalej nic, tylko krowy ekrany mają.

Teraz władze miasta i mieszkańcy mogą zrobić już tylko jedną rzecz: zlecić akredytowanemu laboratorium akustycznemu wykonanie pomiarów hałasu, a po uzyskaniu potwierdzenia, że dochodzi do przekraczania dopuszczalnych poziomów, wrócić ze sprawą do marszałka województwa, opierając się na art. 362 Prawa Ochrony Środowiska. Zadaniem marszałka będzie w takiej sytuacji doprowadzenie do rozwiązania problemu, ponieważ jak czytamy w uzasadnieniu wyroku Sądu Najwyższego w podobnej sprawie: „Tolerowanie przez organy samorządu terytorialnego przekroczenia dopuszczalnych norm hałasu jest działaniem bezprawnym, mogącym naruszać dobra osobiste osób”. Nie da się jednak przeoczyć, że stopień skomplikowania procedur prowadzących do zmniejszenia uciążliwości hałasu drogowego jest tak znaczący, iż wielu poszkodowanych w ogóle takiej walki nie podejmie. A dopóki to się nie zmieni, przyrost liczby dróg w kraju będzie dumą dla rządu, ale dla ludzi zmuszonych żyć w ich cieniu – niekończącą się udręką.

© AGNIESZKA KANTARUK



Agata Boruszkowska

Telefon grzecznościowy

MAREK RABIJ

Wisi za klientów na infoliniach, przekłada im egzaminy, składa reklamacje. Odwoływała już nawet ślub. Dziewięć złotych za trzy minuty połączenia, plus złotówka za każdą następną. Okazja dla każdego, kto się boi telefonować.

JUŻ NA POCZĄTKU ROZMOWY ZASTRZEGA: nie jest psycholożką. Ostatnie dwa lata obfitowały wprawdzie w okazje do ciekawych obserwacji, ale nie chce wyciągać z nich daleko idących wniosków. Nie jej rolą jest ocenianie emocji czy motywacji tych, którzy się z nią kontaktują.

– Ja tylko dzwonię – zaznacza.

„Biznesik”

Na prośbę o rozmowę Agata Boruszkowska odpowiada błyskawicznie z firmowego konta „Ale to ja dzwonię” na Facebooku. Podaje numer kontaktowy,

ale popełniam czeski błąd, wybierając go na klawiaturze telefonu i w efekcie przez prawie trzy godziny wydzwaniam do nieszczęśnika, którego numer jest ludzko podobny. W końcu odbiera i w dosadnych słowach wyjaśnia mi, co myśli o kimś, kto właśnie zmarnował mu dzień urlopu.

– Nienawidzę telefonów z nieznanymi numerów – rzuca z furją.

Dalej będzie już łatwiej. Dzwonię pod ten właściwy i umawiam się z panią Agatą na rozmowę – nie tyle o firmie, co o jej klientach. Ludziach, którzy do tego stopnia nie lubią rozmawiać przez telefon, że gotowi są zapłacić komuś za to, by ich w tym wyręczył. Temat ewentualnego potencjału rozwojowego tego typu działalności jej pomysłodawczyni ucina od razu. – To nie biznes, raczej biznesik – mówi. – Są dni, kiedy mam po pięć spraw do załatwienia, a są też tygodnie, kiedy nie zbiera się ich tyle i przez pięć dni roboczych. Moim podstawowym zajęciem pozostaje opieka nad dziećmi. Jestem zawodową nianią.

Klientów Agata niańczyć jednak nie zamierza. Płatność za wykonaną usługę ma być na jej koncie w terminie ustalonym i kropka. Kto się spóźnia, musi się liczyć z ponagłającymi telefonami windykacyjnymi. Przygniatająca większość nie ryzykuje i płaci w terminie.

Bez CTRL Z

– Nieśmiałość? – powtarza moje pytanie Boruszkowska. – Część osób, którym pomagam, z pewnością można nazwać wycofanymi. Niektórych nawet opisałabym wręcz jako załężnionych. Ale problem jest o wiele szerszy.

Wachlarz motywacji stojących za decyzją, by prosić obcą osobę o telefon w swojej sprawie, rozciąga się jej zdaniem od przypadków, które faktycznie można wytłumaczyć nieśmiałością, aż po chłodną kalkulację, w której chodzi jedynie o oszczędność czasu. Najczęściej w rachubę wchodzi jednak przekonanie, że rozmowa telefoniczna jest najbardziej niedoskonałą spośród wszystkich współczesnych form komunikacji.

– Często słyszę od klientów, że woleliby już pojechać i załatwić sprawę na miejscu, niż wisieć na słuchawce. Rozmowa na żywo to pełen kontakt z jego emocjami, gestykulacją, mimiką, czyli też mniejsze ryzyko opaczego odczyta-

nia intencji rozmówcy. Tym, którzy źle znoszą kontakt w cztery oczy, rozmowa telefoniczna nie zapewnia z kolei takiego komfortu, jaki daje komunikacja na przykład mailem. Nie ma tu jakiegos odpowiadnika „CTRL Z”, z pomocą którego w każdej chwili można by było cofnąć to, co się powiedziało.

Nasza rozmowa nieuchronnie skręca w stronę ciężaru gatunkowego spraw, które Agata załatwia dla swoich klientów. Pytam więc, czy nie boi się brać takich, które – na wypadek fiaska – wiązałyby się z poważnymi kłopotami dla kontrahentów. – Nie – odpowiada zdecydowanym tonem Boruszkowska. – To nie moja sprawa. Nigdy nie zobaczę tych ludzi.

Zdumienie, z jakim przyjmuję tę odpowiedź, każe jej jednak natychmiast uściślić, że miała na myśli wyłącznie dystans do materii, z którą przyszło by się jej zmierzyć. – W trudnych sprawach ktoś taki jak ja, osobiście w nie niezaangażowany, może wiele zdziałać, zachowując spokój i dystans – podkreśla. – Fakt, że się niemal na pewno nigdy nie poznamy, również może działać uspokajająco na moich mocodawców.

Klienci pani Agaty mają rację. Przez telefon rzeczywiście łatwo o nieporozumienie.

W dziekanacie bez zmian

Zdarzyło się jej już zlecenie odwołania rezerwacji sali na wesele i zwolnienia terminu zaklepanego z kapelą, która miała zagrać młodemu do pierwszego poślubnego tańca. Ślub się wysypał, a niedoszłą pannę młodą przerosły tak trudne powinności. Innym zleceniem specjalnym Agaty było wcielenie się w narzeczoną chłopaka, któremu nie dawała spokoju natrętna adoratorka – i powiadomienie jej, w dość stanowczy zresztą sposób, by trzymała się od niego z daleka. Najbardziej skomplikowaną, a przy okazji także najbardziej rentowną misją okazał się kontakt z obsługą klienta internetowej platformy komunikacyjnej Discord. Agata wisiła wtedy na słuchawce z półtorej godziny, przekazując na bieżąco klientce na czacie pytania i polecenia konsultanta. Przy stawce 9 zł za trzy pierwsze minuty połączenia plus złotówka za każdą kolejną rozpoczętą, uzbierało się tego niemal sto złotych.

Tak długie rozmowy trafiają się rzadko. Na co dzień Boruszkowska załatwia głów-

nie proste formalności do ogarnięcia w kilka minut. Na liście zleceń dominuje m.in. umawianie wizyt w urzędzie lub u lekarza. Regularnie pojawiają się na niej także biurokratyczne formalności. Obserwacje z tego ostatniego wycinka polskiej rzeczywistości skłaniają Agatę do ostrożnej konstatacji, że niemal feudalna relacja urzędnik–petent w większości instytucji publicznych przekształciła się w bardziej partnerski układ urzędnik–obywatel. No, z nielicznymi wyjątkami.

– Okazuje się, że w dziekanatach uczelni niewiele się zmieniło w ciągu tych kilkunastu lat, które minęły od momentu, kiedy sama zaglądałam do nich jako studentka – śmieje się Boruszkowska. – Regularnie zdzerzam się tam ze zniecierpliwieniem, opryskliwością, zdarzają się też pretensje, że dzwonię, zamiast przyjść osobiście. Rzadko stykam się natomiast z niechęcią wynikającą z faktu, że dzwonię w czyimś imieniu. Zresztą najczęściej się nie przedstawiam.

Starsze pokolenia pracujące ze studentami zdążyły się już przyzwyczaić, że młodzi nie znoszą telefonować. Jeśli coś można załatwić mailem, wyślą wiadomość. Gdy w rachubę wchodzi jedynie kontakt bezpośredni, wybiorą raczej komunikator, czasem nawet „głosówkę”, czyli krótkie nagranie przesłane potem czatem. Cokolwiek – byle uniknąć rozmowy. Trzy czwarte klienteli stanowią osoby, które nie skończyły 35 lat, czyli właściwie rówieśnicy urodzonej w 1989 roku Agaty.

– Z większością dogaduję się bez problemu, mam już nawet jednego stałego klienta. Jeśli coś nas różni, to głównie fakt, że ja po prostu lubię rozmawiać przez telefon – zapewnia.

„Ładnie się przedstaw”

Żeby sprawdzić dokładną godzinę, kiedyś dzwoniło się na zegarynkę. Usługa miała jeszcze jedną ważną funkcję: dzieci trenowały na niej umiejętność telefonowania. Wcisnęły paluszki w oznakowane cyframi otwory tarczy do wybierania numeru. Dowiadywały się, że tarczę trzeba przepchnąć w górę aż do oporu, bo inaczej z połączenia nici. Uczyły się kodu sygnałów w słuchawce: ciągły – gotowość do wybrania numeru. Krótki przerywany – linia zajęta. Dorośli, jak przystało na telekomunikacyjnych wyjadaczy, czasem robili z tej okazji mniej lub bardziej wy-

szukane żarty. Właśnie przez to Agacie wryła się w pamięć jej pierwsza rozmowa telefoniczna.

– Miałam chyba sześć lat. Tata powiedział, żebym zatelefonowała na zegarynkę. „Tylko ładnie się przedstaw” – podkreślił. No to zadzwoniłam, powiedziałam grzecznie dzień dobry. Rodzice zaczęli się śmiać, oczywiście życzliwie, ale poczułam zaskoczenie, nawet lekkie zawstydzenie – wspomina.

Tamten telefon na szczęście nie zainicjował procesu, który doprowadziłby ją do tego samego, z czym zmagają się dziś wielu jej rówieśników. W przypadkach skrajnych psychologowie mówią wręcz o telefonofobii, paraliżującym lęku na samą myśl o rozmowie telefonicznej – nieważne, czy przychodzącej, czy wychodzącej.

Psychologowie zwykle tłumaczą to jako rezultat zaburzonej oceny bilansu zysków i strat, na które naraża rozmowa telefoniczna. Po stronie plusów jest głównie wygoda. Minusy to z kolei spektrum potencjalnie nieprzyjemnych doświadczeń, do jakich może doprowadzić telefon. Na czele z niezrozumieniem, a nawet krytyką, lekceważeniem i odrzuceniem. Rozmowa telefoniczna nie zapewnia jeszcze tej anonimowości, jakiej dostarcza sieć, gdy łatwo przekroczyć granice polemiki i osunąć się w hejt. Ale to już nie to samo co kontakt w realu, który krytykującemu każe bardziej żywić słowa. Sięgając po telefon, często płacimy więc poczuciem bezpieczeństwa za szybkość i wygodę komunikacji. A dla części społeczeństwa to już transakcja nieopłacalna.

Boisz się dzwonić? Zadzwoni

Brytyjscy ekonomiści zdążyli obliczyć, że światowa gospodarka co roku może stracić około 136 mld dolarów przez niewykonane na czas telefony, niedogadane do końca transakcje, niesprawdzone okazje na biznes i inne grzeszki, które popełniają na całym świecie pracownicy obawiający się do kogoś zadzwonić. Nawet jeśli podobne estymacje nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością, to tworzą na rynku usług kolejną niszę, w którą można wcisnąć specjalistyczny raport, szkolenia z przełamywania barier komunikacyjnych czy warsztaty dla tych, którym telefonofobia zaczyna już przeszkadzać w codziennym funkcjonowaniu.

→ Wysyp tego typu ofert nastąpił zwłaszcza w okresie pandemii, gdy narzucone przez państwo reguły dystansu społecznego w wielu przypadkach *de facto* skazywały na korzystanie z telefonu. W USA – jak wynika z pobeżnej rynkowej kwerendy stacji NBC – najlepsi specje od tego zagadnienia inkasują dziś po 480 dolarów za godzinną sesję terapeutyczną. A jeśli coś pojawiło się w Stanach, musi zaistnieć też nad Wisłą. Ceny – do podania na życzenie. Do dwóch osób przedstawiających się w sieci jako terapeuci oferujący takie usługi próbowałem się dodzwonić. Żaden nie odebrał.

– Jak to się u mnie zaczęło? – Agata swoim zwyczajem powtarza pytanie, a w słuchawce w tle dobiegają głosy dzieci na placu zabaw. – Dwa lata temu dobra znajoma zwierzyła mi się z poważnych problemów. Radziłam jej, żeby się zgłosiła do psychiatry, ale odpowiedziała, że nie ma siły nawet na telefon. Wtedy przypomniałam sobie, że mam wszystkie jej dane osobowe potrzebne do zarejestrowania jej na taką wizytę. Zadzwoiłam,

Rozmowa na żywo
to pełen kontakt z emocjami
rozmówcy, jego gestykulacją,
mimiką, czyli też
**mniejsze ryzyko opacznego
odczytania intencji.**

załatwiłam sprawę. Miałam obawy, że koleżanka nie przyjmie tego zbyt dobrze, ale okazały się nietrafione. Powiedziała mi, że czuła ulgę, że ktoś zrobił to za nią. Wtedy pomyślałam, że mogłabym tak pomagać innym osobom, które dzwonić nie znoszą. Byłam wtedy na urlopie wychowawczym. Mąż zrobił mi logo, opracowałam ofertę i wrzuciłam ogłoszenie na jedną z grup ogłoszeniowych.

Kilka tygodni później Agata zrealizowała pierwsze zlecenie. Podała stan licznika za kogoś, kogo inkasenci z elektrowni nie zastali w domu.

Telefon zaufania

Na dziesięciu klientów, którzy proszą ją o pomoc, aż dziewięć stanowią kobiety. Agata nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, skąd bierze się aż taka ich nadreprezentacja w tej grupie. Być może wynika z patriarchalnego podziału obowiązków w polskich rodzinach, który bieżące obowiązki wciąż zrzuca głównie na panie? A może nielubiących dzwonić kobiet jest w populacji procentowo tyle samo, ile mężczyzn, ale pragmatyczne dziewczyny częściej niż oni szukają rozwiązania dla swojego problemu?

– Jedno wiem – zapewnia Agata. – Dostaję sporo wiadomości, w których piszą mi, że jeszcze nie czują potrzeby, żeby korzystać z mojego pośrednictwa, ale uspokaja ich sama świadomość, że gdyby kiedyś musieli, to już wiedzą, gdzie szukać pomocy. Bardzo to miłe i motywujące.

Z jednym zastrzeżeniem. Po dniu spędzonym na telefonach w czyimś imieniu Agacie zazwyczaj nie chce się już dzwonić w swoich sprawach.

© P MAREK RABIJ

REKLAMA

ZACZYTAJ SIĘ
NA WIELKANOC

Prześwity

NARODZINY I UPADEK NAJWIĘKSZYCH POTĘG ŚWIATA MOCARSTW
PAUL KENNEDY
PRZEOŻYŁ DR GRZEGORZ KUŚNIERZ

WOJNY HANDLOWE TO WOJNY KLASOWE
Prześwity

WSZYSTKIE E-BOOKI I AUDIOBOOKI

-45%

KOD: TYGODNIK45

PRZESWITY.PL

Usłyszcie nas

ANNA GOC

Polski język migowy to język, w którym myślimy, kochamy, śnimy. Brak jego uznania to brak uznania naszej tożsamości – mówi Maciej Kortas, jeden z organizatorów protestu głuchych.

IDZIEMY PO LEPSZE JUTRO” – Z TYM HASEM głusi wyszli na ulice 4 kwietnia w Warszawie. I przypomnieli, jak wygląda ich codzienność „dzisiaj”.

– Każdego dnia docierały do nas historie głuchych z całej Polski. O trudnościach w szkole, w pracy, w szpitalach. O samotności i braku wsparcia – pisze Maciej Kortas, głuchy od urodzenia, współorganizator protestu. – Przeanalizowaliśmy je i wybraliśmy te problemy, które się powtarzały i które były najbardziej palące.

Cisza nie oznacza zgody

Protestujący nieśli transparenty: „Nasza cisza nie oznacza naszej zgody”, „Rządzący, skończcie ze stereotypami, słuchajcie nas”, „Głusi nie są obywatelami drugiej kategorii”, „Król Stanisław August Poniatowski miał głuchego szambelana”.

Byli głośni: uderzali w bębny, pokrywkę kuchenne, używali megafonów. Głusi liderzy wchodzili na murki lub fasady pomników, by ich migające dłonie były widoczne. Co jakiś czas i tłum unosił ręce, kręcił nimi w powietrzu – tak się bije brawo w polskim języku migowym (PJM).

– Ludzie przyjechali z całej Polski, wielu uczestniczyło w czymś takim po raz pierwszy. I wszyscy mówili to samo: mamy dość bycia niewidzialnymi. Niestety, mimo protestów w 2013 i 2014 roku, sytuacja osób głuchych niewiele się poprawiła – pisze do mnie Kortas.

W mediach społecznościowych głusi od kilku tygodni publikowali vlogi ze swoimi historiami i zachęcali do udziału w proteście. Nagrywali je w PJM i doda-



Protest osób głuchych „Nie damy się uciszyć”. Warszawa, 4 kwietnia 2025 r.

wali napisy, by filmy były dostępne także dla słyszących.

Głucha kobieta opowiedziała, że gdy trafiła z głuchym narzeczoną na szpitalny oddział ratunkowy, nikt nie zapewnił im tłumacza. W poczekalni zorientowali się, że drzwi gabinetu otwierają się i lekarz wywołuje pacjentów, nie ma jednak wyświetlacza, dzięki któremu mogliby się zorientować, że nadeszła ich kolej. Gdy poprosili o tłumacza PJM przed badaniem i rozmową z lekarzem, osoba w rejestracji odpowiedziała, że „jest jej przykro, bo tłumacza nie mają”.

W 2019 roku weszła w życie ustawa, która miała zagwarantować osobom głuchym dostępność usług w instytucjach publicznych, także w szpitalach. Zgodnie z ustawą – miga dalej głucha kobieta – „trzy dni wcześniej trzeba zgłosić zapotrzebowanie na tłumacza”. I pyta, w jaki sposób głusi mają zgłosić potrzebę tłumaczenia w sytuacjach nagłych, bo tego ustawa nie reguluje.

Chodzi o godność

O perspektywę głuchych kobiet, także w kontekście opieki okołoporodowej, zapytałam Agnieszkę Szyć-Luczywek, osobę słabosłyszącą, jedną z organizatorek protestu. – Wciąż wiele głuchych kobiet chodzi do lekarza bez tłumacza, bo ich nie stać na prywatną usługę, a w publicznych placówkach często nie ma tłumacza, mimo że prawo nam to gwarantuje – odpisuje Szyć-Luczywek. – Brak tłumacza w czasie porodu oznacza stres, strach i poczucie samotności. Kobieta może nie zrozumieć poleceń personelu, nie ma możliwości o cokolwiek zapytać.

Po porodzie głucha mama często nie wie, co się dzieje z jej dzieckiem, jak karmić piersią, jak je pielęgnować. Nie ma z kim o tym porozmawiać, bo personel nie zna PJM. Pisanie w takich momentach, kiedy kobieta jest zmęczona, w bólu i przestraszona – nie działa.

I dodaje: – Dlatego tak ważne jest, by polski język migowy został uznany za pełnoprawny język, którym posługują się tysiące obywateli. Nie chodzi tylko o przepisy, lecz także o godność, bezpieczeństwo i równe traktowanie.

Nieważni

We vlogu głuchego mężczyzny, który opowiedział o tym, jak wygląda sytuacja osób głuchych na rynku pracy, powraca znany głuchym odruch machnięcia ręką – „nieważne”. W ten sposób reagują czasami słyszący, gdy zauważają trudności w komunikacji z głuchymi.

Głuchy miga, że wszedł na rozmowę kwalifikacyjną, położył CV na stole. Gdy rekrutujący zaczął do niego mówić, głuchy pokazał, że nie słyszy. „Była chwila dezorientowania i skierował oczy ponownie na CV. Pokazał gestem, że bym poczekał i wyszedł” – miga mężczyzna. Słyszający wrócił po chwili i napisał na kartce, że nie mają tłumacza, na co głuchy odpisał, że mogą negocjować pisemnie. Przekonywał na kartce: „że ma złote ręce”, „że szybko się uczy” i „że ma chęć do pracy”. Prowadzący rozmowę zadzwonił gdzieś i wyszedł. „Nagle wkroczył agresywnie ochroniarz” – miga głuchy. – „Kazał mi się wynosić”.

Ci, którzy są blisko środowiska, wiedzą, że podobne doświadczenia ma

→ wielu głuchych. – Szacuje się, że nawet osiemdziesiąt procent osób głuchych nie ma pracy – pisze w wiadomości do mnie Kortas.

Język naszych snów

Tym, co zmieniło się w ostatnich latach, jest świadomość dotycząca polskiego języka migowego, także wśród głuchych.

– Byłem poruszony, gdy zobaczyłem podczas protestu kilka banerów z hasłem „Polski język migowy do konstytucji jako język urzędowy”. To dowód na rosnącą wśród głuchych świadomość dotyczącą uznania PJM – napisał w odpowiedzi na moje pytania Daniel Kotowski, artysta wizualny, znany między innymi z performance’u, w którym jako osoba głucha, która nie posługuje się językiem polskim mówionym, czytała na głos fragmenty Konstytucji RP.

Głusi chcą uznania PJM. Co to oznacza? – Sytuację zmieniliby wpisanie PJM jako języka urzędowego do Ustawy o języku migowym z 2011 roku – odpowiada Krzysztof Kotyniewicz, prezes Polskiego Związku Głuchych.

I podkreśla, że to pociągnęłoby kolejne zmiany: przede wszystkim w zakresie edukacji osób głuchych i dostępności instytucji publicznych. Czyli w tych obszarach, które są najpilniejsze.

– Uznanie PJM za język mniejszości kulturowo-etnicznej to nie tylko formalność. To podstawa do zmian w prawie, w edukacji i w świadomości społecznej – pisze do mnie Kortas. – Dziś PJM jest traktowany jak „pomoc komunikacyjna”. A to nas boli. PJM to nasz pierwszy język. Język, w którym myślimy, kochamy, śnimy. Brak jego uznania to brak uznania naszej tożsamości.

Liderzy protestu spotkali się z przedstawicielami Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, a także z Łukaszem Krasoniem, pełnomocnikiem rządu ds. osób z niepełnosprawnościami. Wśród postulatów pojawiło się stworzenie od dawna dyskutowanego i przygotowywanego Centrum Komunikacji PJM, które miałyby zapewniać dostępność komunikacyjną głuchym w całym kraju. I zapowiedź kolejnych spotkań. – Najbliższe, zaplanowane na koniec kwietnia, ma dotyczyć edukacji – dodaje Kotyniewicz. © ANNA GOC

OPP / FOT. GRAZYNA MAKARA

TYGODNIK POWSZECHNY



ANNA GOC,
dziennikarka.
Na zdjęciu
z redaktorem-
seniorem
ks. Adamem
Bonieckim
w redakcji
„Tygodnika”

*Dla „Tygodnika Powszechnego”
opisuję historie ludzi i zwierząt.
Dzięki reportażom jesteśmy
blisko nich. Moja redakcja wierzy,
że takie teksty mogą naprawić świat.
Twoje 1,5% to pewna inwestycja
w rzetelne dziennikarstwo społeczne.*

**Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie
ma realną moc. Masz pytania?
Zadzwoń: 12 426 53 31
lub napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl
– chętnie pomożemy!**

1,5%



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

» KRS 0000 125 605

Twoje wsparcie pozwala zmieniać świat. Naprawdę

OLGA

Drenda:

Proszę się rozejść, nie ma tematu



TAK ZWANA EKONOMIA UWAGI, OD KÓT-
rej mechanizmów nikt mający cokol-
wiek zawodowo, a może i towarzysko
wspólnego z internetem nie ma szans
ucieczki, wymusza stosowanie pew-
nych nieuczciwych numerów. Należy
do nich przede wszystkim podkreca-

nie podstawowych, odruchowych emocji, które są szybsze od
trzeźwej myśli – takich jak strach albo oburzenie. Zbaraniały
użytkownik – tak producent, jako i konsument – musi wów-
czas wpaść w pętlę kolejnych reakcji i wyrażać zdecydowane
sądy, zanim zastanowi się, czy w ogóle warto. Na skutek tych
działań wątleje z trudem wypracowana ludzka zdolność do
zniuansowanej analizy wydarzeń czy stosowania tak nieatrak-
cyjnych, nudziarskich, wymagających wysiłku narzędzi, jak
rozważa albo rozsądek. Wszyscy to wiemy, a mimo to podda-
jemy się temu zdumiewającemu cofaniu się w rozwoju, nawet
jeśli czynimy to z niesmakiem.

Ryzykiem związanym z napędzaniem gwałtownych emocji jest
możliwość zużycia ich pochopnie. Oto np. ludzie zaczynają się
wzruszać lub oburzać (i wzajemnie się tym zarażać, jak to bywa
z silnymi emocjami), podczas gdy nie wiadomo jeszcze, o co do
końca chodzi. Powiedzmy – z możliwie najłagodniejszych przy-
padków – ktoś zauważył zamknięty sklep na swojej ulicy i za-
czyna bić na alarm, że, powiedzmy, „dzielnica umiera”, sąsiedzi
zaczynają się przejmować i również wyrażają niezadowolenie,
podczas gdy chwilę później okazuje się, że nastąpiła jedynie awa-

*Pod stoickim
wnętrzem
ukrywa się...*



OLGA DRENDA

ria prądu i sklep wraca do standardowego trybu pracy. Mleko
jednak już rozlane, ludzie zdążyli się przywiązać do raz wygło-
szonej opinii, w końcu szkoda, żeby tyle wysokooktanowych
emocji się zmarnowało.

Ale uwaga – może być jeszcze gorzej. Rewersem wywoływania
oburzenia jest bowiem generowanie blazy. Polega ono na de-
monstracyjnym oznajmianiu swojego cynizmu i wszechwie-
dzącej obojętności, a nade wszystko – deklarowanej odporności
na silne wzruszenia. Znakiem rozpoznawczym tej postawy jest
upodobanie do stosowania nieprzychylnych słów dźwiękona-
ślawczych i diagnostycznych w reakcji na zjawiska, a do tego
osobliwa nerwowość w ich wyrażaniu.

I tak człowiek zblazowany spieszy się, by koniecznie nazwać czy-
jeś umiarkowane niezadowolenie „kwikiem”, „lamentem” lub
„rozrywaniem szat”, nawet zupełnie spokojną wymianę opinii
zaś – „aferą”, „histerią”, „dramatyzowaniem”. To repertuar, który
badacz komunikacji społecznej i języka z łatwością zakwalifi-
kuje do kategorii „inny, czyli gorszy”: ja myślę rozsądnie i wyra-
zam się prawidłowo, ten drugi, czyli barbarzyńca, wydaje z siebie
co najwyżej nieartykułowane dźwięki.

Oczywiście łatwo zauważyć w tym brzydki, snobistyczny nie-
smak, mnie jednak bardziej ciekawi pośpiech i poczucie koniecz-
ności, żeby jak najszybciej oddalić temat. To jak potrzeba gwał-
townego zerwania etykiety, zaklejenia obrazka, zasłonięcia so-
bie uszu i powtarzania „la, la, la”. Zblazowany człowiek stara się
jak może, by udawać niewzruszonego stoika, jednak w rzeczywi-
stości krzyczy: „natychmiast proszę się rozejść! Ja nie chcę się nad
tym zastanawiać! Nie będę na to zwracać uwagi! Nie ma tematu!
Zrozumieliście? Nie ma tematu!”

Być może blaza jest skutkiem ubocznym życia w nadwyżce,
w bezustannym zaferowaniu, na które w końcu i święty może
zobojętnieć, jak w bajce z morałem o dziecku, które dla zabawy
krzyczało: „pali się”. Prawdopodobnie jest to lekarstwo – jeśli
można je w ogóle takim słowem nazwać – gorsze od choroby. Są
bowiem sytuacje, w których zdenerwować, oburzyć się czy wzru-
szyć to nie tylko rzecz zwyczajna, ale nawet i pożądana. Czasami
warto posłuchać kogoś, kto zawzięcie dmie w surmy, i zastoso-
wać do tego inne nieatrakcyjne narzędzie w zasobie naszych
umysłów, zwane rezerwą – żeby zwrócić uwagę na skądinąd
słuszne mimo irytującej formy wezwanie. Może chodzić o ta-
kie niebłache przecież kwestie, jak konieczność wezwania po-
mocy, zagrożenie dla jakiegoś istotnego miejsca czy, powiedzmy,
drzewa, a może nawet i bezpieczeństwo całego regionu.

Mikroklimat internetowy to środowisko w dużym stopniu
sztuczne i gdy ktoś mówi, że prawdziwe życie jest gdzie indziej,
ma odrobinę racji. Ale tylko trochę: z tego sztucznego środowi-
ska promieniują słowa, które miewają skłonność do stawiania
się namacalną, trójwymiarową rzeczywistością. ©

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała
m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka
Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.



PIOTR NOWAKOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Marszałek Adam Struzik w Muzeum Jacka Malczewskiego w Radomiu. 11 kwietnia 2025 r.

Mazowsze.

Jeden z największych mecenasów kultury

Adam Struzik, marszałek województwa mazowieckiego:

Każde miejsce ma swoją historię. Pałace, dwory, zamki, kościoły – wiele z nich bez odpowiedniej troski popadłoby w ruinę. I za parę lat nie byłoby już czego ratować. Jak się okazuje, jest cała lista zabytków, które dzięki samorządowi Mazowsza dostały drugie życie.

JACEK TARAN:

Czy w samorządach jest miejsce na kulturę?

ADAM STRUZIK: Bez kultury nie ma naszej tożsamości i historii. Rocznie wspieramy organizację setek festiwali, koncertów, spektakli, wystaw – niezależnie od tego, czy jest to duża miejska impreza, czy lokalne wydarzenie. Przyznajemy dotacje na prace konserwatorskie i restauratorskie oraz roboty budowlane przy zabytkach wpisanych do rejestru. W tym roku to 14 mln zł.

Oprócz tego ratujemy zaniebane, zapomniane miejsca. Jak już są pieniądze i możliwości, to potrzebna jest jeszcze wizja i konsekwencja w dążeniu do celu. I dodałbym do tego szczęście.

Szczęście?

Chociażby do ludzi z pasją, takich, którzy chcą i wiedzą, jak o dziedzictwo kulturowe zadbać. Ale też szczęście rozumiane jako spłot zdarzeń i przypadków. Proszę sobie wyobrazić, że ponad 20 lat

temu jako marszałek województwa odwiedziłem ówczesnego starostę radomskiego Zdzisława Kierzkowskiego. Zналиśmy się jeszcze z czasów senackich. Szukał on sposobu i pieniędzy, żeby wyremontować most w Bartodziejach, obawiał się katastrofy budowlanej. Przyszło mu do głowy, żeby sprzedać pałac we Wsoli pod Radomiem, w nie najlepszym stanie, w którym wtedy mieścił się dom pomocy społecznej dla osób z głębokim upośle-

dzeniem psychicznym. Mimoходом nadmienię, że pałac jest związany z rodziną Gombrowiczów. Był tam majątek Pruszków, a rodzony brat Witolda Gombrowicza, Jerzy, wszedł w jego posiadanie, jako że wniosła mu go w posagu żona Aleksandra. Istnieje hipoteza, że właśnie tam powstawało „Ferdynand”. Mnie od zawsze fascynował Gombrowicz. Doszedłem więc do wniosku, że to może być dobry pomysł, aby znowu powiązać

pałac z osobą pisarza i rodziną Gombrowiczów. Kupiliśmy rezydencję od powiatu – starosta miał już nowy dom społeczny, z o wiele lepszymi warunkami dla pensjonariuszy, a pozyskane ze sprzedaży obiektu pieniądze przeznaczył na wyremontowanie mostu. My zaś – po dołożeniu niemałych środków – zrobiliśmy pierwsze na świecie Muzeum Witolda Gombrowicza. Dziś to miejsce tętni życiem, odbywają się koncerty, spotkania autorskie, konkursy literackie. Obecnie jesteśmy na finiszu rozbudowy placówki.

To bardzo ciekawa historia. Jest więcej takich miejsc?

Lista jest naprawdę długa. Po reformie administracyjnej otrzymaliśmy „w darze” kilkanaście instytucji kultury, które były bardzo zaniedbane lub stały przed groźbą likwidacji. Wiele z nich uratowaliśmy i rozwinęliśmy. Przykładem jest Europejskie Centrum Artystyczne im. Fryderyka Chopina w Sannikach. Zainwestowaliśmy duże pieniądze samorządowe i unijne, ale było warto. Obecnie to prawdziwa perła Mazowsza. Wyjątkowymi miejscami są też Muzeum Mazowieckie w Płocku z największym w kraju zbiorem sztuki secesji czy Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia” – jedna z najlepszych galerii sztuki w Polsce. Inne przykłady to pałac Zamoyskich w Bieżuniu, który kupiliśmy mimo bardzo złego stanu technicznego, czy dwór w Dąbrowie, gdzie obecnie jest oddział Muzeum Regionalnego w Siedlcach.

A jakie są najbliższe plany związane z inwestycjami w infrastrukturę kulturalną regionu?

W Muzeum Treblinka powstanie nowy obiekt wystawienniczo-edukacyjny. Jego przygotowanie to duża odpowiedzialność. Doświadczenia związane z wojną i zagładą, historia tego miejsca i ludzkich losów – to trudne tematy wymagające niezwyklej wrażliwości i empatii. Chcemy więc stworzyć takie przestrzenie, które godnie upamiętnią ofiary obozu i jednocześnie trafią do współczesnego odbiorcy.

Przywrócimy też świetność wyjątkowemu miejscu, jakim jest willa Gabriela Narutowicza, znajdująca się tuż obok Łazienek Królewskich. Zabytkowy budynek wymaga kompleksowej rewitalizacji.

Swoją przestrzeń wystawienniczą dwukrotnie zwiększy Państwowe Muzeum Archeologiczne. Powstanie tu biblioteka na miarę XXI wieku. Muszę tu zaznaczyć, że zbiory muzeum są imponujące. To aż 75 tys. tomów, w tym unikatowe kolekcje dawnych czasopism!

Pod naszą egidą działa prawie 30 instytucji kultury. Trudno więc wymienić wszystkie nasze plany, ale proszę mi wierzyć, jest ich dużo i są bardzo ambitne. W tym roku przeznaczamy na nie 249 mln zł.

W jaki sposób województwo wspiera lokalne muzea, skanseny i inne instytucje zajmujące się dziedzictwem kulturowym?

Dotacje – i z naszego budżetu, i ze środków unijnych. Na remonty, wyposażenie, digitalizację zbiorów. Robimy też wszystko, aby nasze instytucje były bliskie, dostępne i bez barier – także finansowych. Mamy programy, dzięki którym uczniowie i osoby z niepełnosprawnościami mogą zwiedzać je za symboliczną złotówkę.

Myśli Pan, że w ten sposób młodzi ludzie chętniej wejdą do świata sztuki?

Jeśli będziemy o to zabiegać – to tak. Dzieci powinny mieć szansę na naturalne, niewymuszone poznawanie sztuki. Wizyta w muzeum czy teatrze może być takim pozytywnym bodźcem. Nie chodzi jedynie o uzupełnienie wiedzy, ale o elementarną dla rozwoju młodego człowieka możliwość uwolnienia uczuć, emocji i wyobraźni. W mojej opinii takie podejście działa. W zeszłym roku z „Kultury za złotówkę” skorzystało aż 35 tys. osób.

Mazowsze od wieków było miejscem styku różnych kultur i tradycji. Czy udało się te tradycje zachować i kultywować wielokulturowe dziedzictwo regionu?

W granicach województwa mazowieckiego znajdują się tereny przynależne do innych krain historycznych – Podlasia i Małopolski. Mamy zatem do czynienia z dużym zróżnicowaniem regionalnym, które kształtowało się pod wpływem rozmaitych czynników – geograficznych, historycznych, gospodarczych czy struktury społecznej.

Jestem głęboko przekonany, że ta różnorodność jest naszą wielką wartością. Zwykła kuchnia ludowa, rękodzieło i kuchnia to nasze dziedzictwo niematerialne i – co ważne – żywe, nie tylko w skansenach. Pokazujemy je m.in. poprzez Mazowiecki Szlak Tradycji. To swojego rodzaju etnograficzna podróż do miejsc związanych z folklorem, twórcami, obrzędowością. Towarzyszą temu różne publikacje. Ostatnio wydaliśmy album poświęcony ubiorom tradycyjnym.

Wiele unikatowych elementów kultury znalazło się

na Krajowej Liście Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego. Są już na niej wycinankarstwo kurpiowskie z Puszczy Zielonej, umiejętność wyplatania kosza kabłącoka w Lucimie na Radomszczyźnie, bursztyniarstwo czy wyplety byków i nowych latek.

W jaki sposób Mazowsze łączy rozwój nowoczesnej infrastruktury z zachowaniem historycznego charakteru miast i miasteczek?

Szukamy inspiracji i dobrych praktyk konserwatorskich u profesjonalistów. W 2021 r. we współpracy z Oddziałem Warszawskim SARP zorganizowaliśmy konkurs dla architektów na projekt domu jednorodzinnego. W pokonkursowym katalogu „Dom w krajobrazie” znajdują się niezwykle koncepcje domów inspirowanych tradycyjnym budownictwem kurpiowskim i olenderskim. Projekty te harmonijnie łączą to, co wartościowe w przeszłości, z nowoczesnymi rozwiązaniami i wizją przyszłości – proekologicznym budownictwem i racjonalnym gospodarowaniem przestrzenią.

Jakie są Pana zdaniem najbardziej niedoceniane zabytki Mazowsza, które zasługują na większą uwagę turystów i mieszkańców?

Dziedzictwo drewniane, jak wieś Urle, gdzie zachowało się wiele wyjątkowych budynków letniskowych. Następnie często pomijana architektura powojenna, w tym Dom Turysty PTTK w Płocku czy dom Hansenów w Szuminie. Takich perełek jest znacznie więcej. I dlatego warto niespiesznie i z uwagą zwiedzać Mazowsze, także tymi nieutartymi szlakami. ©

CO MNIE TRZYMA

Choroba jest chytra. Aby ją przechytrzyć, musimy o niej wiedzieć jak najwięcej – mówi Justyna Pióro, mama jedenastoletniej Tosi z rzadką chorobą genetyczną.

ANNA GOC

ZACZYNAŁO SIĘ NIEPOZORNIE.

I wtedy, gdy Justyna Pióro i jej mąż Robert zauważyli, że ich córka Tosia ma koślawe palce u stóp.

Lekarze uspokajali: Tosia urodziła się bardzo duża, być może miała za mało miejsca, to minie. Haluksy – sugerowali, przyznali dziecku dziesięć na dziesięć punktów w skali Apgar.

I wtedy, gdy Tosia miała nieco ponad rok i nie raczkowała.

Rehabilitanci radzili: najlepiej położyć dziecko na dywanie, zostawić, popatrzeć, jak sobie radzi, zachęcić.

I wtedy, gdy próbowała raczkować, ale straciła równowagę i uderzyła czołem o podłogę. Pod skórą zrobił się krwiak. Krewiak olbrzym, jakby uderzyła solidnie, z dużej wysokości, o coś bardzo twardego.

Wreszcie wtedy, gdy zauważyli na szyi Tosi opuchliznę. Miała wtedy szesnaście miesięcy. Opuchlizna pojawiała się bez kontuzji, bez infekcji, bez przyczyny. A przynajmniej Justyna i Robert nie potrafili jej podać.

PRZEBŁYSK

Przeblysłk – od tego słowa zwykle się zaczyna: najpierw diagnoza, a potem kolejne etapy choroby.

DIAGNOZA

Justynie i Robertowi nie dawały spokoju koślawe palce Tosi. Obawiali się, że może mieć z tego powodu kłopoty z chodzeniem.

Umówili wizytę u ortopedy, potem u kolejnego i jeszcze jednego. Trzeci pokazał zdjęcia z prześwietlenia stóp pielę-

gniarcze, która dopiero co obroniła pracę magisterską na temat rzadkich chorób genetycznych. Pielęgniarka wysłała je Frederickowi S. Kaplanowi z Uniwersytetu Pensylwanii, który zajmuje się rzadkimi chorobami genetycznymi.

Po kilku dniach ortopeda poprosił, by przyszedli na wizytę.

– Powiedział, że mają podejrzenia, które potwierdzili lekarze ze Stanów Zjednoczonych, że nasza córka ma ultraradką chorobę genetyczną – mówi Justyna.

Podał jej nazwę: FOP, *fibrodysplasia ossificans progressiva*. Polskie tłumaczenie: postępujące kostniejące zapalenie mięśni.

Polecił, by zrobili testy genetyczne z krwi. I poprosił, by nie czytali na temat tej choroby w internecie.

CHOROBA

Czytali.

O tym, że chorobę powoduje „heterozygotyczna mutacja genu ACVR1”. Że jest „dziedziczna autosomalnie dominująca”. Że występuje średnio raz na milion urodzeń.

I nie rozumieli.

Czytali dalej.

O tym, że najczęstszym pierwszym i widocznym objawem są koślawe palce u stóp. Że jeden z kręgów szyjnych mocniej wystaje i uniemożliwia dziecku odchylenie głowy, a w konsekwencji utrzymanie równowagi przy raczkowaniu. Że każda infekcja, każde stłuczenie, każdy stan zapalny w mięśniach powoduje nasilenie choroby.

I zaczęli rozumieć.

DIAGNOZA

– Badania genetyczne robiliśmy w Poznaniu, do którego z Krakowa jedzie się długo, a wtedy wydawało nam się, że jedzie się nieskończenie długo – mówi Justyna.

Wizyta była krótka. Oddali krew do badań. Genetyk obejrzał zdjęcia z prześwietleń i powiedział, że ma osiemdziesięcioprocentową pewność, że ich córka choruje na FOP.

Zadali tylko jedno pytanie: czy to da się leczyć. Usłyszeli, że dotąd nie znaleziono lekarstwa, ale jest kilka ośrodków na świecie, które wciąż go szukają.

PRZEBŁYSK

Tosia przestała ruszać szyją, gdy miała szesnaście miesięcy. Wciąż czekali na wyniki badań z testów genetycznych.

Opuchlizna na szyi była już pierwszym przeblyskiem choroby, z czego jeszcze nie zdawali sobie sprawy. Pojechali na szpitalny oddział ratunkowy, gdzie lekarze zaproponowali, że założą Tosi kołnierz ortopedyczny.

Justyna zadzwoniła do Poznania. Były wyniki: badania potwierdziły FOP. O zakładaniu kołnierza nie było już mowy.

CHOROBA

– Choroba jest chytra – mówi Justyna. – Ale my staramy się ją przechytrzyć. A żeby przechytrzyć, musimy o niej wiedzieć jak najwięcej.

Justyna tłumaczy, czym jest FOP, najprościej, jak potrafi.



Tosia z rodzicami Justyną i Robertem Pióro oraz pieskiem Tolą. Kraków, kwiecień 2025 r.

Kiedy się zaczyna: – Pierwsze objawy, czyli przeblysk, mogą pojawić się, gdy dziecko ma kilka miesięcy, a mogą już w dorosłości – mówi.

Jak działa jej mechanizm: – Jeśli dojdzie do urazu, infekcji, stanu zapalnego, uruchamia się proces gromadzenia wapnia. Choroba wysyła do mózgu informację, że uszkodzenie trzeba zreperować, a reperowanie oznacza nową kość, pozaszkieletową – wyjaśnia.

I jak to wygląda w praktyce: – To nie jest tak, że Tosia uderzy się i ciach, jest nowa kość. Najpierw pojawia się nieproporcjonalna do uderzenia opuchlizna, która powoli zaczyna gęstnieć. Miejsce, w którym coś zaczyna się dziać, jest zwy-

kle ciepłe, zaczerwienione, skóra jest napięta. Jeśli już raz pojawiło się skostnienie, kolejne narasta na nie. Skóra unosi się coraz wyżej, i wyżej. Kostnienie trwa od trzech do sześciu-ośmiu tygodni. Nigdy jednak nie wiemy, jaki jest jego zasięg – mówi Justyna.

Zaostrzenia choroby, cisza, zaostrzenia.

Zmiany są jednak zwykle nieodwracalne. – Jeśli Tosia przestaje ruszać ręką, to my już wiemy, że przestała na zawsze – dodaje.

INNI LUDZIE

– Musiała pani nagrzeszyć – powiedziała moja znajoma, gdy dowiedziała się o dia-

gnozie. Ale chyba tego zdania nie przemysłała – mówi Justyna.

OPOWIADANIE O CHOROBIE

Justyna zastawia się: czy mówić o bólu dziecka. O tym, że gdy następuje kolejny przeblysk, Tosia płacze z bólu. I że jest na lekach przeciwbólowych właściwie ciągle.

Opowiadanie dla samego opowiadania – bez sensu. Opowiadanie, żeby zrozumieć, co dzieje się u Tosi i u innych chorujących na FOP – ma sens.

Więc ból jest wtedy, gdy zaczyna się proces kostnienia.

Ból jest też wtedy, gdy proces kostnienia się zakończy i nowe kości powoli →

→ unieruchamiają kolejne części ciała, deformują je, zatrzymują, jeśli jest wciąż małe i chce rosnąć.

Ból jest wtedy, gdy jedno kostnienie się kończy, a zaczyna drugie.

Ból jest wtedy, gdy kości się złamią. A łamią się wszystkie – i te regularnie występujące, i te ponadprogramowe.

Ból jest wtedy, gdy skóra zaczyna się zaczerwieniać, a wkrótce potem pojawiają się pod nią zgrubienia, wystające kosteczki, kolejne kostne narośle.

Ból jest ciagle.

DOM

Zmienili w mieszkaniu kamienne płytki na miękką wykładzinę. Ostre krawędzie mebli, blaty stołów okleili gąbkami. Kupili miękką fotelik, który odkształca się pod ciężarem dziecka. Spodnie, bluzeczki, skarpetki, które nie uciskają ciała.

Próbują rehabilitacji, fizjoterapii, rozciągania mięśni taśmą, ale każdy większy ucisk może spowodować uraz i kolejne kostnienie.

Gdzie jest granica? Kiedy pomagają Tosi, a kiedy zaczynają jej szkodzić? – to pytanie zadają sobie ciągle, i ciągle. Żeby ćwiczyć, ale bez zakwasów. Żeby rozciągać, ale bez nadwyrężania. Żeby zwiększać amplitudę ruchu, ale bez uszkodzenia.

Trwa dyskusja, czy u dziewczynek z FOP zatrzymać miesiączkowanie, które jest obciążające dla organizmu. – Wiadomo, że kobiety z FOP nie mogą zająć się ciężą, bo cesarskie cięcie, czyli duża ingerencja w powłoki brzuszne, mogłoby okazać się śmiertelne – mówi Justyna.

CHOROBA

FOP atakuje mięśnie, stawy, powięzi. Nie zajmuje narządów wewnętrznych, skóry.

– Tosia przestała odpowiadać na niektóre nasze pytania, wymawiać zrozumiałe słowa. Logopeda zalecił badania słuchu. Okazało się, że Tosia ma niedosłuch, bo choroba zaatakowała kostki w uchu wewnętrznym – mówi Justyna.

INNI LUDZIE

Justyna przestała chodzić na place zabaw. Nie chciała tych wszystkich rozmów, które są zwykle i naturalne: moje dziecko zjadło, moje dziecko nie zjadło; moje dziecko powiedziało ostatnio, moje dziecko jeszcze nie mówi, moje dziecko...

Moje dziecko ma katar od dwóch tygodni – usłyszała przy piaskownicy. Moje dziecko ma FOP od zawsze i na zawsze – pomyślała.

– Na początku nie mogłam tego znieść. Teraz już wiem, że ja mam takie problemy, ktoś inny ma inne – mówi.

PRZEBŁYSK

Ten był chyba najgorszy, bo najmniej zrozumiała.

Justyna i Robert dotąd myśleli tak: jeśli zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby Tosia nie uderzyła się, nie przewróciła, nie przemęczyła, nie złapała infekcji, to jest szansa, że kolejne skostnienia nie będą postępowały tak szybko.

Tamtego dnia poszła na drzemkę. Miała dwa lata, wciąż zasypiała w ciągu dnia na nieco ponad godzinę. Ułożyła się jak zwykle. Zanim się położyła, poruszała swobodnie rękami. Gdy się obudziła, nie mogła ich wyprostować.

– Przebłysk? W czasie drzemki? Bez uderzenia? Bez infekcji? – pyta Justyna. – Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam małe dziecko, które nie chce już wstawać z łóżka. Dziecko, które na chwilę się poddało.

W przedszkolu zapewnili Tosi asystenta. Osobę, która chodziła za dziewczynką krok w krok i chroniła ją przed upadkiem.

MOMENTY

Tosia była mała, ale już od kilkunastu miesięcy nie potrafiła rozprostować rąk. Poszły z Justyną do sklepu, trzymały się za ręce. Justyna zauważyła przeszkodę, odruchowo pociągnęła rączkę córki do góry, żeby ją ustrzec przed upadkiem. – I wtedy usłyszałam dźwięk kruszącej się, zapewne bardzo cieniuteńkiej kości – mówi Justyna. – Kości, które narastają, nie pływają, są do czegoś przyczepione. Bywają tak cienkie, że wystarczy, że osoba chora źle ułoży się do snu i już odczuwa ból wynikający z ucisku.

INNI LUDZIE

Choroby Tosi nie widać, zwłaszcza gdy była mała.

Tosia miała pięć lat i potrafiła zarzucić sobie kapelusz na głowę bez podnoszenia rąk. Potrafiła założyć i zdjąć kurtkę lub bluzę, zsuwając ją z siebie.

Poszły razem na plac zabaw. Tosia biegła, choć wiedziała, że nie może za

szybko, nie może zbyt nieostrożnie, nie może zbyt ryzykownie. Justyna była ciągle krok za nią, z ręką wyciągniętą, asekurującą dziewczynkę z jednej strony, bo odkąd choroba zajęła jedną stronę, Tosia traciła równowagę.

Inni rodzice patrzyli. Inni rodzice obserwowali. Inni rodzice, choć tylko niektórzy, kręcili głowami z niedowierzaniem.

– Na takich rodziców jak my, zwłaszcza jeśli choroby dziecka nie widać, mówi się, że są przewrażliwieni. Że najlepiej, gdyby dziecko w czepku, w kasku, w nakolannikach, w naramiennikach. A najlepiej w domu. Choć kask, przyznam, wzorem dzieci chorujących na FOP w Stanach, rozważaliśmy – mówi Justyna.

Zaparkowała samochód na miejscu dla osób z niepełnosprawnością. Wiedziała, że nie mogą iść za długo, bo jeśli Tosi mięśnie się zmęczą, będzie miała zakwasy, a jeśli będzie miała zakwasy, mogą pojawić się stany zapalne, a jeśli stany zapalne – to i skostnienia.

– Czy pani się, kurwa, dobrze czuje? – zapytał kierowca samochodu, który zaparkował na miejscu obok.

– A pan?

Innym razem poszły na wspólne zakupy. Tosia w wózku niby-spacerówce, ale tak naprawdę rehabilitacyjnym. Justyna pchała wózek, Tosia się rozglądała. Mijał ich starszy mężczyzna.

– No takie duże dziecko, a w takim wózku – skomentował.

– No taki starszy pan, a...

MOMENTY

Justyna Pióro prowadzi Stowarzyszenie FOP Polska, które zrzesza chorujących na FOP i ich rodziny. Jechały wtedy z Tosią tramwajem, gdy do Justyny zadzwonili znajomi, że jedno z chorujących na FOP dzieci z Polski właśnie zmarło. – Nie zapytałam, co się stało. Ale to musiał być poważny wypadek, coś, co spowodowało liczne urazy, które przełożyły się na liczne skostnienia – mówi Justyna. – Najczęściej chory umiera poprzez uduszenie, gdy klatka nie jest już na tyle sprężysta, by mógł oddychać.

CHOROBA

W Polsce na FOP choruje około trzydziestu osób, w tym dziesięcioro dzieci. Na świecie około ośmiuset. Historia każdego jest inna.

– Znamy chłopaka, u którego pierwszy przebłysk był przed trzydziestką, albo dziewczynę, która dostała diagnozę jako czternastolatka. U niektórych diagnozisty trwała wiele miesięcy, a nawet lat. FOP był mylony z innymi chorobami kości, zwapnieniami, nowotworami. Chorym robiono kolejne biopsje, pobierano wycinki, podawano chemioterapię, co tylko pogarszało ich stan – mówi Justyna.

I dodaje: – Najczęściej pierwszy przebłysk jest między czwartym a jedenastym rokiem. Tosia miała półtora roku, możemy przypuszczać, że przebieg jej choroby jest agresywny.

MOMENTY

– Syndrom człowieka z kamienia – tak się potocznie mówi o osobach chorujących na FOP – mówi Justyna. – Tuż po diagnozie zadzwoniła do mnie bliska osoba z rodziny, która odkąd się dowiedziała, ciągle czytała o FOP. „Justyna, ty się zastanów, w jakiej pozycji Tosia zastygnie” – powiedziała. Przypomniałam sobie to zdanie podczas krakowskiego spotkania osób chorujących na FOP. Jedna z chorych, osiemnastoletnia dziewczyna, przez całe spotkanie stała. Zapytałam, czy nie chce usiąść. Wtedy jej mama odpowiedziała, że córka już nie może zmienić pozycji.

PRZEBŁYSK

Obawiają się najbardziej dwóch: szczękoscisku i tego, że kostnienie zaatakuję aparat ruchu. Żywnienie dojelitowe nie wchodzi w grę, bo to oznaczałoby naruszenie tkanek, czyli kolejne skostnienia.

W czasie ubiegłorocznej majówki Tosia schodząc z huśtawki upadła na trawę, na kolana. Jedno zaczęło puchnąć.

– W maju zaczęło puchnąć kolano, w czerwcu – biodro. W lipcu Tosia potrzebowała już wózka – mówi Justyna.

Opuchlizna może pojawić się nagle, z godziny na godzinę. Od razu jadą na SOR, żeby podać Tosi silne sterydy. Podane szybko, mogą sprawić, że kostnienie nie obejmie tak dużego obszaru. – Gdy Tosia miała półtora roku, przestała chodzić. Prawdopodobnie zaczęły się skostnienia w biodrze. Dostała wtedy silne sterydy i znów zaczęła chodzić – mówi Justyna.

INNI LUDZIE

Znajomy Roberta z pracy zaoferował, że poprosi znanych sportowców o rzeczy, które będą mogli wystawić na aukcję cha-



Tosia miała pięć lat
i potrafiła zarzucić sobie
kapelusz na głowę
bez podnoszenia rąk.
Potrafiła założyć
i zdjąć kurtkę lub bluzę,
zsuwając ją z siebie.

rytatywną dla Tosi. Poza głównym kontem na Facebooku „Pomoc dla Tosi” powstało drugie „Sportowcy dla Tosi”. Robert Lewandowski i Jerzy Dudek oddali koszulki, Jakub Błaszczykowski – dwie książki z autografami, Kamil Stoch – narty.

Dzięki tamtej zbiorce Tosia miała asystenta w przedszkolu.

ROZMOWY

Tosia coraz częściej widzi, że porusza się inaczej niż jej koleżanki i koledzy. Utyka, bo jej biodro unieruchamiają kości, które pojawiły się w miejscu mięśni. Pochyliła się na jedną stronę. Szybciej traci równowagę.

Zaczyna się wstydić. Nie mówi o tym, ale w domu stara się chodzić, w szkole – prosi zwykle o pomoc asystentkę.

Gdy Tosia idzie do szkoły, Justyna już wie, że opowiadać o chorobie trzeba. Zwłaszcza po tym, jak rozszłoszczone przywilejami Tosi dzieci z jej klasy urządziły pokaz siły – zrzuciły jej pudełko ze śniadaniem, kręciły się na jej fotelu.

– Dlaczego Tosia może mieć miękkie krzesło, a my musimy mieć twarde? – pytały. – Dlaczego Tosia może zjadać śniadanie w klasie, a my musimy wychodzić na przerwę do świetlicy?

Justyna przyszła od razu do szkoły, prosiła Tosię na osobność.

– Opowiem im o FOP, dobrze? Zgadzasz się? – zapytała.

– Tak.

Poszły do klasy razem.

– Zobaczcie... – zaczęła Justyna.

...ty możesz pojechać z rodzicami samochodem nad morze. Fajna jest taka wyprawa, prawda? Kilka godzin w samochodzie, przystanki po drodze. A Tosia nie może, bo nie może siedzieć w jednej pozycji przez tak długi czas,

...ty możesz biegać z tatą po boisku, możecie powalczyć o piłkę, możesz przez przypadek nawet kopnąć tatę w łydkę, albo on ciebie. A Tosia nie może, bo każde takie uderzenie może sprawić, że pojawi się stłuczenie, a potem Tosi urośnie nowa kość,

...ty możesz skakać w gumę, a Tosia nie może,

...ty możesz jeździć na hulajnodze, a Tosia nie może.

Czy możemy się więc umówić, że Tosia może mieć miękki fotel, bo tylko dzięki temu jej choroba nie postępuje, i może zjeść śniadanie w klasie, bo dzięki temu unika tłumu i ścisku, nikt jej nie popchnie i nie przewróci w biegu na stolówkę?

CHCĘ

Tosia ma 11 lat i chce wyprowadzić Tołę, swojego psa, na spacer. Teraz porusza się na wózku i czasami, gdy ból jest mniejszy, próbuje zrobić kilka kroków.

Justyna się waha. Czy się nie przewróci. A jeśli się przewróci, czy się nie uderzy. A jeśli uderzy, czy nie pojawią się nowe skostnienia. A jeśli upadnie, to nie będzie potrafiła samodzielnie wstać.

– Spróbuj – mówi Justyna. – W razie czego, jak poczujesz się gorzej, przywiozę ci wózek.

■■■

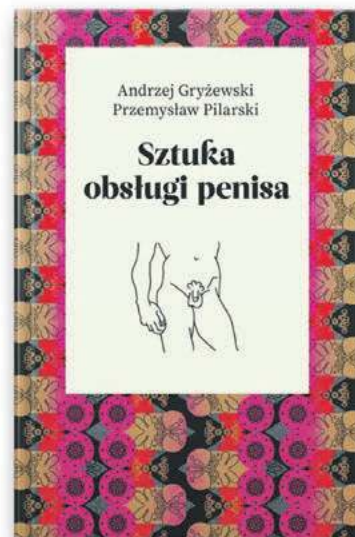
23 kwietnia odchodzony jest Światowy Dzień Świadomości FOP, bo właśnie tego dnia w 2006 r. odkryto gen powodujący chorobę.

Justyna Pióro jest jedną z ambasaderek „Powitalnika” – bezpłatnego przewodnika wspierającego rodziców mierzących się z informacją o możliwej chorobie, niepełnosprawności bądź innych szczególnych potrzebach swojego dziecka.

© P ANNA GOC

POŻEGNANIE MROCNIEGO RYCERZA

Prawdziwa męskość jest nieosiągalnym ideałem – zawsze poza zasięgiem. Stąd poczucie niedostateczności: mężczyźni mierzą się ze wstydem, który prowadzi do depresji i nałogów. Spektakl Teatru im. Żeromskiego w Kielcach wychodzi temu naprzeciw.



KINGA DAWIDOWICZ:

Jak narodził się pomysł spektaklu „Koń na rycerzu”?

TADEUSZ KABICZ: Pomysł wpadł mi do głowy po lekturze książki A. Gryźewskiego i P. Pilarskiego „Sztuka obsługi penisa”. Pomyślałem, że spektakl będący takim przewodnikiem po męskiej psychoseksualności mógłby być nie tylko interesujący artystycznie, ale również bardzo potrzebny w dzisiejszym świecie. Temat ten wciąż budzi opory, a jednocześnie domaga się otwartej rozmowy. Teatr wydał mi się idealną przestrzenią do takiego dialogu.

PRZEMYSŁAW PILARSKI:

Przy tworzeniu adaptacji książki towarzyszyła mi refleksja na temat męskości i tego, jak jest ona pojmowana w kontekście nowego feminizmu, włączającego, a nie wykluczającego mężczyzn.

Bohater spektaklu jest pisarzem udającym się do seksuologa w celu napisania książki o męskości, która w jego idealistycznym założeniu ma służyć stworzeniu wspólnoty w miejsce istniejących, zagnajających się podziałów. W końcu to sfrustrowani mężczyźni stoją za tym, co teraz dzieje się na świecie.

Czym w takim razie jest męskość? Jak ją definiować?

PP: Okazuje się, że to jest w zasadzie niemożliwe, ponieważ nie wiadomo, czym jest ta mityczna męskość. Jest to bardzo trudne, prawie awykonalne zadanie.

Czyli nadal jesteśmy w momencie kryzysu męskości? Czy raczej ewolucji?

PP: To jest pytanie, które stanowi zarazem odpowiedź. Znajdujemy się w momencie, w którym wszyscy zadajemy sobie pytanie o określenie definicji męskości. Redefiniujemy wszystko i zadajemy pytania natury tożsamościowej, genderowej. Kim jesteśmy, kim powinniśmy być w tym świecie. Temu miało też służyć niedawno zorganizowane Forum Nowej Męskości.

Przyniosło odpowiedź?

PP: Forum Nowej Męskości podejmowało próbę namysłu nad tym, czy w ogóle coś takiego jak „nowa” męskość istnieje i czym się różni od „starej” męskości. Jacy powinniśmy być w świecie, który się stale rozwija i stawia nam nowe wyzwania, a jednocześnie tak wiele kwestionuje.

TK: Warto zauważyć – o tym wspominał Wojciech Śmieja na jednym z paneli – że narracja o kryzysie męskości towarzyszy nam od wieków. Już w antyku pisano, że ówczesne pokolenie mężczyzn nie dorównuje swoim ojcom czy dziadkom. To wieczne poczucie niedostateczności, potrzeba dorastania do nierealnych wzorców, jest elementem kulturowego mitu. Męskość została skonstruowana jako ideał nieosiągalny – zawsze poza zasięgiem.

Dziś obserwujemy w Polsce moment przebudzenia: część mężczyzn zaczyna kwestionować dawne wzorce, zadawać pytania, szukać nowych ścieżek. Ale są też tacy, którzy czują wręcz przeciwnie – mają potrzebę powrotu do najbardziej utartych szlaków. W tekście Przemka pojawia się określenie, że współczesny mężczyzna jest rozedrgany. Chciałby w sobie coś obudzić, ale nie potrafi określić, co by to miało być.

Do kogo skierowany jest ten spektakl?

TK: Do wszystkich, którzy są zainteresowani kwestią seksualności, psychologii, komunikacji. W Polsce główny problem z seksem polega na tym,

że nie potrafimy o nim rozmawiać. Po prostu nikt nas tego nie nauczył i nie mamy do tego narzędzi. W spektaklu poświęcamy dużo uwagi językowi oraz sposobom mówienia o procesach, które w nas zachodzą i które nas kształtują. Chcemy pokazać, że rozmowa jest możliwa i że może przynosić ulgę.

A jakie są największe bariery, z którymi mierzą się mężczyźni w postrzeganiu swojej seksualności?

PP: Penis jest dla wielu mężczyzn osobnym bytem. To jest punkt wyjścia naszego spektaklu, jak i książki. Oseparowanie penisa od seksualności i uważanie go za coś zupełnie nie swojego, za coś, z czego korzystam, ale za co nie odpowiadam, jest bardzo częste. Kolejną bolączką jest kompletne osamotnienie mężczyzn, brak komunikacji, również z samym sobą. To oczywiście jest męt, że nasze przyjaźnie są powierzchowne, ale zdecydowaną większość z nich możemy określić jako kumpelstwo z szatni, poklepywanie się po plecach.

Mężczyźni mierzą się ze wstydem, który tłumiony

i spychany, prowadzi do depresji i nałogów. Odcięcie się od seksualności i absolutny brak możliwości proszenia o pomoc zamyka ich w sobie. Nie dysponują językiem do rozmawiania o tym z kimkolwiek. Nie widzą wokół siebie osób, z którymi mogą porozmawiać.

Spektakl może wstyd oswojać.

TK: Taki był zamysł. Wierzę, że pierwszym krokiem jest uświadomienie sobie, że w ogóle mamy jakiś problem. Drugim – zrozumienie, że nie jesteśmy z tym sami. A trzecim sięgnięcie po pomoc: na przykład rozmowę z partnerem lub partnerką, przyjacielem, terapeutą.

Mam nadzieję, że nasz spektakl pomoże komuś wykonać choćby dwa pierwsze kroki – zobaczyć, że seksualność to nie tylko przyjemność w łóżku, ale także bardzo złożona i piękna część życia, którą warto rozumieć.

Istotna jest również kwestia języka używanego do opisywania seksualności.

TK: To prawda – od tego właśnie zaczyna się spektakl. Od refleksji, dlaczego słowo „penis” ma tyle synonimów i dlaczego tak trudno używać go wprost. Scena kończy się pytaniem: czy nie próbujemy w ten sposób oswoić czegoś obcego, niepokojącego?

Książka, na której bazujemy, jest pełna wspaniałego humoru, ale zależało nam, żeby w adaptacji uniknąć powierzchowności. Humor w tym spektaklu będzie absurdalny, groteskowy, ale osadzony w prawdziwym doświadczeniu: bólu, samotności, zagubieniu. Pamiętam, że po lekturze książki towarzyszyło mi ogromne uczucie smutku – smutku wynikającego z tego, jak wiele osób przeżywa swoje problemy w milczeniu i odosobnieniu.

PP: Tak, to w dużej mierze wina wstydu. W spektaklu dość wnikliwie przyglądamy się tej kwestii. Nie da się rozmawiać o seksualności Polaków bez poruszania aspektu wstydu i braku komunikacji. Myślę, że to oczywiście nie tylko ból polskiej kultury. Najpopularniejsze obrazy męskości ostatnich lat, serial „Reniferek” czy film „Wstyd” Steve’a McQueena pokazują mężczyzn zamkniętych w sobie z powodu traumatycznych doświadczeń związanych z seksualnością.

Co chcielibyście zatem osiągnąć poprzez spektakl?

TK: Marzy mi się, żeby widz po spektaklu poczuł potrzebę rozmowy. Żeby może po raz pierwszy porozmawiał w taki sposób o sobie, swoich uczuciach. Chciałbym, żeby ten spektakl budował wspólnotę – poczucie, że nie jesteśmy sami w naszych lękach i pragnieniach.

„Koń na rycerzu” to również opowieść o poszukiwaniu integralności. Nasz bohater zaczyna jako ktoś rozdarty między mózgiem a penisem, między potrzebami a kulturowymi powinnościami. Jego droga to próba połączenia tych sfer, znalezienia spójności.

PP: Lubię zostawiać widza z pytaniem, nie dawać mu odpowiedzi.

TK: Mam też nadzieję, że spektakl będzie miał działanie... uspokajające. Seksualność w Polsce jest wciąż tematem, który wywołuje lęk – boimy się, że ktoś nam „odbierze męskość”, „zseksualizuje dzieci”, zaburzy ustalony porządek. Ten lęk najczęściej wiąże się ze wspomnianym wstydem lub niewiedzą. Chciałbym, żeby nasz spektakl pokazywał, że strach ma wielkie oczy. Że wizyta w gabinecie terapeuty albo szczerza rozmowa to nie koniec świata. Wręcz przeciwnie: to może być początek czegoś naprawdę ważnego.



JEREMI ASTASZEWSKI

PRZEMYSŁAW PILARSKI – autor książek poradnikowych, sztuk teatralnych, scenariuszy, opowiadań. Laureat nagród za utwory dramatyczne, m.in.: Gdynskiej Nagrody Dramaturgicznej, Złotej Maski, Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej oraz konkursu „Metafory rzeczywistości”. Stypendysta Ministra Kultury. Jego dramaty i opowiadania publikowane były w antologiach w kraju i za granicą. W formie książkowej wydana została sztuka „Dziki Wschód” (2022). Z Andrzejem Gryżewskim napisał poradniki: „Jak facet z facetem. Rozmowy o seksualności i związkach gejowskich” (2016, 2022), „Sztuka obsługi penisa” (2018) i „Sztuka obsługi penisa 2. Nowe wyzwania” (2024). Z Magdaleną Chorzewską – „Instaporadnia. Ciało, emocje i seks” (2023). Publikował ponadto m.in. w: „Dialogu”, „Machinie”, „Playboyu”, „Teatrze”, „Czasie Kultury”, „Ha!arcie” i „Logo”. Współzałożyciel Związku Pisarzy ze Wsi.



MAJA HYLEWICZ

TADEUSZ KABICZ – reżyser, scenarzysta. Absolwent reżyserii w Szkole Filmowej im. K. Kieślowskiego w Katowicach oraz Szkoły Wajdy. Studiował filologię polską i wiedzę o kulturze na Uniwersytecie Warszawskim. Jest twórcą nagradzanych filmów krótkometrażowych, teledysków oraz spektakli radiowych i teatralnych. Pracował jako asystent reżysera przy produkcjach operowych, od lat prowadzi warsztaty teatralne i filmowe dla młodzieży.



Adam Strug. Warszawa, 2024 r.

JAK ŚPIEWAĆ MIŁOŚĆ

ADAM STRUG:

Jestem bytem osobnym, aktorem charakterystycznym, jak wariaci, za którymi chodziłem w dzieciństwie. Dla LGBT-ów radiomaryjny, dla Radia Maryja lewy. Śpiewam, owszem, ale moje śpiewanie nigdzie nie pasuje.

MICHAŁ OKOŃSKI: Chciałbym Cię poprosić o zaśpiewanie początku pieśni „Jezusa Judasz sprzedał”.

ADAM STRUG: A po kiego grzyba?

Bo rozmowa ma iść do wielkanocnego numeru.

Zaśpiewam ci coś innego. Mikołejko, z którym zresztą w niczym się nie zgadzałem, zatytułował jedną z książek „W niewoli wisielca”. Nie bądźmy, proszę, niewolnikami. Niech sobie wisi kolejnych dwa albo dwadzieścia tysięcy lat.

Dobrze, zaśpiewaj coś innego.

[Sięga po akordeon. Śpiewa:]

Nie zapominaj nigdy mnie / Jesteśmy do pary / Nie opuszczaj nigdy mnie / Gdy będę już stary / Kocham, kocham cię // Za nami długa i czarna noc / Nocne przymierze / Prócz miłości nie wierzę w nic / Zranione zwierzę / Kocham, kocham cię / Nocne przymierze / Kocham, kocham cię / Zranione zwierzę // Przed nami długi, skwarny dzień / Miłosna zatrata / Otworem stoi niebieska sień / To koniec świata / Kocham, kocham cię / Miłosna zatrata / Miły, kocham, kocham cię / Koniec świata.

Inny klimat. A może ten sam.

Zapamiętałem frazę z wiersza Krzysztofa Boczkowskiego, „Gdy wchodziłem do kościoła mojego dzieciństwa, zrozumiałem, że Boga nie ma”. Zobacz tę bezgraniczną pustkę figur, obrazów, liturgii. Zobacz tę makabryczną zagadkę wylewającego się zewsząd cierpienia. Śmierć jest gigantycznym skandalem.

Niektórzy mówią, że śmierć nie jest końcem.

Było mi bezpiecznie w przystani ateizmu, ale jakiś czas temu miałem sen (zazwyczaj nie przywiązuję większej wagi do snów). Śniła mi się – określenie Leśmiana – chwiejna dolina. Bazaltowe skały, egzystencjalna groza, ale zarazem pewność, że pierwsza przyczyna nazywana Bogiem istnieje, ale nie jest w naszym rozumieniu etyczna. Nie jest dobrem.

Niektórzy mówią, że Bóg jest poza ludzkimi kategoriami.

Obudziłem się zdruzgotany. Nie jestem w stanie powiedzieć jednoznacznie, że Boga nie ma. Ale jeśli jest, to zdaje się być przerażający.

To może wytłumaczę, dlaczego chciałem zacząć od pieśni Ładysława z Gielniowa. Kiedyś powiedziałeś o jej wykonywaniu, że przez pół godziny umierasz z Jezusem z Nazaretu.

Ale nie chodzi o to, że coś odgrywam.

Nie. Chodzi o to, że jak ją śpiewasz, mam poczucie, że to jest prawdziwa historia.

Tak bardzo prawdziwa, że czasem z lęku chce się wymiotować. Ontologiczne mdłości. Repertuar pasywny jest piękny, kocham te melodie, ale cieszę się, kiedy post się kończy i mogę iść dalej.

I kiedy śpiewasz o miłości zranionego zwierzęcia, to naprawdę idziesz dalej.

To cecha śpiewu zwanego błędnie ludowym albo białym – właściwie należy go nazwać naturalnym ze względu na emisję, plemiennym ze względu na funkcję albo tradycyjnym ze względu na przekaz w tradycji ustnej – że jest czymś w rodzaju wiecznie bijącego źródła. Gdy dorastasz przy nim, to doświadczasz w muzyce rzeczy, które wykraczają daleko poza nią.

Ty masz szczególne źródło.

Do muzyki bezwiednie wdrażała mnie babka, która w kuchni i podczas prac domowych śpiewała dawne pieśni nabożne. Jak dawne, ani ona, ani ja nie mieliśmy pojęcia, chociaż słowa „Cy-cero” czy „Absalom” brzmiały zagadkowo. Po latach zorientowałem się, że tamtejsza starszyzna, w Wielkim Tygodniu, ale także poza nim, wykonuje repertuar barokowy, a zdarzają się też rzeczy wcześniejsze.

To doświadczenie daje mi pewność, że nigdy się zawodowo nie wypalę. Wielu kolegów po fachu – i to naprawdę poważnych zawodników – sprawia wrażenie, jakby im się już nie chciało i jakby muzyki nie lubili. Koncertują, żeby napęlić dzbanek – niektórzy hajsem, inni sławą.

Czyli dlaczego Ty się nie wypalisz?

Bo wywodzę się ze śpiewającego stadła praktykującego rzeczy przekazywane od zawsze. Ze stadła zbierającego się spontanicznie, a nie ze względu na koniunkturę.

Kiedy doświadczyłeś tego po raz pierwszy?

Byłem tym otoczony. Starszyzna urodzona pod koniec XIX w. śpiewała nie mając świadomości pochodzenia ani muzyki, ani materiału literackiego. Z manierami wykonawczymi ocalałymi w dialekcie wiosek drobnoszlacheckich i w dawnym śpiewie zachowanym przez Kurpiów Zielonych. Tym ostatnim sprzyjała naturalna izolacja przyrodnicza.

Ale moje dorastanie w Łomżyńskim lat 70. i 80. naznaczyły też ciemnota i okrucieństwo. Drobną szlachtę po południowej stronie Narwi ciężko doświadczyła historia. Wojna skończyła się tam w 1956 r. Po północnej stronie rzeki jest zona pogromowa, gdzie żyją potomkowie Jaćwingów, a na zachód od niej Kurpie Zieloni. W koszarnej brzydocie PRL-u nie mieliśmy niczego poza przyrodą i Kościołem, ale Kościół tamtejszy krył wtedy mroczną tajemnicę „pięknego Julka” – biskupa Paetza. „Kler” Smarzowskiego to przy tym komedycja, bardziej prosiłoby się o Von Triera.

Opowiedziałeś w wywiadzie udzielonym Katarzynie Surmiak-Domańskiej, że sam byłeś ofiarą księdza. Kiedy to się zaczęło, miałeś osiem lat.

I wyparłem tę historię na lat 30. Może dzięki temu wciąż żyję...

Ale wróćmy do muzyki, choć i w tej materii nie mam dobrych wiadomości. Tamtej muzyki już nie ma. Koniec.

Na pewno? Ty przecież na początku lat 90. przyłączyłeś się do Wincenty, śpiewaka pogrzebowego w Łomżyńskim...

Kilka razy w miesiącu jeździliśmy na śpiewane noce przy zmarłych. Długie maratony.

Chodzi mi o to, że on też mógł mieć poczucie końca. Ale potem pojawił się Strug, który przenosi to dalej.

Wincenty nie lubił swojego imienia, nazywano go we wsi Janem. Był prosty jak fletnia trzcinowa, którą Bóg wypełniał melodią. Święty bez ołtarza. Szczylił się tym, że nigdy nie zaśpiewał świeckiej piosenki. Śpiew był – w jego rozumieniu muzyki – wyłącznie dla Boga. Prowadził „Boże obiady”, katolicką adaptację obrzędu znanego z „Dziadów”. Ale gdy umarł, na jego pogrzebie z głośników wybrzmiał włoski śpiew operowy.

No ale...

To koniec! To przykre, nie cieszę się z tego, ale to umiera na naszych oczach.

Widziałem w życiu tyle końców świata, że byłbym ostrożny z tą kategorycznością.

Koniec tej jakości muzycznej integralnie związanej z dialektem, bo dialekt zanika. Śpiewano w skalach nietemperowanych, a nie klawiaturowych, jak obecnie. Zmienił się też kontekst społeczny: 50 lat temu były to zjawiska masowe.

Rozmawiam z człowiekiem, który ma w głowie kilkaset pieśni z tamtego świata.

No i co z tego? 50 lat temu miał je każdy. I wystarczyło 50 lat, żeby ten skarbiec zdewastować. W Kościele – zresztą nie tylko w nim – doszło do rewolucji chłopskiej, a chłopstwo zrobi wszystko, by zapomnieć o swoim pochodzeniu.

Wszędzie dookoła widzę fascynację ludowymi historiami Polski. „Chłopki” sprzedały się w 500 tysiącach egzemplarzy.

To są jakieś marksistowskie przeloty, rzeczy pisane z bryczki wielkomiejskiej przez kawiorową lewicę, recenzujące ludzi o innej niż nasza mentalności, żyjących w innych warunkach.

Między panem a chłopem zachodziła symbioza, byli sobie potrzebni. Mam świadomość niesprawiedliwości przedrewolucyjnego świata, ale to nie rewolucja marksistowska wyzwoliła chłopów. Komunizm to największa w dziejach zbrodnia i upodlenie.

Marksistowskie przeloty mogą być u autorów. Są jeszcze czytelnicy, którzy chcą wrócić do korzeni.

Mam przyjaciela, który regularnie prosi, bym śpiewał mu dawne pieśni. Siadamy przy stole, podążamy za opasłym śpiewnikiem kościelnym. Co chwilę silne wzruszenia, przypominają mi się obrazy, zapachy, twarze...

Mów dalej.

Moja podstawówka sąsiadowała ze szpitalem. Z okien na piętrze obserwowaliśmy wejście do kostnicy. Jeśli po lekacjach trafiałem na kondukt, przyłączałem się doń z tornistrem na plecach. Ulica prowadząca do domu wiodła też na cmen- ➔

→ tarz. Na czele konduktu maszerował dzentelmen o wdzięcznej ksywie Złoty Ząbek. Mężczyzna wieku nieokreślonego, o twarzy spłaszczonej, jakby przeszedł przez nieomknięte drzwi. Silnie upośledzony, co zdradzały rysy i mimika. Zatrudniono go jako sługę prosektoryjnego, mył zwłoki i dorabiał na pogrzebach. Jechała nyska z nieboszczykiem, on przed nyską z krzyżem. I tym krzyżem dyrygował ruchem samochodowym. Dziwnie się uśmiechał, odsłaniając złoty ząb, a myśmy śpiewali: „Zmiłuj się, Boże, nade mną grzesznikiem, co w swej dobroci nie pogardzasz nikim”.

Opowiadałem o nim kiedyś Akademii Kolberga, ale wówczas nie podałem istotnego szczegółu. Któregoś razu jedyny patolog w miasteczku nakrył Złotego Ząbka kopulującego z nieboszczką. Wywalili go z roboty, nie informując organów, bo facet był – jak to się wówczas mówiło – niedorozwinięty.

Im bardziej opowiadasz o takich ludziach, tym bardziej oni są.

Moją wyobraźnię zaludniają wariaci. Aktorzy charakterystyczni, których społeczność miała w pogardzie, a ja obserwowałem, chodziłem za nimi.

Złoty Ząbek to typ ekstremalny, odradzający. Ale było wielu mniej lub bardziej łagodnych świrów, o których dla pamięci o nich muszę kiedyś napisać: Babcia Pomóż, Kobieta Królik, Ziuta, Rycho Złotowa, Prorok, Szeryf, Szczęśliwi Bracia, Hitler, Głupia Kaśka, Jozia...

Mam wrażenie, że o nich też śpiewasz.

Śpiewam, i owszem, ale mam wrażenie, że to moje śpiewanie nigdzie nie pałuje. Wiersze interpretuję od zawsze, bo co śpiewać, jeśli nie wiersze, ale środowiska poezji śpiewanej – co za fatalna nazwa – traktują mnie jak powietrze. Podobnie ludzie zajmujący się tzw. muzyką chrześcijańską – swoją drogą jakim trzeba być palantem, by w kontekście wielkich dzieł muzyki religijnej nazywać tak swoje szpetne, amerykanoidalne songi...

Śpiewam wiersze homoromantyczne od lat, a LGBT-y mnie nie zauważają – co w sumie zrozumiałe, bo ich stylistyka to świecący DDR-owski dres, kiczowaty, że aż zęby bołają... Jestem bytem osobnym, aktorem charakterystycznym, jak moi wariaci. Dla LGBT-ów radiomaryjny, dla

Radia Maryja lewy. Nie boleję nad tym, bo roboty mi nie brakuje, ale mam, i owszem, poczucie osamotnienia.

A jak Ty mówisz o swojej muzyce?

To muzyka uboga. Żyją w niej rzeczy dawne i nowe, wyrastające ze starych jak gałąź. W zakonie muzyki ubogiej praktyka trwa całe życie. Trzeba to wszystko śpiewać rok w rok i dopiero – no ale to akurat nic nowego w każdym rzemiośle – tysięczne wykonanie jest właściwe. Tylko ty już tego nie rejestrujesz, że zrobiłeś coś jak należy, po mistrzowsku.

Sytuacja paradoksalna i boję się czasami, że ktoś mi w końcu kosę sprzeda. Wiesz – jakiś psychofan rozczarowany. Ostatnio podchodzi do mnie po koncercie pewna pani i mówi: „Proszę pana, to jest nie do podrobienia. Trzeba naprawdę głębokiej wiary, żeby o tym tak śpiewać”. Innym razem nachyla się facet, wygląda jakby trzy lata siedział w szafie, błądy truposz, na nim garniturek *démodé* mocno zakurzony, i mówi: „Czekałem na ciebie, całe życie na ciebie czekałem”.

Chyba wszyscy artyści tak mają, że zdarza im się poruszyć w odbiorcy jakąś strunę.

Tu znowu niepoohamowany instynkt polemiczny każe mi zaznaczyć zdanie odrębne. Współcześnie nazywa się artystami ludzi, którzy się ze sztuką nawet nie wachali. Jestem rzemieślnikiem, czasami w rzemiośle dochodzimy do *ars*, ale nie mnie to oceniać.

No dobra, czyli po raz tysięczny heblujesz ten kawałek... Strugam.

I coś się wydarza.

Tak, ale wiesz, to ciekawe zagadnienie, bo być może na koncertach też się wydarza, ale moim zdaniem głównie wydarza się poza sceną – pod prysznicem, albo przy tym stole z kumplami, albo z tobą.

I znowu: nie jesteś zanedo kategoryczny?

A ty nie jesteś zanedo pootwierany w każdą stronę? Żyjemy w świecie, w którym zdania kategoryczne uchodzą za brak kultury osobistej. Przepraszam, to nie jest mój świat. Czy celem rozmowy jest wymienienie się opiniami, czy dojdzie do tego, która jest prawdziwa?

Dla mnie celem jest poszerzenie sobie świata. Sprawdzenie swoich przekonań, może wytrącenie się z nich. Jestem ciekaw, co jest za tym, co śpiewasz. Jestem ciekaw świata, w którym jest i okrucieństwo, i piękno, i z oboma nie sposób wytrzymać. Kurczę, bez sensu, że to nazywam.

Dobrze, że nazywasz. Ostatnio miałem taką sytuację. Śpiewałem koncert w radomskim interiorze i nagle od razu po występie poczułem, że muszę wybiec. Że nie mogę być między ludźmi. Wsiadłem w auto, wyjeżdżam z miasteczka, z lewej równina, słońce zachodzące krwawo, perspektywę zamykają brzeziny, a po prawej granatowe chmury, wał burzowo-śniegowy. Słońce ścina brzeziny, przesywa też mnie. I w tym słońcu pada śnieg, nie tyle pada, co łąduje z wielką stanowczością. Dociera do mnie świadomość piękna, nieuchronności, samoświadomości, miłości, nie wiem... wszystkiego na raz.

Trudno to nazwać, żeby nie było bałanu. Miłość i piękno czynią nas szczęśliwymi.

Śpiewanie też to daje?

Przyłączyłem się do Jana w 22. jesieni życia. Po paru latach, gdy zaczął już słabnąć, on intonował, a ja ciągnąłem. Któregoś dnia nachylił się do mnie w kościelnej ławie i mówi mi w ucho: „Zdobisz jak moja matka”. To był największy komplement, jaki mnie w życiu spotkał.

Nie, komplement to nie to słowo. Wiesz, posłali mnie do szkoły muzycznej za wcześniej i w sumie chyba niepotrzebnie. Klawiatura zubaża strojenie, jest kwadratowym uproszczeniem.

Więc o co chodzi z tym zdobieniem?

Jan potwierdził moją intuicję, że niektóre z dźwięków w oryginale były podbijane, wyższe. Zmęczona życiem starszyzna już tego nie robiła, ale kiedy podwyższyłem dźwięk, a ona weszła w to bez pudła, dotarło do mnie, że to, jak śpiewam, naprawdę jest w tej muzyce.

Ale co z tego, skoro nie mam już z kim tych rzeczy śpiewać.

A kiedy tam jedziesz?

Jestem obcym ciałem. Gdy dzisiejszym Kurpiom pokazywać ich pieśni, mówią: „nie, u nas tak nie śpiewają”.

A nie jest tak, że to zawsze ewoluowało?

To nie jest ewolucja, tylko tąpnięcie. Wystarczyło polskiego chłopca podłączyć do prądu i wyskoczył Zenek. Syrach pisze, że nie jest mądrze mówić, że te czasy są gorsze niż tamte. Ale nie miał słuszności, gdyż w niektórych dyscyplinach są gorsze.

Lubię to Twoje zdanie, że bliżej Ci do muzyki z czasów, gdy była młodsza. Ale to może Ty byłeś młodszy.

Nie chodzi o metrykę. Idzie o to, że demokracja wystąpiła z brzegów i zalała też sztuki piękne. Kryterium stała się liczba, klikalność, to, co się podoba większości. Przecież to oczywiste: większość zazwyczaj nie ma słuszności.

No to dla kogo Ty śpiewasz?

Po pierwsze to nie wiem, po drugie dla siebie, po trzecie tym, których kocham i którzy rozumieją. W jednej z ludowych pieśni pada zdanie „Nie po to ja śpiewam, żebyście słyszeli / Placze moje serce, nie chce się weselić”.

To powiedz o tym „nie wiem”.

To rodzaj determinizmu, urodziłem się śpiewakiem. Śpiewałem zawsze, rodzina mówi, że wykorzystywałem każdą okazję do tego procederu, zapamiętywałem od razu radiowe przeboje i je powtarzałem. Na szczęście elektryfikacja w tamtych czasach to była nowość, więc zapamiętywałem głównie to, co śpiewała babcia i to, co śpiewano w kościele.

Stary, to jest taki materiał muzyczny, że cała wokalistyka współczesna przy nim wysiada. Muzyka bliskowschodnia ma to nadal. W kontekście muzyki arabskiej, jej maestrii, strojenia i gestu Mozart jawi się – panie wybaczą – jako pudel bez prącia. Tylko że ona też w przyspieszonym tempie umiera. Za sprawą internetu w telefonie wszędzie uproszczenia i amerykanizmy.

A co sądzisz o próbach muzycznego łączenia takich światów?

Śledzie w oranżadzie. To się nie klei na żadnym poziomie. To znaczy klei się współczesnym, którzy mają tak otwarte mózgi, że im mózg wycieka. Wartością kultury ogólnoludzkiej może stać się jedynie wypowiedź jednowymiarowa w sensie lokalności, etnosu. Esperanto



SEBASTIAN PAJĄK / MATERIAŁY PRASOWE

Moja sytuacja jest uczciwa:

sprzedaję wyciskającą lzy cebulę. Choć czasami się boję, że jakiś psychofan rozczarowany mi kosę sprzeda.

ADAM STRUG jest śpiewakiem, poetą, kompozytorem, popularyzatorem muzyki tradycyjnej.

skazane jest na niepowodzenie, bo taka jest nasza natura: najpełniej się wyrażamy w pierwszym języku. Matczynym, który słyszymy jeszcze w życiu prenatalnym.

To trochę smutne.

Jestem handlarzem smutku. I – o paradoksie – dobrze na tym wychodzę.

Zarabiasz, śpiewając na pogrzebach?

Publicznie najczęściej udzielam się, niestety, na scenie. Niestety, bo scena to najgorsze możliwe miejsce dla muzyki. Ale nie wyobrażam sobie zaniechania posługi pogrzebowej, która jest moją pierwotną. Śpiewałem na pogrzebach od dziecka.

Jak wybierasz repertuar na pogrzeb?

Rozmawiam z rodziną zmarłego, badam jego i ich preferencje światopoglądowe.

Dziewięć lat temu śpiewałem podczas pochówku Czarka Wodzińskiego. Za życia nie byłem dla niego partnerem w rozmowie, ale wielką mieliśmy do sie-

bie miętę. Stał tam kwiat polskiej nauki, dziennikarstwa, polityki. Nad ich głowami pojawiały mi się chmurki: „A, to ten łysy typ będzie śpiewał na moim pogrzebie”. Wiesz, jestem takim cmentarnym żuczkiem-gnojarkiem, który toczy trumienki.

Przypominasz, że wszyscy umrzemy. A to marketingowo dobrze nie robi.

A może to nie jest handlowanie smutkiem, tylko duchowością. Ona się ostatnio dobrze sprzedaje.

No tak, już nie tylko Kościółek Boży, ale też buddyzm, joga. Mam nadzieję, że moja sytuacja sprzedażowa jest uczciwa: sprzedaję wyciskającą lzy cebulę. Po paru kompromisach estetycznych, które poczyniłem – i które zresztą sprzedażowo kompletnie się nie sprawdziły – ograniczyłem się do zakonu muzyki ubogiej. Ubogiej także w tym sensie, że ona sama się ogranicza. To jest minimalizm wprost, jeden do jednego. Niby niczego tam nie ma, a jest wszystko, co powinno znaleźć się w lirycznej wypowiedzi.

Zaśpiewam coś, pozwolisz, ale wybac, nie tylko tobie. Ktoś mi właśnie stuka do serca.

[Sięga po akordeon. Śpiewa:]

Drewniane, kręte schody / drewniane i poręcze / a na piętrze twoje drzwi // Patrę w zdobną, zimną klamkę / nie mogę powiedzieć nic / A za nimi ty // Brukowana droga do lasu / Wielki bukowy las / A w nim ty i twoje psy // Idę za tobą w oddali / by nie urazić twojego serca / w którym jesteś ty / Umiłowany...

Tam pod spodem idzie smyk. Kontrabas. Też dęte unisono. A śpiewak jedzie skrótem. Jest tylko sanktuarium tej sprawy. Tego serca.

W tej pierwszej pieśni, którą zaśpiewałeś...

O miłości... Zdanie „nie ma we mnie kłamstwa” jest grube, bo zawsze ktoś coś ma za paznokciami. Ale ten moment skupienia, w którym między tym, co myślisz, mówisz i robisz, zachodzi jednia, jest możliwy wyłącznie dzięki miłości.

Coś gdzieś było o „cymbale brzmącym”.

Zdaje się, że już to powiedziałem: to źródło się nie wyczerpie.

© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: O debatowaniu



BEZWZGLĘDNY KSZTAŁT KALENDARZA, ale i polecenie służbowe zmusiły nas do napisania tego felietonu przed piątkową debatą kandydatów na prezydenta. Nie możemy zatem odnieść się do faktów, ale są i dobre tego strony – takie, że możemy bezkarnie fantazjo-

wać i sprawdzić bojem, czy nasze widzenie sytuacji przylega do rzeczywistości. Czy – jak tu ponuro siedzimy – umiemy przewidywać kształt zdarzeń i klimatów najpoważniejszych zdarzeń w polskiej polityce, czy raczej nasze mniemania to zły sen.

Aby podsumować nasz nastrój, wypada rzec, że debaty przedwyborcze w czasach obecnych są *de facto* pomyślane jako rodzaj bójki w słabo oświetlonym chlewiku. Dostajemy nadzwyczajną dawkę nieuprzejmości, kłamstw, prostackich żartów i szokujących poglądów na sprawy nieszkodzące. Problemy trudniejsze są/będą sprowadzane do haseł skandowanych na wiecach od Końskich, poprzez dziesiątki miejscowości o nazwach odzwierciedlających, po miasta małe udające duże i duże udające małe. Analizy zjawisk i zdarzeń społecznych są/będą prezentowane na poziomie refleksji pantofelka. Sprawy geopolityki – z poziomu rozwiłki, czyli z horyzontem wyznaczonym przez rodzimą kałużę. Padnie mnóstwo grepsów, wymyślanych przez ludzi niedowcipnych dla niedowcipnych. To narzekanie nie jest ani rytualne, ani jak to się mawia – wyższościowe. Tak jest po prostu i kropka.

Czasy, w których ludzie wybierani w wyborach powszechnych mniej lub bardziej sensownie i kompetentnie spierali się na tematy merytoryczne, minęły dawno temu. Sztaby wyborcze po-

zbyły się doradców od spraw poważnych i wypełniły się specjalistami od „orania”. Powszechnym celem każdej dyskusji pod zbiorczym tytułem „ja panu nie przerywałem” jest zaoranie, a precyzyjnie rzecz ujmując: zaoranie całkowite. Moderatorzy takich spotkań specjalizują się w przerywaniu przerywającym. Sądzimy, że są już gwiazdy przerywania przerywającym i być może zobaczymy ich w którejś edycji „Tańca z gwiazdami”. Słowem, poza ogłoszeniami o zaoraniu nie dostaniemy – jak tu siedzimy – nic a nic.

Oczywiście będzie nieco interesujących tematów. Na razie przychodzą nam do głowy dwa i bardzo jesteśmy ciekawi, jak i czy zostaną wyeksploatowane. Chodzi nam tu o stosunek kandydatów na prezydenta Polski do amerykańskich cel i ograniczenia aktywności amerykańskich wojsk. Nie ma tu nic do rzeczy, że podwyżka cel jest na razie zawieszona, bo tak czy owak problem polskich kosztów związanych z ich podniesieniem kiedyś wróci. No więc – popatrzmy – sytuacja jest szalenie osobliwa, a przez to ciekawa z praktycznego i chyba też psychiatrycznego punktu widzenia. Oto kilku kandydatów, w tym jeden z dwójki najważniejszych, to kibice, by nie rzec: kibole Donalda Trumpa. Są oni po prostu tak wielkimi miłośnikami hasła głoszącego, że Ameryka znów będzie wielka, że koszt owej wielkości jest bez znaczenia. No więc tego tu jeszcze nie grali, żeby kandydat na prezydenta RP głośno popierał działania przywódcy obcego mocarstwa, mające zubożyć polskie państwo i obywateli. Bardzo podobnie rzecz ma się z wycofywaniem wojsk, mających przynajmniej teoretyczną moc odstraszania Rosjan. Tu zauważamy stosowanie pewnego manewru, opartego rzecz jasna na kłamstwie, że mianowicie obecny rząd zniechęca Amerykanów – mówiąc najdelikatniej – do obrony Polski. Jest to jedyne i wygodne tłumaczenie, choć wiadomo że D. Trump w tych sprawach nie ogląda się na nikogo ani na nic – ma po prostu taką ideę, za przeproszeniem, fix. Fiksacja ta jest w debacie jakiegokolwiek niewygodna, bowiem trzeba by powiedzieć o niej coś mądrego, a to jest wykluczone. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

Zapraszamy do nowego newslettera **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**

Jest coś wyjątkowego w popołudniach – kiedy rzeczy ważne i nagłe mieszają się z tymi zupełnie przyjemnymi, dającymi moment wytchnienia.

I właśnie w tym momencie dnia przychodzimy do Państwa z naszym nowym newsletterem: oto **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM!**

Chcemy, żeby było ono miejscem na chwilę oddechu, spojrzeniem na rzeczy, które są naprawdę ważne, poszukiwaniem wspólnie szerszej perspektywy.

zeskanuj i zapisz się!



Kultura procentuje

Miłosz Bembinow, prezes Stowarzyszenia Autorów ZAiKS:
Postrzegana przez państwo jako koszt, a nie inwestycja,
polska kultura przynosi realne zyski i wzmacnia gospodarkę.

Monika Ochędowska: Ponad 80 mld złotych, czyli 3,58 proc. PKB – taką wartość generuje sektor kreatywny w Polsce. Wedle danych Polskiego Instytutu Ekonomicznego pod względem wpływu kultury na PKB zajmujemy trzecie miejsce w Europie.

Miłosz Bembinow: Tymczasem to nie kultura, a na przykład górnictwo, które od stycznia do października zeszłego roku wygenerowało 12 mld netto straty, jest w centrum uwagi polityków wszystkich ugrupowań. Z jakiegoś powodu kulturę traktuje się w Polsce wciąż jako koszt, nie inwestycję. To błąd. Kraje, które zrozumiały, że w kulturę należy inwestować, mają dziś bardziej innowacyjny biznes, lepiej rozwinięte formy przedsiębiorczości, ciekawszy design, lepszych inżynierów.

KINGA KARPAT & DANIEL ZAREWICZ /
MATERIAŁ PRASOWY PARTNERA



Miłosz Bembinow
– dyrygent i kompozytor,
prezes Stowarzyszenia
Autorów ZAiKS.

Jak państwo powinno w kulturę zainwestować?

Na początek wystarczyłoby przestrzegać i egzekwować zapisy wszystkich paragrafów ustawy o prawie autorskim, w tym także tych, które mówią o rekompensatach za „dozwolony użytek z tytułu kopiowania prywatnego”. Chodzi tu o tzw. opłatę od czystych nośników.

Tę opłatę wprowadzono po to, aby autorzy nie tracili na prawie do kopiowania ich utworów. Inaczej mówiąc: zgadzamy się na powielanie płyt lub filmów, oczywiście na użytek prywatny, ale w zamian otrzymujemy wynagrodzenie.

Chodzi nie tylko o płytę, książkę czy film, ale nawet tekst dziennikarski czy publicystyczny, bo rekompensata z tytułu czystych nośników należy się także dziennikarzom.

Kto ponosi koszt?

Producenci i importerzy sprzętu elektronicznego, który umożliwia nam kopiowanie i utrwalanie utworów. Tyle że w Polsce – w odróżnieniu od innych europejskich krajów – smartfon, smart TV, czytnik e-booków czy tablet wciąż nie są taką rekompensatą objęte.

Obowiązek wypłaty rekompensat wynika wprost z dyrektywy unijnej o społeczeństwie informacyjnym z roku 2001, która reguluje prawa autorskie w kontekście rozwoju technologicznego. Niestety kolejne polskie rządy, bez względu na to, kto był ministrem kultury i premierem, w żaden sposób się nad tym nie pochylały, a jeśli się pochylały, to wyłącznie przyklaskując lobbystom importerów i dystrybutorów sprzętu. Bez dbałości o interesy twórców.

Ze strachu przed wzrostem cen?

Wielokrotnie przedstawialiśmy politykom zestawienia, z których jednoznacznie wynika, że ceny smartfonów czy telewizorów nie wzrosną w wyniku nałożenia takiej opłaty.

Ile pieniędzy traci na tym rocznie polska kultura?

Wpływy z opłat w obszarze audio i wideo per capita w roku 2018 wyniosły dla przykładu: we Francji 4,14 euro, na Węgrzech 2,78 euro, we Włoszech 2,11 euro, w Czechach 0,90 euro, podczas gdy w Polsce było to tylko 0,04 euro – kształtując się na poziomie najniższym

w Unii Europejskiej i blisko 60-krotnie niższym od średniej dla krajów członkowskich (2,35 euro).

Polska nie tylko w tym obszarze jest poniżej europejskiej średniej. Mediana przychodów z pracy artystycznej wynosi niecałe 3 tys. zł.

Od lat kolejne rządy obiecują nam ustawę o statusie artysty zawodowego – nazywaną ostatnio ustawą o zabezpieczeniu socjalnym artystów i twórców – która obejmie wszystkie wolne zawody twórcze, także dziennikarzy. Mówimy tu mniej więcej o 300 tys. osób. Według naszej wiedzy ten projekt nadal nie spełnia jednego z najważniejszych i zgłaszanych przez lata postulatów, czyli potrzeby rozłożenia podatku dochodowego twórców w czasie – na dwa lata lub więcej.

Skąd taki postulat?

Autor książki, filmu albo dzieła muzycznego, takiego

jak symfonia czy opera, pracuje nad swoim projektem często dłużej niż jeden rok. Na koniec pracy, czyli po dwóch, trzech latach, dostaje wynagrodzenie, od którego nalicza mu się podatek dochodowy – skumulowany w jednym roku. To nie fair. Zmiana prawa byłaby dla nas nie tyle wsparciem, co po prostu urealnieniem charakteru naszej pracy.

Podobnie jest ze stypendiami, które przyznawane są jedynie na kilka miesięcy albo rok pracy. Trudno w takim czasie napisać dobrą powieść albo skomponować operę.

System stypendialny jest dziś mocno niedoszacowany – zarówno na poziomie samorządowym, jak i państwowym. W ostatnich latach samorządom bardzo mocno, za sprawą Polskiego Ładu, zmieniono zasady rozliczania stypendiów, kultura na tym ucierpiała. Jeśli zaś chodzi o programy ministerialne: wiele z nich nie miało od kilkunastu lat żadnej indeksacji finansowej. Mimo że przez ten czas bardzo dużo się wydarzyło w Polsce i na świecie, pula pieniędzy pozostała taka sama. Siła nabywcza tych pieniędzy jest po prostu inna.

Na jakie jeszcze zmiany czekają twórcy?

Cały czas otwarta pozostaje kwestia ubezpieczeń społecznych, dostępu do służby zdrowia. I na to też są gotowe wzorce. Możemy podejrzeć, jak to zostało rozwiązane w krajach Europy Zachodniej, albo skopiować system KRUS i jego metodologię. ZUS pomyślany jest dla osób, które pracują na etatach, a my na tych etatach w większości przypadków nie pracujemy.

Aż 90 proc. twórców deklaruje nieregularność miesięcznych dochodów. Przychody z pracy artystycznej u 58 proc. przebadanych przez SWPS nie przekraczają poziomu wynagrodzenia minimalnego.

W stosunku do tego, jakie zyski generujemy dla gospodarki, jest to po prostu nie fair. Podam przykład festiwalowy. Są twarde, jednoznaczne badania, które pokazują wzrost małych i średnich przedsiębiorstw dzięki organizacji festiwali muzycznych. Współczynnik odzysku jednej zainwestowanej złotówki to jej 2,5-krotność albo nawet sześciokrotność. To pokazuje, jak silnym magnesem jest kultura. ©

DROID Z KARABINEM

Od dronów-kamikadze po lądowe bezzałogowce:
jak zmienia się wojenna technologia w Ukrainie? Autorka „Tygodnika”, która od trzech lat
opisuje tę wojnę, rozmawiała i z żołnierzami, i z konstruktorami robotów.

TEKST I ZDJĘCIA **ANTONINA PALARCZYK** Z KUPIAŃSKA, DONBASU I LWOWA

CO SIĘ STAŁO Z ICH ODDZIAŁEM? ANDRIJ żyje i wciąż jest na wojnie. Ma podkrążone oczy i częściej niż zwykle podły humor. Wadik i „Banduszkin”, przez kolegów zwany pieszczotliwie „Babuszką”, jakimś sposobem zwolnili się z armii. „Samowar” nie zmienił się ani na jotę, lubi stroić sobie ze wszystkich zarty, a w kąci-ku ust jak zawsze tli mu się papieros.

A Jura? Jura leży tysiąc kilometrów stąd, w wołyńskim szpitalu. Stracił obie ręce, nogę i oko. Trafił go rosyjski dron FPV. Choć nie sposób określić dokładnie liczb, drony-kamikadze, zwane dronami FPV, są dziś najczęstszą przyczyną śmierci i ran. Po obu stronach.

Kupiańsk: stare „pakistany”

Ostatni odcinek do ich bazy pokonuje pieszo przez niby-most. Stoi w centrum przyfrontowego Kupiańska i był niszczone przez Rosjan już tyle razy, że w końcu zaprzestano odbudowywania solidnej przeprawy przez tutejszą rzekę, Oskil. Teraz pozostała tylko wąska kładka dla pieszych, przerzucona między betonowymi kikutami przęsła. Samochody muszą nadkładać kilkanaście kilometrów, by przedostać się na drugi brzeg.

Tam właśnie, w jednej z opuszczonych przez cywilów chat, gnieździ się mały oddział żołnierzy z 14. Brygady, która broni kupiańskiego odcinka frontu. Poznałam tę ekipę rok wcześniej, gdy w okolicznych lasach roztawiali stanowisko dla moździerza. Co jakiś czas wyjeżdżali też na przedmieścia Kupiańska, by oddać kilka strzałów z „Partyzanta” – tak nazywali prowizoryczną wyrzutnię rakiet

Grad, zamontowaną przez nich na pick-upie.

Zmierzcha, kiedy dowlekam się do znajomej furtki. Na podjeździe stoi znajomy pick-up, a oni ładują do prowadnic „stodwudziestki”. Użytkowane obecnie rakietki 122 mm to pociski stare, zwykle pakistańskiego pochodzenia. Noszą ślady długoletniego składowania. „Samowar” majstruje przy nich, wciska w otwory plastikowe rurki, kabelki. Trzeba kombinować, by pociski w ogóle poleciały. Nawet stare „pakistany” są teraz na wagę złota.

Dron celniejszy niż moździerz

W ciągu roku ta „ekipa” przekwalifikowywała się dwukrotnie – wojenna technologia ewoluuje szybko. Żołnierze, którzy pierwotnie obsługiwali moździerz i grada-samoróbkę, pracowali potem jako operatorzy dronów FPV (*first person view*), małych i przede wszystkim tanich w produkcji (jeden taki dron-kamikadze kosztuje kilkaset dolarów, podczas gdy jeden pocisk artyleryjski 155 mm produkcji zachodniej – ok. 5 tys. dolarów).

Teraz przesiedli się na „Wampira” (przez Rosjan zwanego „Babą Jagą”). To wielki dron rolniczy, zaadaptowany przez wojskowych. Ze względu na rozmiary „Wampir” lata tylko nocą, stąd jego obie nazwy. Przeciwnik nie zobaczy go, ale z pewnością z daleka usłyszy: dron wydaje upiorne niskie brzęczenie. Jest w stanie unieść minę przeciwpiechotną lub moździerzowy pocisk 122 mm. Te ostatnie coraz częściej nie są wystrzeliwane w konwencjonalny sposób, lecz przerabiane właśnie pod drony FPV lub „Wampira”.

Drony okazały się dużo celniejsze od moździerza, bo ich lot korygowany jest przez operatora do końca, aż do momentu eksplozji. O ile, rzecz jasna, sygnał nie zostanie zagłuszony przez wroga, a drona nie uda mu się zestrzelić.

Nowe zastosowanie nie zastąpiło w całości poprzedniego, ale wdarło się zdecydowanie w wojenną rzeczywistość.

„Wampir” dostarczy zaopatrzenie

Praca z „Wampirem” okazała się dla oddziału istotną zmianą pod jeszcze jednym względem: certyfikat, uzyskany na koniec szkolenia z jego obsługi, chroni żołnierzy przed przeniesieniem do zwykłej piechoty.

– Chłopaków z innych oddziałów, których przerzucili do piechoty, nie zobaczyliśmy już nigdy – mówi Andrij, gdy wracamy z rajdu „Partyzantem”, a nad Kupiańskiem wisi już gęsta noc. Żołnierze szykują się do wyjazdu na pozycję, tym razem z dronami w bagażniku.

– Poza tym, że „Wampir” lata na większej wysokości niż mniejsze drony, jest bardziej odporny na zagłuszanie za pomocą środków walki radioelektronicznej – ciągnie Andrij, porządkując sprzęt rozłożony w kuchni na kwaterze. – Teoretycznie można go zestrzelić ze zwykłego kałasza. Ale przed tym chroni go wysokość i tylko nocne zastosowanie. Rosjanie bardzo się boją, jak mówią, tej „Baby Jagi”. Ale, jak to oni, zaczęli już sami korzystać z jego odpowiednika.

Poza tym, że uniesie kilkunastokilogramowy pocisk, „Wampir” ma też mniej zabójcze zastosowanie. Następnej



ASLAN, Tatar Krymski, musiał uciekać z domu po aneksji Półwyspu w 2014 r. Dziś mieszka pod Lwowem i jest twórcą projektu „Cyber Droid”: buduje lądowe bezzałogowce, które mogą unieść do 500 kg. Na zdjęciu z jednym ze swoich droidów, marzec 2025 r.

ANDRIJ z dronem „Wampirem” na froncie kupiańskim. To duży dron rolniczy zaadaptowany przez wojskowych, który jest w stanie unieść minę przeciwpiechotną lub moździerzowy pocisk. Drony okazują się celniejsze od tradycyjnego moździerza. Maj 2024 r.



→ nocy z jego pomocą udaje się dostarczyć pokaźny worek prowiantu dla żołnierzy piechoty, którzy zajmują pozycje trudno dostępne, także dla zaopatrzenia. Na nagraniu, które pokazuje „Samowar”, widać termowizyjny obraz zarośli, w które leci worek. I jego ostrzegawczy krzyk: „Leci! Uważajcie na głowy!”.

– Kolacja dotarła do chłopaków – mówi. – Ale potem łączność się urwała. Nie wiemy, czy dożyli rana.

Donbas: piekielne wymysły

Skok technologiczny nie zmniejszył znaczenia żołnierzy piechoty. Nie wymyślono nic, co mogłoby ich uwolnić od konieczności siedzenia na najbardziej niebezpiecznych pozycjach – przez język wojny zwanych „zerem”, „zerówką”.

Technologia wręcz pogorszyła ich sytuację. Już samo dotarcie na pozycje, gdy droga jest pod dozorem dronów FPV, jest ryzykiem. Podobnie zaopatrzenie, a także ewakuacja rannych lub ciał poległych.

– Wcześniej napalm zrzucali samoloty, teraz to robota dronów. Wydostający się z ładunku gaz wchodzi w reakcję z powietrzem i zanim się obejrzyysz, wszystko wokół płonie. Widziałem to z bliska – mówi „Dowbusz”, dowódca oddziału piechoty w 5. Brygadzie Szturmowej, która stoi na wysokości Bachmutu (pseudonim „Dowbusz” nawiązuje do legendarnego zbójnika z Karpát; to jakby ukraiński Janosik).

Pod oczami ma sińce, na ogolonej głowie ośledce, kozacki kucyk. Niedawno wrócił z „zerówki”. Spotykamy się w przyfrontowej Konstantynówce w Donbasie. „Dowbusz”: – Napalm to tylko jeden z piekielnych wymysłów. Drony FPV to nasz, żołnierzy piechoty, największy koszmar. Mówi się, że trwa teraz „wojna dronów”, ale to nieprawda. Byłaby to trafna nazwa, gdyby drony zwalczały siebie nawzajem. Ale one polują przecież na ludzi.

Droid zabierze poległego

– W obecnych realiach żołnierz docierający na pozycję powinien mieć na sobie tylko kamizelkę, a w ręce karabin. Cała reszta powinna być dostarczana na pozycje bojowe w inny sposób. Bezzałogowy. Czemu tak się nie dzieje? Czemu cztery osoby mają ryzykować swoje życie, wynosząc z „zerówki” ciało? Tak nie może być w XXI wieku, w nowoczesnym wojsku – „Dowbusz” mówi to zrezygnowanym głosem.

Może dlatego, że od jakiegoś czasu nie jest w stanie wywieźć zwłok jednego ze swoich podwładnych, nie ryzykując tym samym życia kolejnych swoich ludzi.

Technologia przychodzi z odpowiedzią i na ten problem. Jednak jest ona wciąż poza zasięgiem znacznej części oddziałów ukraińskich, a tym bardziej rosyjskich. Chodzi o maszyny, które tutaj określane są jako droidy: naziemne bezzałogowe pojazdy, będące w stanie wyciągnąć ze strefy największego ryzyka ciało poległego. Albo dostarczyć na „zerówkę” tygodniowy zapas amunicji.

W warsztacie Aslana

– Mam wśród wojskowych wielu znajomych. Gdy zaczęła się pełnoskalowa wojna, chciałem najlepiej wykorzystać moje możliwości, chciałem być przydatny – wspomina Aslan, Tatar Krymski.

– Pod koniec 2022 r., gdy entuzjazm nieco oklapł i pierwsze braki w żołnierzach zaczęły być widoczne, zacząłem się zastanawiać, w których zadaniach na froncie człowiek może być zastąpiony przez maszynę – Aslan, który mieszka dziś w obwodzie lwowskim, jest twórcą projektu „Cyber Droid”.

W towarzystwie puszystego rudego kota oprowadza po swoim warsztacie, gdzie dla ukraińskich wojsk konstruuje zdalnie sterowane pojazdy. Kształtem przypominają czołg, choć są bez działa i znacznie mniejszych rozmiarów.

Myśl Aslana zakiełkowała w stodole gdzieś na lwowskiej prowincji: – W tym roku liczę w końcu na podpisanie kontraktu z Ministerstwem Obrony. Na razie żołnierze zwracają się bezpośrednio do mnie z zamówieniami. Produkuję pięć modeli, mogących unieść od stu do pięciuset kilogramów.

A zastosowanie? – Nasze droidy spełniają się zwłaszcza w logistyce, dowożą amunicję i inne zaopatrzenie. Ale wraz ze współpracownikami nie zatrzymujemy się, pracujemy nad stworzeniem pojazdu bezzałogowego, który miałby sześć metrów długości i byłby w stanie unieść niewielką haubicę.

Maszyny i ludzie

Podobne rozwiązanie – bezzałogowy pojazd zdalnie sterowany, uzbrojony w karabin maszynowy – miało już swój debiut. W grudniu 2024 r. żołnierz z 13. Brygady Gwardii Narodowej „Char-

tia” (uchodzi za jedną z najnowocześniejszych jednostek) opublikowali nagranie pokazujące w pełni zrobotyzowany szturm na charkowskim odcinku, w okolicy miejscowości Lipce. Zakończył się sukcesem, Rosjanie się cofnęli.

W nagraniu, które odbiło się szerokim echem, szef sztabu brygady mówi o dążeniu do tego, by w operacjach obciążonych dużym ryzykiem żołnierza mógł zastąpić robot. Choć jasne jest, że do robotyzacji tej wojny na większą skalę daleko, atak w Lipcach to na pewno moment historyczny – kolejny kamień milowy w ewolucji technologicznej.

Aslan: – Dwa dni temu wróciłem z objazdu frontu, odwiedzałem znajome oddziały. W jednym do teraz zachował się droid, którego chłopaki zaczęli używać ponad rok temu. Poharatany i zużyty, ale wciąż działa. Wiadomo, lepiej stracić maszynę niż ludzi. Jednak ze względu na spore koszty żołnierze dbają o droida nie gorzej niż o siebie. Wiele zależy nie tylko od szczęścia i nasilenia walk, ale od zespołu, który obsługuje maszynę.

Mówi się, że największym problemem, gdy idzie o użycie dronów i droidów, jest system walki radioelektronicznej (polski skrót: WRE). Coraz bardziej powszechny – mobilne zagłuszarki powinien mieć obecnie nie tylko każdy czołg, ale także każda ciężarówka czy karetka ewakuacyjna – może on skutecznie zagłuszać sygnał między operatorem a dronem.

Jednak równie zabójcze (dla sprzętu) może być nieumiejętne obchodzenie się z nim, niska kultura techniczna i brak wykształcenia. Znaczący temat twierdzą, że w przeszłości zdarzało się, iż na niektórych odcinkach frontu nawet połowę ukraińskich dronów neutralizowały... własne zagłuszarki.

Atak i obrona to ciągły wyścig

Tymczasem, aby ominąć przeszkodę, jaką jest wrogi system WRE, w przypadku droidów i dronów można wykorzystać światłowod.

Choć użycie światłowodu – w postaci cienkiej nici, rozwijanej ze szpuli umieszczonej na urządzeniu – ogranicza dystans lotu i możliwość manewrowania bezzałogowcem (oraz sporo kosztuje), to jego zastosowanie przez operatorów obu stron jest coraz powszechniejsze.

Można zadawać sobie pytanie, czy drony światłowodowe to dziś szczyt fron-



towej pomysłowości – skoro rozwiązaniem dla ich zwalczania (alternatywą dla nieefektywnego w tym przypadku systemu WRE) okazuje się zwykła metalowa siatka, mogąca fizycznie zatrzymać dron.

Zawieszana jest nad pozycją, przyfrontowymi posterunkami drogowymi czy w końcu – jak widać na materiale publikowanym przez Rosjan w sieci – nawet nad całą drogą, tu nad trasą między Bachmutem a Czaśiw Jarem. Wiodąca na pozycję droga, będąca w zasięgu ukraińskich dronów FPV, zamieniła się w „tunel” chroniący (trochę) przed ich atakami.

W warsztacie Andrija

Pracy również nad dronami światłowodowymi poświęcił się Andrij, którego spotykam w mieście w centralnej Ukrainie – w piwnicy, gdzie mieści się jego firma, jego start-up. Tak samo jak Aslan, przed 11 laty musiał on opuścić dom: pochodzi z obwodu ługańskiego, który już w 2014 r. znalazł się częściowo pod okupacją Rosji.

Andrij jest i przedsiębiorcą, i wolontariuszem. Od lat angażuje się w pomoc dla armii. Przez jego warsztat przewinęło się mnóstwo rodzajów dronów i urządzeń do ich zagłuszania. A także sensorów – urządzeń do wykrywania bezzałogowców.

Jednym z flagowych produktów jego start-upu jest właśnie detektor dronów. Jest on w stanie wykryć drony FPV (w przeciwieństwie do popularnego sensora, przez żołnierzy nazywanego „Cu-kierkiem”).

Jednak największą fascynacją Andrija są drony wykorzystujące sztuczną inteligencję. Pracuje nad nimi już od 2022 r. Sięga po telefon i otwiera galerię. Na jednym ze zdjęć, datowanych na początek

inwazji, widać korpus drona FPV produkowanego przy pomocy drukarki 3D (jedna pracuje z pomrukiem w kącie piwnicy). Andrij: – To dron własnej produkcji, z marca 2022 r. Wtedy nikt jeszcze nie mówił o tym, jak kluczową rolę odegrają w tej wojnie.

W rękach wolontariuszy

W następnym roku nikt już nie miał co do tego wątpliwości, a z początkiem 2024 r. dekretem prezydenta Zełenskiego w armii powstał nowy rodzaj wojsk: Siły Systemów Bezzałogowych.

Nie zmienia to jednak faktu, że produkcja i zakup dronów przez długi czas realizowane były głównie oddolnie: w tysiącach firm i warsztatów rozsianych po całym kraju – i za pośrednictwem wolontariuszy, którzy odpowiadali na bezpośrednie prośby żołnierzy. Był to zresztą jeden z zarzutów stale formułowanych „z dołu” wobec władz.

W tym roku, jak słyszymy, ciężar ten bierze na siebie Ministerstwo Obrony: w marcu ogłoszono, że w roku 2025 resort planuje kupić od producentów łącznie 4,5 mln dronów FPV. Szacowana kwota, jaka ma zostać na to przeznaczona, to ok. 110 mld hrywien (to równowartość ok. 10,3 mld złotych).

Wielkimi liczbami, gdy idzie o użycie dronów, operuje też druga strona. We wrześniu 2024 r. Władimir Putin mówił, że jego armia otrzymała w 2023 r. ok. 140 tys. dronów, i że w 2024 r. ich produkcja będzie zwiększona dziesięciokrotnie. Czy te liczby odpowiadają rzeczywistości, czy też jest to element wojennej polityki informacyjnej, nie sposób oszacować.

W start-upie w centralnej Ukrainie Andrij konstruuje drony wyposażone w sztuczną inteligencję, zagłuszarki i detektory, które ostrzegają przed dronami FPV. Na zdjęciu współpracownik Andrija w warsztacie, marzec 2025 r.

AI rozpoznaje cel

Andrij: – Dwa tygodnie po 24 lutego 2022 r. zabraliśmy się za składanie naszego pierwszego drona. Gdy pojawiały się zdjęcia rosyjskich kolumn, które ciągnęły na Kijów, stało się dla mnie jasne, że do ich unicestwienia nie wystarczy jawałelinów, wyrzutni przeciwpancernych.

– Z początku inwazji myśleliśmy wciąż kategoriami z minionych wojen, że będzie dochodzić do pancernych bitew, z czołgami wroga wyraźnie oznaczonymi literą „Z” – opowiada Andrij. – Stąd myśl, by produkować autonomiczne drony mogące samodzielnie rozpoznać i zniszczyć rosyjski sprzęt.

Pracę nad programem komputerowym o takich umiejętnościach zaczęli już wtedy, równocześnie z produkcją dronów i innych urządzeń dla armii. – Teraz autonomiczne drony testujemy na froncie wraz ze znajomymi oddziałami. Niestety bez finansowania przez państwo skala wciąż jest niewielka.

Czemu nie udało się dotąd wprowadzić dronów ze sztuczną inteligencją do szerszego użycia? Andrij: – Nie zdążyliśmy z tym, zanim powszechne stały się mobilne systemy WRE. One uniemożliwiają posługiwanie się GPS-em, używanym przez autonomiczne drony do pozycjonowania celu. Owszem, możemy napisać program dla dronów, który nie byłby oparty na systemie GPS. Ale trzeba wziąć się za to wszystko od początku...

Na końcu i tak jest człowiek

Tymczasem, jak wspomina, gdy po raz pierwszy pokazali ich projekt autonomicznego drona na kijowskich targach, nie budził zainteresowania. – Nie wierzone, że to może działać. Ale przecież kiedyś taką samą nieufnością obdarzano drony w ogóle.

Andrij jest przekonany, że autonomiczne drony to przyszłość. Jednak i wtedy na początku będzie człowiek, ich operator. A także na końcu – w okopie.

© ANTONINA PALARCZYK

Szkoła przed ekranem

PATRYCJA BUKALSKA
Z WIELKIEJ BRYTANII

Brytyjski serial „Dojrzewanie” wywołuje gorące dyskusje także na Wyspach. Jego znaczenie wykracza daleko poza sferę filmową.

TO BYŁO NAPRAWDĘ TRUDNE – POWIE-
dział Keir Starmer po tym, jak obej-
rzał serial wraz ze swymi dziećmi: 14-let-
nią córką i 16-letnim synem. Premier
podkreślił, że mówi to jako ojciec. Za-
prosił też do swojej siedziby na Downing
Street twórców filmu, a także organiza-
cje charytatywne wspierające dzieci
i młodzież.

Przypomnijmy: serial, o którym pi-
saliśmy już w „Tygodniku”, opowiada
historię 13-letniego chłopca; będąc pod
wpływem toksycznych mizoginicznych
treści z internetu, zabija on swoją kole-
żankę. W ciągu dwóch tygodni po pre-
mierze na świecie obejrzało go 66 mln
widzów – został uznany za ważny prze-
kaz o problemach dorastających dzieci
i ich rodziców w epoce mediów społecz-
nościowych.

Jednak w Wielkiej Brytanii rezonuje
on wyjątkowo mocno – nie tylko dlatego,
że dzieje się w brytyjskiej szkole.

STATYSTYKA | Radykalizacja pod wpły-
wem sieci, nękanie w szkole, przemoc
między rówieśnikami: nie są to tematy na
Wyspach nowe. Tak jak zabójstwa z uży-
ciem noża – media używają tu już nawet
zwrotu „epidemia”.

Pomiędzy marcem 2023 a marcem
2024 r. aż 83 proc. zabójstw, których
ofiary miały 13-19 lat, popełniono z uży-
ciem ostrego narzędzia (dane z Anglii
i Walii). To więcej niż 10 lat wcześniej:
w okresie 2013-23 takie zabójstwa stano-
wiły 56 proc. We wrześniu 2024 r. rząd za-
kazał sprzedaży tzw. noży zombie: dłu-
gich noży z ząbkowaną krawędzią tnącą.
Jednak, jak się okazuje, narzędziem za-



W Wielkiej Brytanii trwa debata na temat zakazu korzystania ze smartfonów w szkołach.
Na zdjęciu: scena z produkcji serialu „Dojrzewanie”, 2025 r.

bójstwa najczęściej jest zwykły nóż ku-
chenny.

Co jest przyczyną narastającej rówie-
śniczej agresji? Odpowiedzi na to pytanie
szuka Stephen Graham, współautor sce-
nariusza i aktor, który w serialu wcielił
się w ojca głównego bohatera. W wywia-
dach mówi, że do zajęcia się tym tematem
pchnął go szereg incydentów, gdy nasto-
letni chłopcy atakowali nożem dziew-
częta (serial nie jest jednak oparty na ja-
kiejś konkretnej historii).

„Moim celem było po prostu zapytać:
co się dzieje, dlaczego to się dzieje? Czy
możemy się temu przyjrzeć? Bo takie rze-
czy nie zdarzały się, gdy ja byłem młodym
chłopakiem” – mówił Graham.

REMEDIU | Serial nie przynosi jasnych
odpowiedzi na te pytania. Wskazuje jed-
nak na zagrożenia, jak toksyczne treści
online, wpływ radykalnych idei tzw. ma-
nosfery (blogów czy forów zajmujących
się męskością) na chłopców, prześlado-
wanie słabszych. Skłania do dyskusji, ale
sprawia też, że rosną oczekiwania, iż wła-
dze podejmą konkretne kroki. Stąd pona-
wiane apele o zakaz używania telefonów
w szkole i ograniczenie dostępu do me-
diów społecznościowych dla dzieci poni-
żej 16. roku życia.

Zwolennikiem usunięcia smartfo-
nów ze szkół jest scenarzysta serialu Jack
Thorne. To jednak i bez odgórnego za-
kazu staje się faktem – premier podkreśla,
że niemal wszystkie szkoły zakazały już
uczniom przynoszenia telefonów. Star-
mer uważa jednak, że bardziej istotne jest
to, co dzieci znajdują w sieci, a nie to, gdzie
mają do niej dostęp: w domu czy szkole.

Tę sprawę ma rozwiązać przyjęta
w 2023 r. ustawa o bezpieczeństwie w in-
ternecie (*Online Safety Act*), która w tym
roku wchodzi w życie (wprowadzana jest
stopniowo). Nakłada na platformy cy-
frowe, wyszukiwarki i media społeczno-
ściowe obowiązek ochrony dzieci przed
szkodliwymi treściami, w tym pornogra-
fią, treściami promującymi samookale-
czenie, zastraszanie itd.

W daleko idących założeniach ustawa
miała sprawić, że Wyspy będą dla dzieci
najbezpieczniejszym miejscem na świe-
cie, gdy idzie o korzystanie z sieci. Ale zda-
niem części rodziców, w tym tych, którzy
stracili dzieci np. w wyniku samobójstwa,
to za mało.

Teraz pojawiają się obawy, czy pod pre-
sją administracji Trumpa ustawa – wpły-
wająca na działalność wielkich firm
technologicznych – nie zostanie rozwod-
niona.

LIST | Być może kierowany emocjami
ojca, a może atmosferą wokół serialu,
premier zaproponował, by „Dojrzewa-
nie” pokazywać w szkołach średnich.
Platforma Netflix, producent serialu, zgo-
dziła się, by był udostępniany za darmo.
Pomysł spotkał się z uznaniem Thor-
ne’a: scenarzysta ma nadzieję, że pokazy
sprawia, iż nauczyciele będą rozmawiać
z uczniami oraz uczniowie będą rozma-
wiać między sobą.

Jednak nie wszyscy podzielają tę opi-
nię. Ponad 1800 osób – nauczyciele,
psycholodzy, rodzice – podpisało list
otwarty, apelując o wycofanie się z po-
myśłu, by serial był materiałem dydak-
tycznym.

Podają listę powodów, dla których serial, mimo wartości dramatycznej, nie może być tak traktowany. To aspekty etyczne (jest dozwolony od 15. roku życia, gdy część uczniów byłaby młodsza), obawy o powtórna traumę dla uczniów, którzy mają za sobą podobne doświadczenia jak pokazane w filmie (znęcanie, udostępnianie w sieci kompromitujących zdjęć, odrzucenie). „Ryzyko dalszej wiktyimizacji jest bardzo realne i nie wolno go lekceważyć” – twierdzą autorzy listu.

Jego sygnatariusze uważają też, że ponieważ kwestie mizoginii i tzw. ideologii incel (subkultury, której członkowie uważają, że mimo chęci nie znajdują partnerki) są wspominane w serialu, ale bez ich krytycznej analizy, mogą prowadzić do ich normalizacji w oczach niektórych uczniów.

Zastrzeżenia budzi też fakt, że nauczyciele pokazani są w serialu jako pasywni i niekompetentni; zamiast uczyć, puszcza uczniom materiały wideo. Paradoksalnie projekcje byłyby – uważają krytycy – lustrzanym odbiciem tej krytykowanej przez serial praktyki.

KRYTYKA | O opinię nt. planowanych pokazów serialu w szkołach pytam Michaela Conroya, byłego nauczyciela i założyciela firmy treningowej Men at Work, która prowadzi szkolenia dla osób pracujących z chłopcami i młodymi mężczyznami.

– Za szybko, za płytko. Ten pomysł pokazuje brak zrozumienia tego, jak działa szkoła. To czterogodzinny serial: jak, kiedy miałby być pokazywany? Na matematyce? – Conroy wskazuje na wyzwania logistyczne.

Ważniejsze jest jednak coś innego. – Materiały oparte na strachu czy szoku nie działają dobrze w szkołach. A szczególnie już nie działają w rękach nieprzeszkolonych ludzi. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nauczyciel matematyki czy geografii jest oczywiście specjalistą w swojej dziedzinie. Ale nie jest psychologiem. Skutki takich działań mogą być katastrofalne – uważa Conroy.

– Problem może się pogłębić. Jaką puszkę Pandory to otworzy? Gdzie jest struktura, która miałaby sobie z tym poradzić? No i to dodatkowa presja na i tak przeciążonych nauczycieli – przekonuje.

Co zatem robić? – To tylko serial, nawet jeśli opowiada o ciekawych sprawach. Wróćmy do rzeczywistości – uważa Michael Conroy.

ROZMOWY | Ta rzeczywistość to dla Conroya praca na rzecz chłopców i młodych mężczyzn. Zanim w 2019 r. założył organizację Men at Work, przez kilkanaście lat pracował jako nauczyciel w szkole średniej.

– Organizowałem tam grupy dyskusyjne dla chłopców. Chodziło o tworzenie przestrzeni do ciekawej rozmowy, np. o tym, co oznacza słowo „szacunek”. Ważne, by nie zaczynać od czegoś, co może być odebrane jako oskarżenie czy atak. Punktem wyjścia musi być oparta na szacunku współpraca i ciekawość, pytanie i słuchanie, a nie mówienie im, jak ma być – Conroy mówi to z pasją. – Jest deficyt mężczyzn do takich rozmów z chłopcami. Chciałbym, aby było ich więcej, stąd nazwa: *Men at Work*, mężczyźni przy pracy.

O potrzebie męskich wzorców mówił ostatnio trener piłkarski i były selekcjoner angielskiej reprezentacji Gareth Southgate. Obawia się, że nie mając ich, a szukając wsparcia, młodzi mężczyźni trafiają w sieci na manipulatorów i toksycznych influencerów.

„Zbyt wielu młodych mężczyzn jest wyizolowanych. Zbyt wielu czuje się niekomfortowo, otwierając się przed przyjaciółmi lub rodziną. Wielu nie ma mentorów – nauczycieli, trenerów, szefów – którzy rozumieją, jak ich zmotywować do rozwoju” – mówił Southgate. W efekcie „wycofują się, niechętnie rozmawiają lub wyrażają swe emocje”, zaczynają spędzać więcej czasu w sieci, szukając tam wskazówek.

Takich opinii – wskazujących na konieczność umożliwienia chłopcom normalnej rozmowy – po tym serialu pojawia się więcej. „Młodzi ludzie nie rozmawiają już ze sobą, a zamiast tego zwracają się do internetu. Ale oni naprawdę chcą rozmawiać i chcą się wyrażać – mówił Martin Bisp, współzałożyciel fundacji Empire Fighting Chance z Bristolu. – To nasza odpowiedzialność jako społeczeństwa”.

GŁOSY | Roxy Longworth miała 13 lat, gdy kolega starszy o kilka lat skłonił ją, by wysłała mu swoje nagie zdjęcie. Potem szan-

tażował ją i zmuszał do wysyłania kolejnych. W końcu trafiły do wszystkich w szkole. Roxy załamała się, trafiła do szpitala psychiatrycznego.

Dzisiaj jako dorosła kobieta prowadzi kampanię na rzecz bezpieczeństwa w sieci. Gdy zauważyła, że podczas tych dyskusji zwykle brakuje punktu widzenia młodych ludzi, postanowiła dać im głos: zbiera relacje nastolatków o ich doświadczeniach z dorastaniem w świecie online. Publikowane są na stronie Behind Our Screens.

Teraz, podczas debaty wywołanej serialem, Roxy Longworth zwraca uwagę na przepaść międzypokoleniową w sferze mediów społecznościowych. „Wielu młodych ludzi, z którymi rozmawiałam, mówiło, że boją się powiedzieć rodzicom o czymkolwiek, co zobaczą w internecie, bo boją się, że w ramach kary zostaną im odebrane telefony” – mówi w wywiadzie dla BBC.

Jej zdaniem potrzebna jest przestrzeń do takich rozmów – nie od razu o rzeczach strasznych, ale czasem po prostu niepokojących czy zastanawiających. Ponadto realia online zmieniają się tak szybko, że – twierdzi Longworth – bez udziału nastolatków, których to dotyczy, nie uda się znaleźć efektywnych rozwiązań.

KATALIZATOR | Tak czy inaczej: efekt serialu na Wyspach przerasta wszelkie oczekiwania. Okazuje się on, jak mówi premier, katalizatorem publicznej debaty.

W przeszłości zdarzało się już w Wielkiej Brytanii, że jakiś film skłonił rządzących do działania. Tak było niedawno z produkcją „Mr Bates vs Post Office” (Pan Bates kontra Poczta), który opowiada o nieprawidłowościach finansowych, za które płacili niewinni.

W przypadku „Dojrzewania” sprawa jest jednak trudniejsza, także gdy idzie o skalę.

– Potrzebujemy rozmowy, która będzie opierać się na tym, co dobre, która będzie się rozwijać przez dialog, a nie mówienie chłopcom, że są potencjalnymi mordercami – mówi Michael Conroy. – Potrzebujemy odpowiedzialnych dorosłych, którzy skupią się na psychologicznym samopoczuciu dzieci. I działań może być wiele, mało efektownych, niehasztagowych, ale mądrych i poważnych. ©©



Symbolem miasta Sudbury jest pomnik zwany Big Nickel

Pięciocentówka z niklu

MAŁGORZATA SIDZ Z SUDBURY (PROWINCJA ONTARIO, KANADA)

Choć Kanada kojarzona jest dziś w świecie raczej z zielonymi inwestycjami niż z przemysłem ciężkim, jej gospodarka wciąż stoi na wydobyciu surowców. Reportaż z serca kanadyjskiego górnictwa.

KANADA POSTRZEGANA JEST JAKO MIEJSCE narodzin liberalnych idei, kraj otwarty, stawiający na innowacyjność. To wszystko prawda. Jednak pod względem gospodarczym nadal jest ona mocno zależna od górnictwa: od wydobycia metali, minerałów, gazu oraz ropy. I to właśnie tzw. ciężkiemu górnictwu zawdzięcza swoje współczesne bogactwo.

Kanada to także jeden z największych na świecie eksporterów surowców. Jeszcze zanim powstało to państwo, ziemie te zasłynęły eksportem futer, pszenicy, drewna doskonałej jakości. Dziś słyną też z wołowiny i wody butelkowa-

nej. Najwięcej zysków wciąż przynosi jednak wydobycie: ropy i gazu, uranu i węgla, licznych metali i minerałów.

Jeden z ośrodków tego wydobycia to północna część stanu Ontario – jest tutaj kilkadziesiąt kopalń, w tym liczne złota i platyny. I wciąż otwierają się nowe, bo tzw. Tarcza Kanadyjska – rozległy płaskowyż skalny, czyli prekambryjski twór geologiczny, stanowiący fundament kontynentu Ameryki Północnej – to jeden z najbogatszych w minerały obszarów globu. Nikiel, złoto, miedź i srebro wydają się tutaj na wyciągnięcie ręki.

Nigdzie nie widać tego lepiej niż w Sudbury.

W kanadyjskim stylu

Miasto zostało założone w 1883 r., w trakcie budowy Kolei Transkanadyjskiej (połączyła ona Montreal z Vancouver, tj. wschodnie wybrzeże z zachodnim). Inżynier Tom Flanagan natrafił tam wówczas na czerwoną skałę o lekko złotym blasku. Odkrył, że zawiera siarczki miedzi i niklu – już wtedy cennych surowców.

Pięć lat później ruszyły pierwsze kopalnie odkrywkowe. Ze wschodu kraju oraz z zagranicy (np. Skandynawii, Włoch, ziem Polski i Ukrainy) zaczęli przybywać tu liczni osadnicy. Każdy chciał wykopać dla siebie trochę bogactwa. Powstało miasteczko w klasycznym kanadyjskim stylu: wokół jednej gałęzi przemysłu.

W latach 30. XX w. żadne miasto w Kanadzie nie było tak bogate i nie rozwijało się tak szybko jak Sudbury. Powstała tutaj sieć kopalń (niektóre głębokie nawet na 2 km) stała się jedną z najbardziej produktywnych na świecie. Poza miedzią i niklem znaleziono złoża platyny, złota, srebra i żelaza.

W czasie obu wojen światowych miasto stało się miejscem strategicznym dla przemysłu ciężkiego. Mówi się, że polowa artylerii aliantów powstała dzięki niklowi z Sudbury. Nawet dzisiaj, gdy kopalniany boom trochę się uspokoił, ponad trzy czwarte mieszkańców Sudbury zależnych jest od przemysłu górniczego.

Meteoryt przynosi bogactwo

Symbolem miasta jest *Big Nickel* – pomnik wielkiej pięciocentówki, wykonanej z niklu. Ze wzgórza, na którym go ustawiono, doskonale widać dzielnice ciągnące się przez wzgórza i doliny. Przy populacji 166 tys. osób Sudbury zajmuje bowiem obszar sześć razy większy niż Warszawa. Mieszkańcy lubią żartować z cudzych wielkomiejskich korków, mówiąc, że „Toronto jest dwie godziny jazdy od Toronto”. Ale rozłożystość ich miasta sprawia, że sami spędzają godziny na dojazdach.

Dlaczego akurat to miejsce jest tak bogate w minerały? Odpowiedzi udziela geologia: 1,8 mld lat temu w tę okolicę uderzył meteoryt o średnicy dziesięciu, może nawet szesnastu kilometrów. Ocenia się, że leciał z szybkością ośmiu prędkości dźwięku. Wbił się w skorupę ziemską na głębokość 10 km, wyrzucając odłamki skalne na 2 tys. km w góre.

Gdy odłamki stopionej skały osiadły na ziemi, utworzyła się powłoka o głębokości 2 km, a fale tsunami oblały ją, zostawiając osad. Przez tysiące lat woda utrzymywała się w tym kraterze, pozwalając gorącym skałom ochłodzić się i okrzepnąć. Powstała nowa warstwa skalna. Na górze osiadły metale lekkie, na dole ciężkie: stopiona skała pełna minerałów.

Przez następne półtora miliarda lat w Sudbury wypiętrzyły się góry, które następnie zerodowały do niskich pagórków, odsłaniając rudy metali. Przez miliony lat krater nabrał eliptycznego kształtu.

Dziś krater Sudbury jest trzecim największym kraterem powstałym z uderzenia ciała niebieskiego na Ziemi; jego średnicę ocenia się na 150-250 km. Obecny krajobraz zdołał pagórki, doliny i trzysta trzydzieści jezior. W tym Wanapitei, największe na świecie jezioro leżące w obrębie jednej miejscowości – leży w granicach administracyjnych Sudbury.

Z ojca na syna

Dla górników praca jest tutaj czymś, co dziedziczą z pokolenia na pokolenie.

Jeden z moich rozmówców, 30-letni Justin B. (rozmówcy prosili o niepodawanie nazwisk), do kopalni poszedł zaraz po skończeniu liceum. Jego przodkowie z obu stron, ukraińskiej i francuskiej, przybyli tu z Europy na początku XX w.

W 2020 r. Justin kupił dom nad Vermillion Lake – Jeziorem Cynobrowym, nazwanym tak od koloru okalających je klonów. Teraz klony są jeszcze bezlistne, ale widok na jezioro zapiera dech w piersi. Jest ciche, wciąż pokryte śniegiem. – Nie ruchomości z zejściem nad jezioro są bardzo drogie, dlatego tych, którzy tu mieszkają, nazywa się „vermilionerami” – mówi z dumą Justin.

Żeby zostać „vermilionerem”, Justin pracuje po 10-12 godzin dziennie. Czasem zaczyna swoją zmianę po południu, a czasem musi wyjść z domu już o trzeciej w nocy. W dni wolne, które mogą wypaść w weekend albo w ciągu tygodnia, przygotowuje sobie posiłki na cały tydzień.

Za odłożone pieniądze kolekcjonuje obowiązkowy zestaw tutejszego górnika-pasjonata: pick-up, skuter śnieżny (zwany *ski-doo*) i skuter wodny (*sea-doo*).

Aby utrzymać status społeczny, Justin zamawia nowy model *sea-doo* już w marcu: – Kiedy człowiek przyzwyczai się do pewnego stylu życia, później trudno z niego zrezygnować.

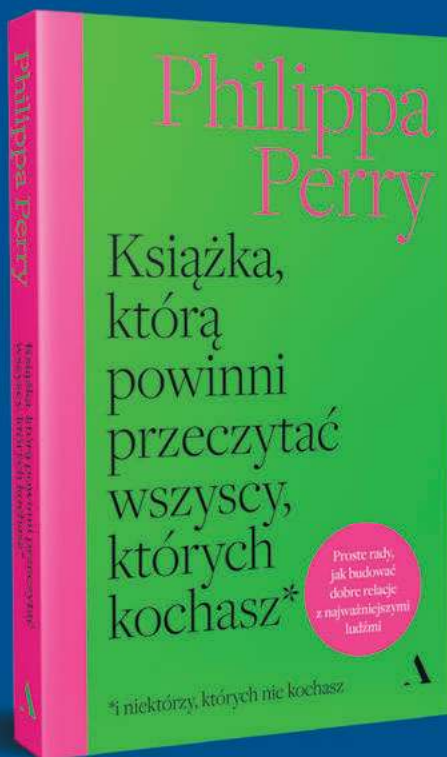
Justin nie zrezygnował z pracy w kopalni nawet po śmierci ojca, Norma, który zginął w wypadku w 2014 r. Wspomina: – Ojciec był typowym Francuzem, silnym, męskim i małymównym. Takim twardym gościem. Jednocześnie dla mnie i siostry był pluszowym misiem.

Tu wyjaśnijmy, że w Sudbury są dwa języki urzędowe, angielski i francuski; tego drugiego używa prawie jedna trzecia mieszkańców (wielu identyfikuje się i jako Kanadyjczycy, i jako Francuzi).

Życie na kopalni

Justin zbliżył się do ojca, gdy razem zaczęli pracować w kopalni. Dla Norma syn stał się wtedy „prawdziwym mężczyzną”. Od tej pory mogli rozmawiać jak równy z równym. Zaczęli chodzić razem na ryby, a Justin zaczął opowiadać ojcu o dziewczynach. Wcześniej, w dzieciństwie, bywało i tak, że ojciec zrzucał go →

REKLAMA



**NOWA KSIĄŻKA
AUTORKI
BESTSELLEROWEGO
PORADNIKA**

„Szkoda,
że twoi rodzice
nie przeczytali
tej książki”

ZADBAJ O RELACJE, A ŻYCIE STANIE SIĘ ŁATWIEJSZE

Praktyczna i pełna humoru
książka Philippy Perry to przewodnik
po lepszym życiu.



COLE BURSTON / GETTY IMAGES

Pracownicy huty niklu w kanadyjskim Sudbury, czerwiec 2022 r.

→ ze schodów i spluwał w twarz, że wyzywał siostrę, a matkę bił na oczach dzieci. Alkoholizm i używki to duży problem wśród mężczyzn, którzy codziennie ryzykują życiem.

Trzy dni przed wypadkiem, w którym zginął ojciec, Justin odmówił pracy w kopalni. Była to jedna z jego ostatnich szych na kończącym się kontrakcie. Na poziomie, na którym mieli pracować, widział pękający beton i wyciekającą wodę: – Jeśli na betonie pojawiają się pęknięcia, to znaczy, że ziemia nad nim zaczyna się ruszać. Woda oznacza niesprawny układ pompujący. Z kolei woda i odsłonięty metal oznaczają korozję.

Justin uparł się i nie zjechał na dół. Ojciec wyśmiał jego obawy i zginął.

Po śmierci ojca Justinowi nie odnowiono kontraktu. Wyjechał na dwa lata do Saskatoon w prowincji Saskatchewan, a po powrocie skończył inżynierię cywilną: – Chciałem mieć jakąś dodatkową umiejętność. Kocham pracę w kopalni, to moja pasja, ale warto mieć coś w zanadrzu, jeżeli miałoby się coś wydarzyć.

W Sudbury wykształcenie wyższe ma tylko ok. 17 proc. mieszkańców; wśród górników ten odsetek jest jeszcze niższy. Justin twierdzi jednak, że kopalnia nauczyła go więcej niż studia: samodyscypliny, bycia samowystarczalnym, a także gotowym do poświęceń dla bliskich i kolegów. – W końcu pod ziemią

nasze życie zależy od nas nawzajem – tłumaczy.

Takie hobby

Dziś chodniki w kopalniach w Sudbury są dobrze oświetlone i wietrzone przez wentylację, a większość maszyn pracuje na prąd i nie emituje zanieczyszczeń. Zasady bezpieczeństwa są surowe. Mimo to praca tutaj to wciąż ryzyko. Wielu górników cierpi na choroby płuc i artretyzm.

Justin: – Ojciec wspominał, że kiedyś rozmawiali z kolegami o zdrowiu i okazało się, że u każdego w rodzinie jest artretyzm. Każdy mężczyzna dziedziczył go po ojcu, ten po swoim ojcu i tak dalej. Dopiero po latach tato zrozumiał, że artretyzm nie jest dziedziczny, i że to, co on odziedziczył po swoim ojcu, to praca w kopalni.

W kopalni Justin wielokrotnie doświadczył trzęsienia ziemi: – Na powierzchni nie czuje się tego tak mocno. Pod ziemią te wstrząsy są przerażające. Wiesz, że nie ma ucieczki.

Żeby pomagać innym, Justin pracuje też w ratownictwie górniczym: – Polacy są w tym najlepsi. Kiedyś byłem na zawodach, nikt nie mógł się z nimi równać. Oni też wykonują to zawodowo, a dla nas to dodatek do pracy, góra parę razy w miesiącu. Takie hobby.

Wspomina dzień, gdy w kopalni wybuchł pożar, a przerażona górniczka spanikowała i schowała się w maszynie:

– Uratowałem życie tej dziewczynie. To niesamowite uczucie.

Dla tego uczucia (i oczywiście dla małego dodatku finansowego, z którym wiąże się działanie w ratownictwie) Justin jest od lat częścią drużyny.

Klasa pracująca

Równocześnie Justin jest bardzo krytyczny i wobec swojego szefostwa, i polityków.

– Głosuję na konserwatystów, ale tak naprawdę nienawidzę każdej władzy – deklaruje. – Nikogo nie obchodzi klasa pracująca. Bogaci się bogacą, a biedni biednieją. Nikt nie chce wysokich podatków, bo nie widzimy, gdzie one idą. Czujemy, że coraz więcej się nam zabiera, a nic nie daje w zamian. Pracujemy ciężko i nic z tego nie mamy.

– Dla firmy nic nie znaczymy – dodaje.

– Niby zarabiamy niemało, ale w porównaniu do tego, jak narażamy codziennie życie, to nie zarabiamy nic. Ja zmieniłem firmę tylko dlatego, żeby pracować w kopalni blisko domu, a w końcu i tak przydzielono mnie do kopalni przy lotnisku, po drugiej stronie miasta. Teraz dojazd zajmuje mi dwie godziny. Próbowalem aplikować o zmianę, ale bez skutku. Dla nich jesteś tylko mięsem.

Justin jest członkiem związku zawodowego, którego hasłem jest słowo „solidarność”. Gdy był kiedyś w Polsce, zwiedził także muzeum Solidarności w Gdańsku. Zachowywał się, co wspomina, jak dziecko w sklepie z zabawkami. Nie mógł się doczekać, aż wróci do domu i opowie kolegom historię walki polskich stoczniowców.

Rewitalizacja

Jeszcze pod koniec lat 80. XX w. Kanaadyjczycy dość powszechnie utożsamiali Sudbury z zanieczyszczeniem. O tym największym ośrodku Północnego Ontario nikt nie mówił inaczej niż „brudne miasto”. Żartowano: „*Honey, tell me something dirty. Sudbury!*”. „Kochanie, powiedz mi coś brudnego?” (tj. nieprzyzwoitego). Odpowiedź: „Sudbury”.

Wycinane masowo lasy wokół miasta znikwały. Zanieczyszczenie zabiło roślinność, kwaśne deszcze pokryły skały czarnym nalotem, powietrze stało się ciężkie od pyłu, łąki zamieniły się w pustynię. Tylko gdzieś tam ostały się brzozy i krzewy jagodowe.

W 1972 r. wybudowano komin nazywany Superstack, który do dziś jest drugim największym na świecie (jedyne w Kanadzie wyższy budynek to CN Tower w Toronto). Roznosił on zanieczyszczenie po okolicznych terenach aż do początku XXI w. Plotka głosi, że NASA przywoziła tu astronautów, żeby przyzwyczaić ich do martwego krajobrazu Księżyca (w istocie mieli zapoznać się z rzadkimi rodzajami skał).

Od 1978 r. Sudbury zalesia się od nowa. Recepta jest prosta, choć czasochłonna: ziemię pokrywa się wapniem, by zmniejszyć jej kwasowość, potem nawozi się ją, a następnie sadi trawę i krzewy. Większość tej pracy wykonują wolontariusze i studenci. Łącznie zasadzono dotąd ponad 12 mln drzew, zrewitalizowano 3400 hektarów ziemi, zużywając 76 tys. ton wapnia. Przemysł zmuszono do tworzenia bardziej ekologicznych modeli wydobywania i składowania odpadów.

To jeden z największych tego typu projektów na świecie. Dziś powietrze w Sud-

Tarcza Kanadyjska, do której należy także Sudbury,

to geologiczny fundament Ameryki Północnej i jeden z najbogatszych w minerały obszarów globu.

bury jest rześkie i świeże. Ale dziesięć razy większy teren wciąż czeka na pełną rewitalizację.

Najważniejszy zawód świata

Mike K., lat 50, zaprasza na skrzydełka i tradycyjne pierogi z cheddarem, aby porozmawiać o „naszych wspólnych polskich korzeniach”. Jeszcze nigdy nie poznał „prawdziwego Polaka z Polski”. Jest dumny z pochodzenia, „bo Polska to KGHM”. Pokazuje album ze zdjęciami rodziny i drzewem genealogicznym, które przygotował fachowiec, genealogiczny

detektyw (choć jego nazwisko brzmiem bardziej przypomina litewskie niż polskie).

Mike postanawia pochwalić się swoją przyczepą turystyczną, którą urządził na nadchodzące lato, pokazuje też swoją kolekcję pick-upów.

W Polsce auto to auto. Inaczej w Kanadzie – tutaj to wielka różnica. Większość tych Kanadyjczyków, których na to stać, ma jeden samochód do użytku na co dzień (na dojazd do pracy i zakupy), a poza tym potwora, który przydaje się w weekendy, w tym do przewożenia ski-doo i sea-doo.

Matki, siostry i żony górników są często pielęgniarzkami, często – od wielu pokoleń. To popularny model. Obie strony pracują ciężko, po wiele godzin, w systemie zmianowym (tak samo działa to w rodzinie Justina).

Teraz żona Mike’a jest na nocnym dyżurze, ale poznaje jego syna. Mike przedstawia go z dumą: – Jest górnikiem, tak jak ja. To najważniejszy zawód świata.

© MAŁGORZATA SIDZ

REKLAMA

MATTEO
BOCELLI
Summer Nights
TOUR 2025
ATLAS ARENA ŁÓDŹ
31 MAJA 2025
BILETY: BILETSERWIS.PL

DECCA WAVE

Prestige
MJM

bs BILET
SERWIS

RMF

onet

TYGODNIK
POWSZECHNY

proart
TELEWIZJA KRAJOWA

VIXON
MULTIMEDIA



Polityka i spektakl

Zygmunt I Stary unikał wojny i przemocy, a jednocześnie potrafił narzucić swoją wolę zakonowi krzyżackiemu. Hołd pruski był dla wielu ówczesnych dowodem na to, że Polska jest państwem silnym, które potrafi skutecznie rozwiązywać konflikty bez rozlewu krwi.

MICHAŁ SOWIŃSKI: W tym roku mija pięćset lat od hołdu pruskiego. Z tej okazji w Muzeum Zamkowym w Malborku otwarto wystawę, która opowiada o tym wydarzeniu, jego konsekwencjach, a także o tym, jakie miejsce zajmuje w naszej zbiorowej pamięci. Jak dziś mówić o hołdzie pruskim? Czy to wydarzenie, które powinniśmy świętować, czy raczej okazja do refleksji?

JANUSZ TRUPINDA: Nie powiedziałbym, że to rocznica, którą należałoby celebrować w sensie uroczystych obchodów czy świętowania sukcesu. Raczej chodzi o podkreślenie wagi tego momentu i zastanowienie się nad jego znaczeniem, zarówno w ówczesnym kontekście, jak i w perspektywie późniejszych wydarzeń. Często zresztą słyszę pytanie: „Czy rzeczywiście jest co świętować?”. Bo przecież hołd pruski miał swoje trudne, a wręcz dramatyczne konsekwencje. Patrząc z perspektywy

czasu, wielu uważa, że to wydarzenie otworzyło drogę do powstania potęgi Prus, które później odegrały kluczową rolę w rozbiorach Polski. Ale właśnie dlatego warto cofnąć się do źródeł i spojrzeć na ten moment przez pryzmat ówczesnej rzeczywistości, a nie jedynie przez filtr naszej dzisiejszej wiedzy.

Jak widziano to wydarzenie w czasach Zygmunta Starego?

Przede wszystkim jako sukces polskiej dyplomacji i mądrości władcy. Zygmunt Stary unikał wojny i przemocy, a jednocześnie potrafił narzucić swoją wolę zakonowi krzyżackiemu. Hołd pruski był dla wielu ówczesnych dowodem na to, że Polska jest państwem silnym, które potrafi skutecznie rozwiązywać konflikty bez rozlewu krwi. Zygmunt doczekał się pochwał od Erazma z Rotterdamu, który widział w nim przykład władcy humanistycznego, działającego w duchu miłosierdzia i roztropności. W tamtym czasie hołd pruski miał zupełnie inny wydźwięk niż dziś. To był akt politycznej zręczności, a nie – jak później zaczęto go postrzegać – zapowiedź przyszłych problemów.

Był to też spektakl. Dzisiejszym językiem powiedzielibyśmy nawet: wydarzenie medialne.

Tak, bez wątpienia. Zygmunt Stary doskonale zdawał sobie sprawę z wagi gestów i symboli. Wybrał Rynek krakowski na miejsce złożenia hołdu – serce Rzeczypospolitej, zarówno pod



Szkic olejny Jana Matejki
do obrazu „Hołd pruski”
(zbiory prywatne)

WYSTAWA
**„HOŁD 500. HISTORIA-
-KULTURA-PAMIĘĆ”**
w Muzeum Zamkowym
w Malborku czynna jest
do 29 czerwca 2025 roku.

**Ekspozycja pokazuje
zarówno kontekst wydarzeń
z 1525 roku, jak i ich
późniejsze interpretacje
w kulturze, sztuce
i historiografii.**

**Więcej informacji
na stronie:
zamek.malbork.pl**

Realizacja projektu
pt. „Obiecuję i przysięgam...”
Hołd pruski 1525 r. – wystawa
czasowa w ramach programu
„Tożsamość” na lata 2023-2025.
Dofinansowano ze środków MKiDN.

względem symbolicznym, jak i politycznym. To było widowisko dla szerokiej publiczności, demonstracja siły, ale i cywilizowanego podejścia do spraw politycznych. Później odbyła się uroczysta msza na Wawelu, a całe wydarzenie miało oprawę godną ówczesnego spektaklu dyplomatycznego. Wieści o hołdzie szybko rozeszły się po Europie. Zygmunt mógł być zadowolony – nie musiał prowadzić wojny, a mimo to osiągnął cel.

Jak zmieniała się ocena hołdu pruskiego w kolejnych wiekach?

W czasach współczesnych Zygmuntowi i w dekadach tuż po hołdzie pruskim dominowała ocena pozytywna. Dopiero później, zwłaszcza w XIX wieku, pojawiła się krytyczna narracja. W okresie zaborów hołd pruski stał się symbolem niewykorzystanej szansy ostatecznego rozwiązania problemu krzyżackiego. Wtedy pojawiły się pytania: „Dlaczego Zygmunt nie wykorzystał swojej przewagi?”, „Dlaczego nie zgniół zakonu krzyżackiego, kiedy miał ku temu sposobność?”. Łatwo dziś spekulować, że gdyby wtedy rozbił zakon, nie byłoby późniejszego problemu z potęgą Prus. Ale trzeba pamiętać o kontekście tamtych czasów.

Z jakimi ograniczeniami musiał się mierzyć Zygmunt Stary?

Przed wszystkim z finansowaniem wojska. Miał problemy ze ściąganiem podatków, a armia była kosztowna. Do tego dochodziły problemy wewnętrzne w kraju. Zygmunt Stary nie był też władcą z natury wojowniczym. Był człowiekiem renesansu, bardziej skłonny do budowania niż do niszczenia, prowadzenia wojen. Chciał rozwijać sztukę i kulturę. Wawel pod jego rządami stał się centrum renesansowej kultury europejskiej. Poza tym Albrecht Hohenzollern był jego siostrzeńcem,

co z pewnością wpływało na sposób, w jaki Zygmunt rozwiązywał ten konflikt.

Z perspektywy zakonu krzyżackiego to pokrewieństwo także było kartą przetargową.

Oczywiście. Krzyżacy liczyli na to, że Albrecht jako siostrzeniec Zygmunta uzyska od niego korzystniejsze warunki. Został wybrany wielkim mistrzem w 1511 roku, w sposób, który łamał wewnętrzne zasady zakonu. Normalnie decyzję podejmowała kapituła, delegaci zakonu, a tym razem proces został przeprowadzony w wąskim gronie, z inicjatywy cesarskiej. Liczono, że Albrecht wykorzysta swoje koneksje rodzinne, by wynegocjować korzystniejsze rozwiązania dla zakonu. Krzyżacy wciąż marzyli o odzyskaniu Malborka i ziem utraconych po II pokoju toruńskim.

Nie do końca się to udało.

Albrecht rzeczywiście zachował władzę, ale nie w taki sposób, jakiego Krzyżacy by sobie życzyli. Sekularyzował państwo zakonne, przekształcając je w świeckie Księstwo Pruskie. I co więcej, przeszedł na luteranizm, porzucając katolicyzm, co dla zakonu było nie do pomyślenia. Wyszło zupełnie inaczej, niż zakładali. Z jednej strony udało mu się zachować władzę, z drugiej – zakon został zredukowany do symbolu przeszłości, a Prusy stały się świeckim państwem, które z czasem odegrało zupełnie inną rolę w Europie.

Patrząc na dzisiejsze czasy – jak współcześnie opowiadać tak dawne wydarzenia? Jak mówić o historii, by była zrozumiała i żywa dla współczesnych odbiorców?

To jedno z największych wyzwań. W przypadku hołdu pruskiego mamy do czynienia z wydarzeniem, które można pokazać jako spektakl polityczny, ale też jako lekcję o długofalowych konsekwencjach decyzji politycznych. Historia to nie tylko przeszłość zamknięta w gablotach muzealnych. To coś, co wciąż rezonuje we współczesnym świecie. Malbork, miejsce, gdzie odbywa się wystawa, sam w sobie jest symbolem. To przestrzeń, która zachęca do interpretacji, do zadawania pytań o to, jak pamiętamy i jak wyciągamy wnioski z przeszłości. Chodzi o to, by opowiadać historię w sposób, który budzi refleksję, nie daje prostych odpowiedzi, ale otwiera na dyskusję. © P



JANUSZ TRUPINDA

– historyk,
menadżer kultury
i muzealnik, znawca
historii zakonu
krzyżackiego, doktor
habilitowany nauk
humanistycznych.
Od 2018 r.
dyrektor Muzeum
Zamkowego
w Malborku.

ELA BIAŁKOWSKA / OKNO STUDIO

GRA O TRON

Jak tysiąc lat temu wyglądała
droga Bolesława Chrobrego
na tron królewski?
Będzie to opowieść o wielkiej
wizji, zdradzie, wojnie,
porwanej księżniczce
i tajemniczych monetach.

MACIEJ MÜLLER



ZACZEŁO SIĘ OD ZAMACHU STANU. BYŁ rok 992. Bolesław, najstarszy potomek Mieszka I, nie czekał na wcielenie w życie testamentu ojca, który chciał podzielić państwo. Pojmał macochę Ode oraz przyrodnich braci i wypędził z kraju. Członkom elity dworskiej, którzy poparli Ode, kazał wyłupić oczy. Nazywali się Odylen i Przybywój – i traf chciał, że to pierwsi Polacy niebędący członkami dynastii, których imiona znamy.

Tysiąc lat później historycy orzekną, że ten czyn nie był okrutny. Bolesław mógł postąpić gorzej: w tamtym czasie podobne wypadki kończyły się na ogół wymordowaniem krewniaków i ich zwolenników.

Mieszko wprowadził państwo do ówczesnej Europy. Jego syn miał ambitny plan: wzmocnienie kraju i korona.

Sredniowieczna federacja

Od młodości wdrażany przez ojca w arkana władzy i wojny, Bolesław – w chwili śmierci Mieszka liczący 25 lat – potrafił

wpisać swoje ambicje w koniunkturę zewnętrzną.

W sąsiednim Cesarstwie panował Otton III, młodszy od Bolesława o 13 lat. Chorowity, był kimś niepasującym do swoich czasów, jakby przeniesionym z dalekiej przyszłości. Jego dalekosiężne idee rozumiał chyba tylko papież Sylwester II. Ale wokół siebie mieli chciwych dostojników i drapieżnych władców.

Była to wizja odtworzenia – bagatela – Imperium Rzymskiego (*Renovatio Imperii Romanorum*) nie tylko z nazwy. Cesarz miałby rządzić nie tylko ziemiami niemieckimi i włoskimi, jak Otton, ale całym światem chrześcijańskim, a papież miałby sprawować nad nim duchową opiekę. Sylwester II tak o tym pisał: „nasze jest Cesarstwo Rzymskie, bogate plony daje Italia, dzielnych mężów Galia i Germania, z nami są nawet potężne królestwa Scytii”.

Na dworze cesarza myśl tę wyrażono w miniaturze ilustrującej Ewangeliarz

Ottona III. To znany z podręczników obraz: cesarz siedzi na tronie, a podchodzą do niego z darami cztery ukoronowane kobiety, podpisane jako Roma, Galia, Germania i Sclavinia. Ostatnia kraina (w wydaniu papieskim: Scytia) to Słowiańszczyzna, władztwo Bolesława.

Centrum tego tworu miał być Rzym, a zwierzchnictwo zasiadającego tam cesarza mieli uznawać równi sobie królowie, tworząc federację monarchii ogarniającą niemal całą Europę. Akces do projektu oznaczał dla państwa Bolesława zrównanie z największymi.

Zysk z tragedii

Ile Bolesław, później nazywany Chrobrym, z tego rozumiał? Czy ktoś w dzieciństwie mu opowiadał o chwale legionów rzymskich, utrzymujących przez setki lat *Pax Romana*?

Wiemy, że cesarz i polski książę poznali się dobrze w 995 r. podczas wspólnej wyprawy przeciw Połabianom. Może



*Cesarz Otton III odbierający hold.
Miniatura z Ewangeliarza Cesarskiego.*

wciąż brakowało mu elementu najważniejszego: korony, bez której nie sposób wstąpić do klubu monarchów kontynentu.

W Gnieźnie doszło do tajemniczego i nie do końca zrozumiałego wydarzenia, o którym wspomina piszący ponad wiek później Gall Anonim. Posłuchajmy: „Zważywszy jego chwałę, potęgę i bogactwo, cesarz rzymski zawołał w podziwie (...): »Nie godzi się takiego i tak wielkiego męża, jakby jednego spośród dostojników, księciem nazywać lub hrabią, lecz chlubnie wynieść go na tron królewski i uwieńczyć koroną«. A zdjąwszy z głowy swej diadem cesarski, włożył go na głowę Bolesława na zadatek przymierza i przyjaźni”.

...to nie korona królewska

Nad znaczeniem tego gestu historycy łamali sobie głowy. Nie streszczając ich dyskusji, przejdźmy do wniosków. Przede wszystkim: nie była to koronacja, choć tak chyba chciał widzieć to Gall. Niewykluczone, że Otton sięgnął do wzorów z dworu bizantyjskiego, gdzie istniała godność patrycjusza – nadawana przez cesarza osobom, które pragnął wyróżnić.

Nie byłoby to dziwne u Ottona, zafascynowanego zwyczajami rzymskimi. W dodatku jego matka, Teofano, była księżniczką bizantyjską. Z taką hipotezą zdają się zgadzać tytuły, którymi według Galla cesarz miał obdarzyć Bolesława: nazwał go „bratem i współpracownikiem cesarstwa” oraz „przyjacielem i sprzymierzeńcem narodu rzymskiego”. Cesarze bizantyjscy na ogół nazywali książąt synami, a królów braćmi.

Niewątpliwie po zjeździe gnieźnieńskim Bolesław królem jeszcze nie był. Inaczej zaobserwowalibyśmy w źródłach zmianę tytułatury. Thietmar konsekwentnie nazywa go księciem. To prawda, że go nienawidził, ale nienawidził też innych władców, a mimo to po ich koronacji zmieniał im tytuł na „rex”. Tutaj po roku 1000 to wciąż „dux”.

Historycy mówią dzisiaj ostrożnie: cesarz zachęcił Bolesława do starań o przeprowadzenie koronacji. Do tego zaś potrzebna była korona poświęcona przez papieża.

Cesarski diadem...

O tym, co zdarzyło się później, Bolesław może nawet nie śnił. Otton, poruszony historią Wojciecha, zapowiedział podróż do jego grobu. Była to decyzja bez precedensu: cesarz do nikogo nie jeździł (chyba że na czele wojsk), to do niego się jeździło – składać hołdy.

Niewykluczone, że Otton widział w Wojciechu patrona dla swego imperialnego projektu. Do Gniezna wybrał się jednak nie tylko z pielgrzymką, ale z pakietem rozwiązań politycznych. Chodziło o organizację wschodnich rubieży odnowionego Cesarstwa.

Bolesław, który cesarza przyjął z takim przepychem, że wzbudziło to podziw nawet niechętnego mu kronikarza Thietmara, zyskiwał niezależną metropolię kościelną i prawo mianowania biskupów. Otton rzekł się też trybutu ciążącego na państwie od czasów Mieszka.

Arcybiskupstwo dodawało Bolesławowi kolejne punkty prestiżu, ale

się zaprzyjaźnili, może cesarza zafascynował starszy od niego, sprawnie dowodzący drużyną słowiański wódz? Może zobaczył w nim sojusznika swoich planów imperialnych.

Do ich realizacji przystąpił kilka lat później. Powodu dostarczył niejaki Wojciech, wygnany z Pragi tamtejszy biskup, który został misjonarzem i postanowił tylko Słowem Bożym, bez użycia broni, nawrócić na wiarę Chrystusa plemiona Prusów.

Skończyło się to dlań okrutną śmiercią, którą polski książę znakomicie wykorzystał propagandowo. Na średniowiecznym „komiksie” z Drzwi Gnieźnieńskich możemy obejrzeć, jak ofiarowuje Prusom tyle złota, ile ważyło ciało Wojciecha. Inwestycja zwróciła się szybko, bo państwo zyskało rzecz niezwykle cenną: grób pierwszego w tej części Europy męczennika.

Gdyby to była gra wideo, polski książę zyskałby właśnie dużą premię punktów prestiżu.

Rozpostarty ogon

→ Jednak po roku 1000 Bolesław z pewnością czuł się kimś wyższym niż inni książęta. Dysponował już wieloma prawami przynależnymi tylko królowi. Zadbął też o rozpropagowanie swego wywyższenia. W XI stuleciu nie było gazet ani ulotek, ale istniały przedmioty znakomicie spełniające rolę medium: monety.

Od antyku władcy wykorzystywali awers i rewers monet do manifestowania swej potęgi. Wybijali je po przejęciu władzy, koronacji czy zwycięskiej wojnie. Z pierwszych lat po spotkaniu w Gnieźnie pochodzi znana, bo reprodukowana dziś na banknocie 20-złotowym moneta, nazwana od umieszczonego na niej napisu *denarem Princes Polonie*.

Widnieje na nim ptak, który dziś budzi raczej rozbawienie niż respekt. Kilku patriotycznie nastawionych badaczy chciało w nim rozpoznać pierwsze przedstawienie orla białego, ale to hipoteza anachroniczna. Przeważa opinia, że to paw. W tradycji chrześcijańskiej symbolizował on zmartwychwstanie i życie wieczne. Motyw ten mógł nawiązywać do kultu Wojciecha i podkreślać chrześcijański charakter władzy Bolesława.

Nas jednak bardziej interesuje napis. Użyty tytuł „*princes*” (tj. łacińskie „*prin-*

ceps” z błędem) jest nietypowy. Władcy określali się wtedy na monetach jako „*dux*” albo „*rex*”. Bolesław swoją pozycję pozycjonował najwyraźniej między tymi szczeblami.

Po śmierci Ottona w 1002 r. królem niemieckim był już wtedy Henryk II (od 1014 r. cesarz), wrogi Bolesławowi. Może wobec tej zmiany koniunktury politycznej książę chciał podkreślić tytuł rzymskiego patrycjusza, nadany mu przez Ottona? Oraz fakt, że wciąż czuje się realizatorem ottońskiej idei odnowy Imperium Rzymskiego.

Skuteczny rebranding

Drugie słowo napisu na tej monecie powinno nas jeszcze mocniej zelektryzować. To najstarszy (albo: jeden z najstarszych) zapisów nazwy naszego kraju. Określenie „*Polonia*” pojawia się nagle, w okolicach roku 1000, w wielu źródłach krajowych i zagranicznych.

Wszystko wskazuje na to, że była to przemyślana strategia Bolesława. Wykoncypował on, że dalsze uciekanie się do nazywania kontrolowanych przez dynastę ziem „państwem Mieszka”, „państwem Bolesława” itd. przestaje pełnić swoją rolę. Tym bardziej jeśli w sąsiednich Czechach również rządzi władca o imieniu Bolesław.

Prawdopodobnie na dworze Bolesława wymyślono nazwę „*Polska*”, etymologicznie kojarzącą się z polem, czyli ziemią dającą żywność (zostawmy na marginesie dywagacje, czy mogło nawiązywać do hipotetycznego plemienia Polan – nieobecnego w źródłach z epoki).

Nazwa „*Polska*” miała dostarczyć „mocy identyfikującej, wykraczającej ponad czas rządów jednego człowieka” – tak to ujął archeolog Przemysław Urbańczyk. Taki był cel „rebrandingu” Bolesława. Że skutecznego, chyba nie trzeba dowodzić.

Nieudany zamach

Bolesław po roku 1000 niewątpliwie zaczął starania o koronę. Sprzyjali mu Otton i papież. W 1001 r. koronowany został Stefan Węgierski, wszystko zdawało się na dobrej drodze. Otton jednak zwlekał z decyzją. Jego polityka nie podobała się wielu dostojnikom niemieckim, a cesarz nie mógł stawiać sprawy na ostrzu noża, bo potrzebował ich oddziałów do pacyfikowania niepokojów we Włoszech, części swojego państwa.

Otton zmarł w styczniu 1002 r., gdy przygotowywał się do oblężenia zbuntowanego Rzymu. Rok później odszedł Sylwester II. Zabrakło kluczowych ludzi

Upadek i odrodzenie królestwa Piastów

JUŻ KILKA LAT po śmierci Bolesława Chrobrego jego syn Mieszko II stracił władzę. Królestwo Piastów zaatakowały Niemcy i Ruś, Mieszko ustąpił przyrodniemu bratu Bezprymowi, a jego żona Rychcza wywiozła do Niemiec insygnia królewskie. Król schronił się do Czech, których władca uwięził go i wykastrował.

BEZPRYM wkrótce zginął z rąk zabójcy, a Mieszko II wrócił i rządził do 1034 r. Po jego śmierci doszło jednak do rozpadu państwa. Podręczniki mówią o „reakcji pogańskiej”, ale nauka odchodzi od tego określenia. W kraju od dawna narastało niezadowolenie wywołane ciągłymi wojnami. Buntownicy atakowali też Kościół, ale raczej jako element mechanizmu władzy państwowej.



Marcello Bacciarelli, Bolesław Chrobry, 1770 r.

APOGEUM UPADKU to najazd czeskiego księcia Brzetysława pod koniec lat 30. XI w. Wywiezienie przez niego z Gniezna relikwii św. Wojciecha było gwoździem do trumny dynastii, Kościoła i państwa. Zapanował chaos, życie na tych ziemiach przestało być bezpieczne. Na Mazowszu powstało niezależne państwo Miecława, byłego współpracownika Mieszka II, a Czechy szykowały się do aneksji całego południa.

PAŃSTWO URATOWAŁA interwencja Niemców, Rusinów i Węgrów, którzy nie chcieli potężnych Czech i dostrzegli w Polsce siłę stabilizującą region. Stąd pomoc zbrojna i polityczna udzielona Kazimierzowi Odnowicielowi. Odbudowa kraju i Kościoła ciągnęła się przez całe panowanie tego księcia, a także jego syna Bolesława Szczodrego (Śmiałego). Bezcenne w tym procesie były tradycje państwowe i dynastyczne powstałe za Chrobrego, wspomnienie jego chwały. Szczodry, wzorem wielkiego pradziada, sięgnął po koronę. © MAM

do przeprowadzenia koronacji polskiego pretendenta.

Władzę w Niemczech objął, jak już powiedziano, Henryk II (po krótkiej wojnie domowej). Półtora wieku później ogłoszony świętym, był w istocie bezwzględny i podstępny, ideami poprzednika gardził, a wyraz temu dał na swojej pieczęci, na której kazał napisać nie „*Renovatio Imperii Romanorum*”, tylko „*Francorum*”. To było nawiązanie do cesarstwa Karola Wielkiego. Górę wzięła koncepcja, w której to Niemcy są główną częścią cesarstwa.

Bolesław mógł uznać zwierzchnictwo Henryka i zostać jednym z jego najważniejszych lenników. Ale nie pozwalały na to honor i ambicje. Stąd denar *Princes Polonie*. Oraz wojna.

Wybuchła wkrótce po próbie zamachu. Gdy w 1002 r. świta Bolesława opuszczała Merseburg, gdzie spotkał się on z Henrykiem, zaatakował ją zbrojny tłum. Bolesław ocalał dzięki pomocy książąt Henryka ze Schweinfurtu i Bernarda saskiego, którzy wraz ze swoimi ludźmi przyszli mu w sukurs. Był pewien, że za próbą zabójstwa stał Henryk.

Wojenna strategia

Wojna ciągnęła się z przerwami aż do roku 1018. Nie będziemy śledzić jej przebiegu; dość powiedzieć, że Bolesław dowiódł w niej nieprzeciętnych zdolności dowódczych.

Mając mniejsze siły, nie dopuszczał do dużych bitew, chronił się za murami grodów, znakomicie wykorzystał nieprzebyte pas puszcz i bagien na zachodnich granicach. Nielicznych dokonanych tam przesiek stosunkowo łatwo było bronić, podobnie jak brodów na Odrze.

Bolesław krył się, atakował mniejsze oddziały wroga, przecinał linie zaopatrzenia, budził strach u wołów przeciwnika i wściekłość Henryka. Przy czym miał wielu stronników wśród niemieckich możnych – i szpiegów zarówno w Niemczech, jak i we Włoszech.

Pokój podpisano w 1018 r. w Budziszynie na Łużycach. Gród ten należał wówczas do Bolesława: taki wybór miejsca oznaczał, kto wychodził z wojny zwycięsko. Cesarz nie chciał dać się poniżyć, do Budziszyna wysłał pełnomocników.

Ruska księżniczka

Zabezpieczony od zachodu, Bolesław wziął się za problemy na wschodzie. Pro-



Denar *Princes Polonie Chrobrego*

blemem był dyshonor, jakiego doznał od wielkiego księcia kijowskiego Jarosława Mądrego, który odmówił mu ślubu ze swoją siostrą Przedstawą. W dodatku wcześniej obalił Świętopelka, Bolesławowego zięcia.

Karna ekspedycja, z posiłkami niemieckimi i węgierskimi, ruszyła w 1018 r. Rozbiła nad Bugiem siły Jarosława i niebawem Bolesław wkroczył do Kijowa. Według Galla miał, wjeżdżając do miasta, uderzyć mieczem w Złotą Bramę (to niemożliwe, powstała w 1037 r.).

Następnie Gall pisze tak: „[Bolesław] wyjaśnił swoim wojownikom ze śmiechem, a wcale dowcipnie: »Tak jak w tej godzinie Złota Brama miasta ugodzona została tym mieczem, tak następnej nocy ulegnie siostra najtchórliwszego z królów, której mi dać nie chciał. Jednakże nie połączysz się z Bolesławem w łożu małżeńskim, lecz tylko jeden raz, jak nałożnica, aby pomszczona została w ten sposób zniewaga naszego rodu, Rusinom zaś ku obeldze i hańbie»”.

W kijowskim pałacu woje Bolesława znaleźli bowiem macochę, żonę i siostry Jarosława. Mnich Gall zdaje się nie tyle nie potępiać, ale pochwalać gwałt na Przedstawie, który miał upokorzyć Ruś i jej władcę jako tego, który nie potrafił obronić kobiet ze swojego rodu.

Sekretny pałac

Jeśli ktoś chciałby trzymać się nadziei, że wszystko przebiegło inaczej, a Bolesław nie postąpił tak ohydnie (choć w sposób zrozumiały dla siebie współczesnych), ma do dyspozycji kilka wskazówek. Thietmar pisze: „Ten stary wszetecznik ją [Przedstawę] uprowadził bezwstydnie, zapominając o swojej ślubnej małżonce [Odzie]”.

I tak, archeolodzy odkryli na Ostrowie Lednickim ruiny palatium (budynku zamkowego), a w nim przedmioty związane z liturgią wschodnią pochodzące z XI w. Znajdował się tam też grób chłopca zawierający wiele kosztowności. Wielki mediewista Gerard Labuda postawił hipotezę: Bolesław osadził na Ostrowie Przedstawę razem z jej otoczeniem i żyła tam w warunkach należnych księżniczce. Chłopiec mógł być synem Bolesława i Przedstawy, zmarłym przedwcześnie.

Mamy więc kilka puzzli z układanki na tysiąc elementów. Możemy z nich ułożyć historię o gwałcie. Albo o nieoczekiwanej (wzajemnej?) fascynacji. A może Bolesław powinien jawić nam się jako porwacz, który zamiast po chrześcijańsku żyć z niemiecką żoną, wołał odwiedzać osadzoną na Lednicy ruską kochankę? Jak w tym odnalazła się Przedstawia i jakie były jej losy, nie dowiemy się raczej nigdy.

Jest jeszcze jeden trop: Gall niejasno wspomina o kłątwie rzuconej na kraj w ostatnich latach panowania Bolesława przez arcybiskupa Radzima Gaudentego. Pozostaje spekulacja: czy była to kara za bigamię?

List do Bizancjum

Po zdobyciu Kijowa Bolesław poczuł się władcą europejskiego mocarstwa. Kazał podyktować listy z wieścią o zwycięstwie i, jak relacjonuje Thietmar, „wysłał także posłów do pobliskiej Grecji, którzy mieli zapewnić tamtejszego cesarza o jego życzliwości, jeżeli cesarz ze swojej strony zechce dotrzymać wierności i przyjaźni. W przeciwnym wypadku – mieli mu oświadczyć – Bolesław stanie się jego zdecydowanym i nieustępliwym wrogiem”.

Arogancja, która dech zapiera: wschodnioeuropejski książę wysyła do bizantyjskiego cesarza Bazylego II (o przydomku Bułgarobójcy) list z pogrózkami. Nie znamy losów tego poselstwa ani jego celu. Przemysław Urbańczyk, który lubi piętrowe hipotezy, wpisuje czyn Bolesława w rywalizację Wschodu i Zachodu: polski książę, być może zawierając sojusz z niedawnym wrogiem, cesarzem niemieckim, pokonuje prawosławnego wielkiego księcia kijowskiego, sojusznika Bizancjum – i przeżył muskuły wobec samego basileusa Bazylego.

→ Jakkolwiek było, tymczasem dynastii przybywało kolejnych punktów prestiżu: syn Bolesława, Mieszko, pojął w 1015 r. za żonę Rychezę, której matką była siostra Ottona III. W żyłach ich potomka – przyszłego Kazimierza Odnowiciela – będzie płynąć krew i Karola Wielkiego, i cesarzy wschodniorzymskich.

Koślawe napisy

Bolesław czuł się zatem bardzo ważnym graczem na arenie europejskiej, ale wciąż nie miał najważniejszego atrybutu swojej potęgi: korony. Podczas wojny z Henrykiem II starania o nią były niemożliwe, po pokoju w Budziszynie być może też nie (aby nie drażnić starego wroga).

O tym, że aż skręcało go z niecierpliwości – nie był już pierwszej młodości – świadczy kolejna moneta wybita za jego panowania. Gdy pod koniec XIX w. wykopano kilka denarów z napisem „*Bolizlavus Rex*”, początkowo datowano je na rok 1025, a więc tuż po koronacji. Rzecz w tym, że później odnajdywano te mo-

Prawdopodobnie to na dworze Bolesława **wymyślono nazwę „Polska”**, etymologicznie kojarzącą się z polem, czyli ziemią dającą żywność.

nety w skarbach (tj. zespołach monet) datowanych na lata 1015–1020.

Numizmatycy proponowali rozmaite wyjaśnienia tej zagadki: np. że książę, uzurpując tytuł królewski, prowokował cesarza niemieckiego. Pewną wskazówką jest fakt, że monety te są fatalnie wykonane: źle zaprojektowane (liczne błędy w koślawym napisie, prymitywny rysunek krzyża) i byle jak wybite. Urbańczyk proponuje hipotezę, że Bolesław, nie mogąc się doczekać korony, kazał mincerzom wykonywać próby warsztatowe monet „królewskich”.

Ukoronowany

Po tak długiej grze o koronę smutne jest, że o koronacji Bolesława, obdarzonego przydomkiem Chrobry (tj. mężny), do której doszło zapewne 18 kwietnia 1025 r., nie wiemy prawie nic. Ani gdzie się odbyła, ani kto jej dokonał. Być może książę czekał na śmierć cesarza: Henryk odszedł w lipcu 1024 r. Nie wiemy, czy uzyskał zgodę papieża. Na pewno nie zyskał cesarskiej, bo roczniki niemieckie pełne są wyrazów oburzenia wobec władcy, który „uzurpował sobie namaszczenie”.

Czy Bolesław myślał w tamtej chwili o wcześniejszym o ćwierć wieku spotkaniu z Ottonem III? Czy pamiętał o wizji zjednoczonej Europy, którą żył ten cesarz? Czy przyjmując królewskie namaszczenie, miał poczucie, że ją realizuje? A może nigdy nie brał jej na serio i czerpał z niej tylko korzyści polityczne?

Sędziwy jak na tamte czasy, bo 58-letni Bolesław, w chwili koronacji mający przed sobą tylko dwa miesiące życia, zabrał odpowiedzi na te pytania do grobu.

© P MACIEJ MÜLLER

REKLAMA

MAGAZYN
wyborcza

Tworzymy go my i Wy:
dziennikarze, redaktorzy i Czytelnicy.

Opisujemy wydarzenia, poglądy i emocje.
Zawsze prawdziwe.

Zachęcamy do refleksji i inspirujemy.
Czytasz. Myślisz. Rozmawiasz.



MAGAZYN
wyborcza

szukaj w punktach sprzedaży prasy
przez cały tydzień!

WOJCIECH

Bonowicz:

Bóg, który nas opuszcza



ZWĄTPIENIE? ZAPEWNE, ALE NIE SAMO. Zwątpienie i odwaga. Pisał Dietrich Bonhoeffer w więzieniu, na kilka miesięcy przed swoją śmiercią: „Nie możemy być uczciwi, nie uznając, że żyć nam przyszło w świecie *etsi Deus non daretur* [jakby Boga nie

było]. Właśnie to uznajemy pod wzrokiem Boga – to On nas do tego zmusza. Tak więc fakt, że staliśmy się dorośli, prowadzi nas do wyznania przed Bogiem, zgodnie z prawdą, jaką jest nasza sytuacja. Bóg daje nam przez to do zrozumienia, że mamy żyć jak ludzie, którzy dają sobie radę w życiu bez Niego. Ten sam Bóg, który jest z nami, to przecież Bóg, który nas opuszcza. (...) To z Nim, to pod jego wzrokiem żyjemy, żyjąc bez Boga. Nasz Bóg daje się wypchnąć ze świata aż na krzyż, jest w świecie bezsilny i słaby, i tak właśnie, tylko tak jest z nami i nam pomaga” (przekład Anny Morawskiej).

Moment, w którym zapisane zostały te sławne słowa – słowa, które stały się inspiracją, drogowskazem dla tysięcy poszukujących – to moment określenia się raz jeszcze, na nowo. Nie ma tu znaków zapytania: gdzie jest Bóg? Czy Bóg nas opuścił? Czy się ukrywa? Jest napięcie wyrażające się paradoksem: Ten, który jest z nami, jest zarazem Tym, którego nie ma. Takie było doświadczenie Bonhoeffera: Bóg „pozwoił się wypchnąć” ze świata, z historii, jest bezsilny. Nie potrafi powstrzymać przemocy, co więcej – sam się jej poddaje. Nadal jest Bogiem-Stwórcą i Bogiem-Zbawcą, Bogiem, pod którego wzrokiem żyjemy. Ale w świecie jest „słaby”, nic nie znaczy, oddaje jego sprawy w nasze ręce. I to dzięki naszym rękom – wynika z dalszych refleksji Bonhoeffera – może na powrót wejść między nas, choć już jako ktoś inny: Bóg dorosłych, Bóg tych, którzy poculi, że trzeba nauczyć się chodzić bez ciągłego oglądania się, czy nas podtrzyma, czy złapie nas, gdy będziemy upadać. Bóg wolnych.

Spisuję te refleksje po II Festiwalu Bonhoeffera w Szczecinie. Rok temu, podczas pierwszej edycji, zastanawialiśmy się tam nad poematem Tadeusza Różewicza, w którym poeta relacjonował (tak to trzeba powiedzieć, bo tak to zostało ustawione w wierszu) swoją „rozmowę” z niemieckim teologiem: „Bonhoeffera spotkałem we Wrocławiu // zacznij od początku / zacznij jeszcze raz mówić do mnie / naukę chodzenia / naukę pisania czytania / myślenia // trzeba się z tym zgodzić / że Bóg odszedł z tego świata / nie umarł! / trzeba się z tym zgodzić / że jest się dorosłym / że trzeba żyć

/ bez Ojca // i mówił jeszcze / że trzeba żyć godnie / na świecie bezbożnym / nie licząc na karę ani nagrodę”. Siedzieliśmy, pisał poeta, „w małej piwiarni koło kościoła / świętej Elżbiety”, a Bonhoeffer czytał „swoje wiersze pisane w Tegel”, w więzieniu. Zauważmy, że dwa razy powtarza się w tej relacji sformułowanie: „trzeba się z tym zgodzić”, a za trzecim razem pojawia się jakby echo tych słów: „trzeba żyć godnie”. To „trzeba żyć godnie” brzmi jak kolejne powtórzenie, ale jest już czymś innym – ustanowieniem nowej rzeczywistości, decyzją.

Motyw opuszczenia i dorastania do nowej sytuacji, do dorosłej wiary, pojawia się też w pięknym wierszu Anny Kamieńskiej „Rozstania”:

*No tak trzeba się rozstać
rozstać ale nie tylko ze światem z samym sobą
na koniec także z Panem Bogiem
z tym dobrym Bożym który rósł w tobie od dzieciństwa
tak bardzo mały jak skrzat
że był a prawie go nie było
z tym Bogiem o którym mądrze wątpisz
w którego głupio wierzysz
z tym sercem świata wielokrotnym
z tym pożądaniem wiekuistym
z Bogiem na podobieństwo twoje
na strach twój na pojęcie niepojęte
bo Ciebie który napotkasz
będzie przeciwieństwem cienia
Światłość przeciwieństwem światła
a Bóg kimś kogo zawsze znając
jak matka dorosłego syna nie poznałaś*

Poruszający jest tu zwłaszcza wątek macierzyństwa, Boga, który „rósł w tobie”. Najpierw tak mały, że „prawie go nie było”, lecz dzięki temu do ogarnięcia, z czasem stał się niczym dorosły syn dla matki. Przyznam, że nie spotkałem się nigdzie indziej z podobnym porównaniem. Ten Bóg także odszedł, ale odszedł, jak odchodzą dorosłe dzieci. Zmieniają się i rzeczywiście doświadczasz wtedy takiej właśnie podwójności: znasz je przecież, byłeś przy tym jak dorastały, a jednocześnie już ich nie poznajesz, już się wymknęły, już „nie są twoje”. I ten Bóg z wiersza też nie jest „twój”, nie zamkniesz go w swoich formułach i wyobrażeniach. Czy nazwiesz go Światłem, czy Cieniem, On i tak będzie przeciwieństwem tego, co podłożysz pod te pojęcia.

Chwile zwątpienia, opuszczenia, gdy wydaje się, że świat wymknął się Bogu z ręki. Ale może właśnie w takich chwilach i świat, i Bóg zostają nam „zwrócenii” – żebyśmy dorośli? ©

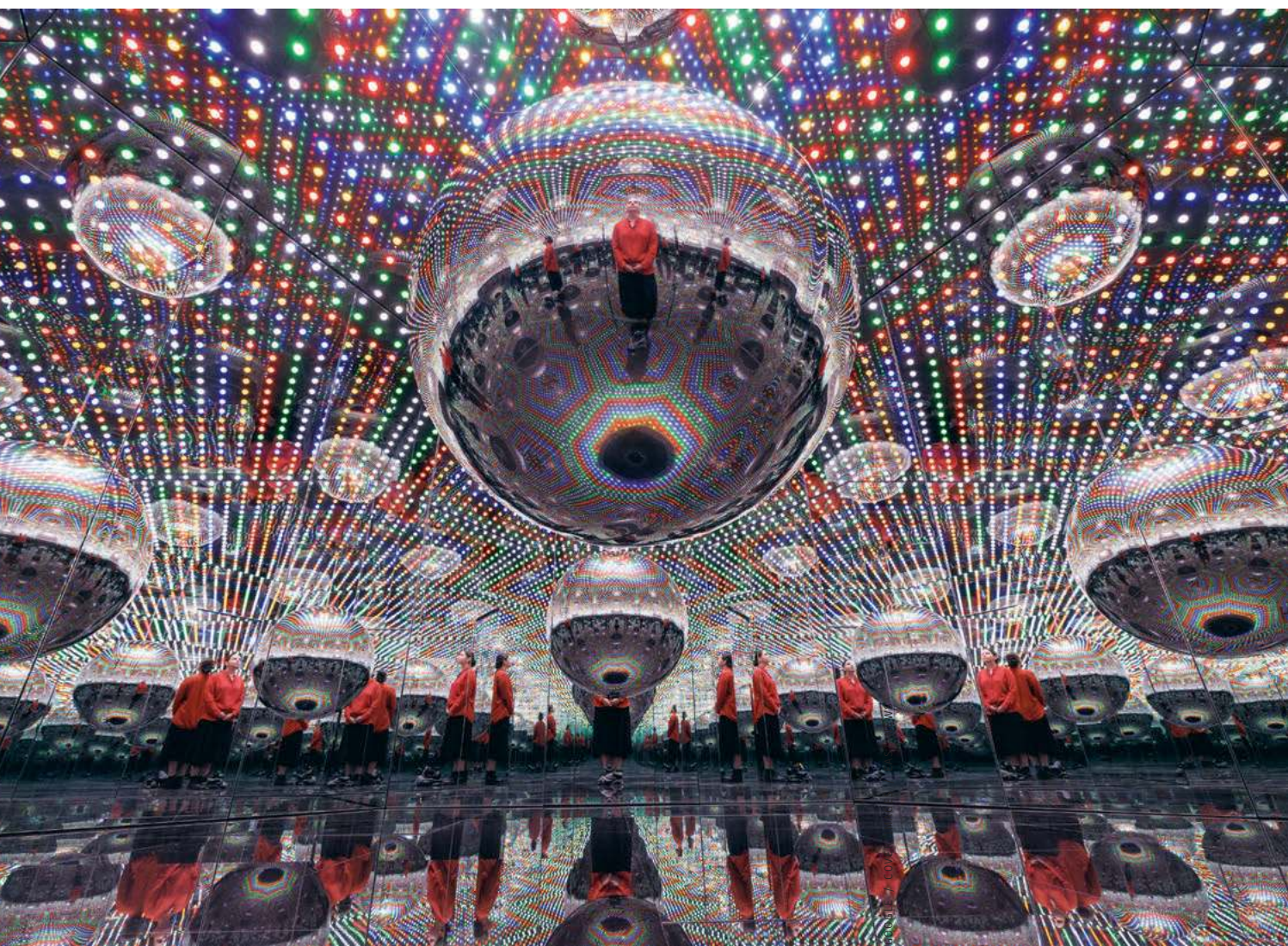
Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem.

Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.
Debiutował na łamach „Tygodnika” w 1994 roku.

NIE WYSTARCZY NAM ZIELONYCH DŁUGOPISÓW

Wszechświat jest podobno nieskończony. Niedobrze.
Zdecydowanie bym wolał, żeby był tylko bardzo, bardzo duży.

ŁUKASZ ŁAMŹA



PACHOLECIEM BĘDĄC, POPADŁEM w obsesję kompletności.

Zaczął się od atlasu, wielkiego, ciężkiego i aksamitnego. Godzinami go wertowałem. Pewnego dnia zacząłem wypisywać zielonym długopisem wszystkie miasta większe niż kółko z kropką, alfabetycznie krajami. Afganistan: Faydabad, Kunduz, Mazar-i-Sarif, Shibarghan, Baghlan... i tak dalej. Chiny prawie mnie wykończyły, ale dojechałem dzielnie aż do Francji: setki nazw maczkiem, jedna pod drugą. Szczęśliwie w latach 90. w Polsce niewiele się mówiło o spektrum.

Potem przerzuciłem się na kraje, których było wówczas podobno 192. Robin Dunbar twierdzi, że w mózgu człowieka wystarczą miejsca tylko dla 150 osób, jeśli chcemy każdą z nich traktować naprawdę osobiście. Byłem więc dość blisko i udało mi się nawet trochę zaprzyjaźnić z tymi wszystkimi dziwnymi państwami.

Zaciekle klasyfikator

Zawsze chciałem mieć przed sobą listę *wszystkiego*, patrzeć na nią i ją gładzić. Bardzo długo nie wiedziałem, po co, nawet wtedy, kiedy w szkole średniej zacząłem gromadzić listę wszystkich gatunków. Powstał gigantyczny plik wypełniony nazwami łacińskimi setek tysięcy gatunków, rodzajów, rodzin, rzędów, gromad, typów i królestw. Naukowo miało to zerową wartość, a ja nic z tych nazw nie rozumiałem, trochę jak ów Conseil z „Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi”, „pocziwy chłopak, zaciekle klasyfikator”, który znał na pamięć wszystkie rodziny ryb brzuchopłetwych, jednak nie był naturalistą i „nie zdołałby odróżnić tuńczyka od bonita”. Nic o tym nie wiedząc, uległem chyba prastarej bliskowschodniej obsesji na punkcie nazw, wierząc naiwnie, że poprzez słowo uda mi się posiąść świat, tej samej obsesji, która kazała Izydorowi z Sewilli żyć nadzieją, że w dziesięciu imionach Boga i ich drobiazgowej analizie etymologicznej kryje się prawda o Nim.

Dopiero dużo później zorientowałem się, że całe życie goniło mnie ku zrozumieniu. Gdybym wypisał na wielkiej kartce wszystkie miasta świata, albo wszystkie nazwiska wszystkich ludzi, i potem

na nią spojrział z daleka, to miałbym przed oczami długą listę znajomych – istot, które choć trochę poznałem, nawet jeśli tylko po imieniu. To enumeratywna wizja zrozumienia: aby zrozumieć *wszystkie* rzeczy, trzeba zrozumieć *każdą* rzecz.

Nie jestem oczywiście sam. Historia zna podobnych szaleńców i ich wyczerpujące listy. Obsesja zrozumienia wszystkiego jest ewidentnie jedną z wielkich ludzkich tęsknot. Problem w tym, że świat jest nieskończony. Niedobrze. To za dużo. Zdecydowanie bym wolał, żeby był tylko bardzo, bardzo duży – bo wtedy wystarczyłaby bardzo duża kartka i dużo zielonych długopisów. A świat jest nieskończony; co gorsza, na więcej niż jeden sposób.

Olimpiady na palcach

Po pierwsze, jest chyba nieograniczony. Kosmology trochę się jeszcze o to spierają, ale wygląda na to, że gdybym zatrzymał teraz czas i wyruszył przed siebie, odhaczając kolejno gwiazdy, to nigdy nie zatrzymam się z zadowoleniem, że odhaczyłem właśnie ostatnią i moja praca jest zakończona.

Obsesja kompletnego zrozumienia jest jednak silna. Jesteśmy zaś istotami bezładnie skończonymi, nie możemy więc spokojnie zmierzyć się z nieskończonością świata, rzucając na stół kartę swej własnej nieskończoności, która, jak mówi matematyka, zniósłaby się elegancko z tą pierwszą. Gdybym miał przed sobą nieskończony ciąg lat, to mógłbym przyporządkować każdy swój rok jednej gwiazdzie, a te dwa równoliczne zbiory cudownie by się pokryły. Choć nigdy bym nie dożył spełnienia, mógłbym przynajmniej żyć w świadomości, że moje życie całkowicie się na Kosmos nakłada, jak dwie scelowane ze sobą płaszczyzny.

Nie ma tak dobrze. Jest gorzej. Jeszcze nie tak dawno śmiałem się z Karwowskiego, który odkrył pewnego dnia, że pozostały mu czas życia da się przeliczyć na letnie olimpiady, i to na palcach. Czas czterdziestolatka zaczyna się robić naprawdę przeliczalny. Gdyby nawet szczęśliwy los dał mi jeszcze pożyć jeszcze raz tyle, to liczba książek, które zdołał w tym czasie przeczytać, i rozmów, które zdąży odbyć, zaczyna się robić namacalna.

Kusi więc, aby program zrozumienia nieskończonego dociąć jakoś sprytnie do własnej skończoności. Może dałoby się oszukać system i zrozumieć wszystko na skróty?

Wszyscy tacy sami

Jednym z wyrazów tego marzenia jest nadzieja algorytmicznej kompresji: a co, gdybyśmy tysiąc konkretów spakowali w jedną abstrakcję, nic po drodze nie tracąc, jak tysiąc plików upchniętych na jednej dyskietce, dzięki sprytnemu upraszczaniu porządków i powtórzeń? Pokrewnym marzeniem jest wiara w klasyfikację i pojęcia ogólne. Nijak mi spojrzeć w oczy każdemu człowiekowi i ucisnąć mu rękę, mogę jednak oczyma umysłu spojrzeć na Człowieka-jako-takiego, jego formę idealną. Ba, przekonywał Platon, uzyskam w ten sposób wiedzę nawet lepszą, bo nieskalaną niegodnymi uwagi Filozofa drobiazgami, takimi jak jego imię, nazwisko... a także osobowość, myśli, pragnienia, wspomnienia, nadzieje... Niedobrze: te wszystkie „drobiazgi” to właśnie to, co czyni nas ludźmi. Nie umiem sobie nawet wyobrazić arogancji kogoś, kto by uznał, że rozumiał Człowieka na tyle dobrze, że żaden mieszkanięc Bhutanu niczym go już nie zaskoczy.

To druga nieskończoność świata – nie na boki, tylko w głąb. Nawet gdyby świat był ograniczony i musiałbym sobie odhaczyć tylko osiem milionów jego gwiazd, to wciąż pozostałby nieskończenie złożony. Tego oczywiście nie potwierdzimy nigdy, możemy co najwyżej cierpliwie odkrywać w nim kolejne warstwy złożoności, jednak nieskończona hierarchia zjawisk po prostu pasuje mi do stylu świata. Wszystko, co dotychczas odkryliśmy, zgadza się z przypuszczeniem, że detale nigdy się nie kończą, a w każdym elektronie kryje się przynajmniej tyle złożoności, treści i zjawisk, co w całej przyzwoitych rozmiarów planecie.

Fizycy próbują nas czasem przekonywać, że wszystkie elektrony są dokładnie takie same – ale nie wiercie im. Usłyszałem o tym pierwszy raz mniej więcej w tym samym wieku, kiedy pierwszy raz powiedziano mi, że wszystkie hanysy są takie same. I jedno, i drugie od razu zapachniało mi ściemą. Przeciętny fizyk poznał zresztą osobiście jeszcze mniej elektronów niż przeciętny sosnowiczanie – górników z KWK „Rydułtowy”. Pozostawiłem więc sprawę otwartą, a później dałem się nawet przekonać, że nie wszystkie zespoły deathmetalowe są takie same. Trzeba po prostu trafić na konesera. ➔

Instalacja Yayoi Kusamy „Infinity Mirrored Room – Beauty Described by a Spherical Heart”, Victoria Miro Gallery, Londyn, 23 września 2024 r.

Grudkowaty jak 919

→ Daniel Tammet przekonał mnie kiedyś, że nie ma dwóch takich samych liczb. Ten matematyczny sawant wykształcił sobie jako dziecko osobistą, intymną relację z liczbami, z którymi spędzał znacznie więcej czasu niż z ludźmi, i od których zaznał zresztą znacznie więcej ciepła. Każda cyfra i każda liczba stanowią dla niego wyjątkową kombinację jakości. „Liczba 5 jest jak dźwięk grzmotu albo, jak kiedyś powiedziałem, jak kłaśnięcie spiętrzonej fali o pionową ścianę skalną”, opowiadał mi w rozmowie, którą opublikowaliśmy w „Tygodniku”. „Liczba 919 jest już sporym obiektem składającym się z części: jest tam część falująca, jakby płynny miód, ale też część grudkowata, a całość powolutku dryfuje ku górze”. Liczby pierwsze poznaje od razu po tym, że są jak otoczaki, a liczba pi, którą Tammet zapamiętał do 22 514 miejsc po przecinku, to dla niego złożony, ultraszczegółowy krajobraz. Gdy w 2004 r. pobijał europejski rekord w dyktowaniu z pamięci pi, po prostu wędrował myślami po tym krajobrazie, szczytując z niego cyfry. Gdyby więc zaprzysiąc się z dowolną liczbą rzeczywistą metodą Tammeta, okazałoby się, że jest ona nieskończenie złożonym, wyjątkowym indywiduum – całym nieskończonym kosmosem.

Matematykowi może się wydawać, że zna wszystkie liczby, ponieważ należą do tej samej dobrze zdefiniowanej klasy, na przykład liczb naturalnych, która wyznacza ich wszystkie cechy. Nie trzeba więc zapoznać się z każdą z osobna, aby zrozumieć liczby jako takie. Ale ja wierzę Tammetowi, że 763 różni się tak samo od 762, jak chińskie miasto Wenzhou od chińskiego miasta Yanzhou. Wierzę też indyjskiemu matematykowi Ramanujanowi, którego odwiedził kiedyś w szpitalu kolega-matematyk G.H. Hardy, mówiąc mu, że numer taksówki, którą jechał – 1729 – był taką niezbyt ciekawą liczbą. Zdziwiony Ramanujan odparł, że jest to przecież najmniejsza liczba, która da się wyrazić na dwa różne sposoby poprzez sumę dwóch liczb sześciennych. No ale to trzeba trafić na konesera. Dodajmy, że biograf Ramanujana, Robert Kanigel, nazwał go „człowiekiem, który poznał nieskończoność”.

Intuicja mówi mi, że interesującymi indywiduami są też elektron Ziutek i elektron Andrzej, tylko po prostu nie spotkałem jeszcze konesera, który by mi wytłumaczył różnicę między nimi.

Nie wiercie fizykom, że wszystkie elektrony są takie same.

Usłyszałem o tym pierwszy raz w tym samym wieku, kiedy też powiedziano mi, że wszystkie hanyisy są takie same.

Ale wierzę, że taka różnica jest, bo taki właśnie jest wszechświat – uparcie nieskończony w swojej nieskończoności. Gdyby Stwórca był minimalistą, napisałby świat jako haiku. To, co dostaliśmy, bardziej przypomina nieskończone wersety Koranu fraktalnie nawinięte na mozaiki Alhambry, wykonane jeszcze do tego, bo czemu nie, z lustrzanych faset odbijających się wzajemnie w sobie w nieskończoność jak diamentowa sieć Indry. Gdzie tknąć, tam nieskończony detal.

Nie – program planowej abstrakcji jako metoda na zrozumienie wszystkiego pachnie mi oszustwem. Każdy, nawet najdrobniejszy akt abstrakcji ogalaca świat z porcji jego konkretności – a my chcemy przecież rozumieć, a nie zamiatać pod dywan. Nietrudno zrozumieć ludzkość, jeśli człowieka zdefiniuję sobie jako przedstawiciela gromady ssaków, albo jako byt materialny obdarzony masą i pędem. Ale jeżeli rzeczywiście masz takie skłonności, to po co się krępować – przeskocz od razu o kilka stopni abstrakcji: przecież wszystko jest „bytem”, jak mawiał Arystoteles! Zrozum tylko byt sam w sobie, a ominie cię męczące zadanie pojmowania płam na Słońcu i sposobu gotowania jaj na miękko.

Oszalała fryzura i rak piersi

Jest też, być może, inna sztuczka. William Blake zamarzył pewnego dnia, aby ujrzeć świat w ziarenku piasku, w godzinie – nieskończoność czasu, a w zagłębieniu dłoni pochwycić nieskończoność. To jednak tylko, wybaczenie, mętna poezja, a nie konkretny plan, którego potrzebujemy. Dużo lepszą poezją jest zresztą proza Borgesa. W „Alefie” Borges opowiada, jak pewnego dnia położył się w ciemnej piwnicy Carlosa Argentino na zwiniętym worku („Poduszka raczej uboga – powiedział – ale gdybym podwyższył ją chociaż

o centymetr, nie zobaczyłbyś nic a nic”), odliczył do dziewiętnastu, wpatrując się w mrok, a następnie ujrzał w jednej chwili i w jednym miejscu „miliony zdarzeń przecudownych i straszliwych”: „Widziałem zatłoczone morze, widziałem świt i zmierzch, widziałem tłumy zaludniające Amerykę, widziałem srebrzystą pajęczynę w środku czarnej piramidy, (...), widziałem w Inverness kobietę, której nigdy nie zapomnę, widziałem oszalałą fryzurę, widziałem wyniosłe ciało, widziałem raka piersi, widziałem kupkę pokruszonej ziemi na trotuarze, gdzie uprzednio rosło drzewo”... i dobrych parę innych rzeczy. Jak łatwo sobie wyobrazić, odczuł „bezmierne uwielbienie, beźmierną litość” – tak podobno jest, gdy się ujrzało wszystko.

Byłaby to dobra sztuczka. Tak, ten cały Borges dobrze to wykoncypował: świat to parada konkretów, a więc Alef to nie jeden prosty symbol, który wszystko cudownie upraszcza, lecz punkt wywrócony na lewą stronę: zero, które naprawdę zawiera w sobie nieskończoność. Borges twierdzi co prawda, że Alef miał postać świetlistej kulki o średnicy dwóch, może trzech centymetrów, ale może zdjął akurat wtedy okulary? Alef powinien przecież, logicznie, być punktem.

Jest to skądinąd kolejna, bodaj jeszcze bardziej perwersyjna droga na skróty do nieskończoności. Nie poprzez jej uproszczenie do czegoś skończonego, lecz mistyczny akt scalenia, *in toto*, za jednym zamachem, z całą światą nieskończonością, przy zupełnie niegrzecznym braku poszanowania dla logiki.

W głąb langwedockiej wioski

Przyznam ze wstydem, że nie udało mi się jeszcze ujrzeć Alefa, i zdarza mi się nawet w chwilach słabości wątpić, czy będzie mi to kiedyś dane. Borges niestety nie podał adresu, pod którym mieszkał Carlos Argentino. Co nam, zwykłym śmiertelnikom, zostało?

Są oczywiście nudne, praktyczne rozwiązania. Kompromisy. Na przykład dowiedzieć się jak najwięcej o wszystkim – skubnąć nieskończoności, szeroko a płytko, posmakowawszy wszystkiego, ale bez nadziei na zaspokojenie. To mój aktualny plan na życie, a za moimi plecami piętrzą się stosy książek o gnostycyzmie, tektonice i pierwotniakach, a także nadziejach, nadzieniach i nadziakach. Niektóre z nich już nawet przejrzałem.

Po głowie chodzi mi jednak ostatnia sztuczka. Zrozumieć jedną rzecz, ale za to do cna. Jeżeli cały wszechświat naprawdę kryje się w każdym ziarenku piasku, to nie muszę poznać nawet dwóch ziarenek, nie mówiąc już o tym, że ominie mnie wkuwanie „Podręcznej encyklopedii nadszatków, czekanów i buzdyganów”. Jeżeli artysta jest naprawdę dobry, to cały jego kunszt, i sens całego Dzieła, odnajdziemy w każdym pociągnięciu pędzla. Możemy zaś zgadywać, że Stwórca jest całkiem niezły, wystarczy spojrzeć. „Tylko Bóg mógł stworzyć drzewo”.

Dobrze, spróbujmy więc dowiedzieć się wszystkiego o niczym. Jest droga akademicka, przez wiedzę. Emmanuel Le Roy Ladurie wydał w 1966 r. „Les paysans de Languedoc” o historii chłopstwa w Langwedocji od XV do XVIII w. Niezadowolony, dziesięć lat później ukończył książkę „Montaillou, village occitan de 1294 à 1324”, w której opisał 30 lat z dziejów langwedockiej wioski Montaillou. Le Roy Ladurie prawdopodobnie nie raz usłyszał żart, że jego następne dzieło powinno nosić tytuł „Jacques, chłop z Montaillou, w marcu 1297 roku”. Książki tej jednak nie napisał, słusznie rozumując, że nie byłby to ani pożyteczny traktat, ani śmieszny dowcip. Nie byłby to też jednak dobry gambit metafizyczny, bo zarysowany wyżej plan zakłada, że dowiadujemy się *wszystkiego* o niczym. Tymczasem nie

tylko o Jacques’u z Montaillou, ale i mojej własnej żonie nie dowiem się przecież naprawdę *wszystkiego*. Chciałbym kiedyś napisać historię naturalną pewnej kałuży, i byłby to być może krok we właściwą stronę, ale kałuży też nie poznam do dna.

Jedynym miejscem metafizycznym, gdzie mógłbym choćby spróbować, jest ów zdążający do zera, przeciekający wiecznie między palcami punkt niepodważalnego istnienia, jakim jestem ja teraz – po prostu dlatego, że jest jedynym *czymś*, do czego mam nieograniczony, bezpośredni dostęp. Tego już nie zrobimy drogą akademicką, ponieważ moja teraźniejsza moją nie została nigdzie opisana, a są poważne wątpliwości, czy podlega w ogóle opisowi.

Sam program został już jednak opisany, są też entuzjastyczne opinie tych, którzy nauczyli się na tyle dobrze skupiać na swoim aktualnym byciu sobą, że nie tylko przestali się na nim skupiać, ale nawet przestali być sobą. Podobno zewnętrzny obserwator może poznać, że doszło do przełomu, po nieznacznym uśmiechu. *Abhidhamma*, czyli klasyczne buddyjskie „kompedium kategorii”, wymienia 89 stanów, w jakich może znaleźć się świadomość, pośród których jest też „świadomość wywołująca uśmiech” (*hasituppādacitta*). Serio. Jest ona jednak dostępna tylko dla buddów. Bhikkhu Bodhi, tłumacz literatury buddyjskiej i niezastąpiony edukator, wyjaśnia, że istota wy-

zwolona reaguje uśmiechem na sytuację, gdy w drzwiach jej umysłu stają fenomeny zmysłowe. Jak uprzejmy gospodarz, chyba.

Jest plan

Podsumujmy może. Jeśli chcesz zrozumieć wszystko i objąć nieskończoność, jest kilka dróg. Raz, spróbuj wypisać wszystko na kartce. Problemy: zużyjesz bardzo dużo zielonych długopisów, no i oczywiście umrzesz przed zakończeniem.

Dwa, spróbuj sprowadzić nieskończoność do skończoności, poprzez kategoryzację, abstrakcję i wszystkie tego typu sztuczki, licząc na to, że nie zostanie po drodze utracona treść. Problemy: świat zostanie po drodze niezawodnie sprowadzony do swojej własnej karykatury. Droga Conseila.

Trzy, spotkaj Alefa – wchłoń w jednej chwili wszystko naraz, konkretnie, do najdrobniejszego detalu. Moja diagnoza: świetnie, to by było idealnie. Pachnie, owszem, wylewem i/lub wielosylabową diagnozą, ale kto powiedział, że będzie łatwo?

Cztery, zstąp do swej własnej nieskończonej studni, licząc na to, że w każdym ziarenku twojej świadomości zawarty jest Kosmos cały, i odkrytą tam nieskończoną przestrzeń w jakiś sposób uda się zatrzymać i uchwycić, a jednak nic przy tym nie zatrzymując i nie chwytając. Wiemy, że postawiliśmy sobie trudny problem, jeśli to brzmi jak dobry plan. © ŁUKASZ ŁAMŻA

REKLAMA

[GDAŃSKIE SPOTKANIA
LITERACKIE]

ODNALEZIONE
W TŁUMACZENIU

EDYCJA MODERNISTYCZNA:

**kobiety
odnalezione
w tłumaczeniu**

**24
26.04.2025** Gdańsk

W programie m.in.: debaty, wykład mistrzowski,
sparing przekładowy

www.odnalezionewtlumaczeniu.pl

Organizatorzy

 **instytut
kultury
miejscowej**

 **Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego**

 **Zarząd Główny
Festiwalu Promocyj Kultury**



**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Twój Tygodnik bliżej, niż myślisz. Dostawa za darmo przez InPost Paczkomat®

**„Tygodnik Powszechny” – czytasz, kiedy chcesz, jak lubisz.
Bez algorytmów, bez ekranów, bez pośpiechu.**

Papierowe wydanie dostarczane co tydzień przez InPost Paczkomat®

– płacisz tylko za tygodnik, przesyłka jest całkowicie **ZA DARMO!**

To rewolucja na rynku prasy – nasza odpowiedź na znikające punkty sprzedaży.

Przy zakupie na **6 miesięcy:**

366 zł zamiast ~~390 zł~~
(z **blisk** rabat **6%**)

Przy zakupie na **12 miesięcy:**

686 zł zamiast ~~780 zł~~
(z **blisk** rabat **12%**)

OFERTA SPECJALNA

Zamawiając TP z odbiorem w InPost Paczkomat®
otrzymasz także:

- całoroczny dostęp do wydania internetowego „Tygodnika Powszechnego” za 1 zł – **oszczędzasz 357 zł**
- dostęp do odcinków specjalnych podcastu „Szkoła uczuć” z profesorem Bogdanem de Barbaro, do kursu medytacji chrześcijańskiej oraz do innych podcastów i newsletterów od autorów i autorek Tygodnika

dowiedz się więcej!



Dodatkowo, jeśli skorzystasz z oferty **DO KOŃCA KWIETNIA**,
otrzymasz wyjątkową książkę ks. Adama Bonieckiego „Vademecum”
z autografem autora.

www.TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**Nie muszą mieć
Twoich genów,
żeby odziedziczyły
po Tobie wszystko,
co najlepsze.**

Przekaż **1,5%**

KRS 0000 056 901

Trudna sytuacja w pieczy zastępczej

Pod koniec 2023 r. aż 75,3 tys. dzieci w Polsce przebywało w pieczy zastępczej, co względem poprzedniego roku daje wzrost o 3,5%. Według danych Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej ponad 1500 dzieci czeka na miejsce w pieczy zastępczej. Są to dzieci, które pomimo decyzji sądu o umieszczeniu w opiece zastępczej nadal muszą przebywać w miejscach, które nie są dla nich bezpieczne.

W 2024 r. do stowarzyszenia napłynęło aż 678 nowych zapytań o miejsce w pieczy, z których 71 dotyczyło dzieci poniżej 3. roku życia.

Mimo dostępnych środków, z powodu braku rodziców zastępczych w 2024 r. stowarzyszenie było w stanie przyjąć jedynie 97 dzieci, które dołączyły do grupy ponad 400 podopiecznych wspieranych przez programy SOS.

**Liczba dzieci
w pieczy
nieprzerwanie
rośnie od
2016 roku.**

**Ponad 1500
dzieci czeka
na miejsce
w pieczy
zastępczej.**

Organizacja jest jednak w stanie zapewnić opiekę o wiele większej liczbie potrzebujących.

Razem możemy zmienić los tych dzieci.

Każda osoba może symbolicznie dołączyć do rodziny SOS Wiosek Dziecięcych wspierając podopiecznych i ich opiekunów.

**Aby przyłączyć się do wspólnej pomocy
przekaż swoje 1,5% procent podatku
na rzecz SOS Wiosek Dziecięcych,
wpisując nr KRS 0000 056 901 w odpow-
iednią rubrykę formularza PIT.**

Więcej informacji nt. kampanii oraz rozliczeń na stronie **www.dziecisos.org**

PUNKT DOBROSTANU

MELA KOTELUK, PIOSENKARKA:

Moje życie jest pełne paradoksów. Przyjeżdżam do Londynu po maturze, cięcie, śpiewam na scenie Royal Albert Hall, a w łoży siedzi Michaił Gorbaczow. Niesamowita przygoda.

MELA KOTELUK: Wiesz, że dziś wypada dzień motyli?

MONIKA OCHĘDOWSKA: Obchodzisz?

Mam taki kalendarz z kartkami zrywkami – to z niego dziś rano się dowiedziałam o motylach. Dzielą one zresztą ten dzień z liczbą pi.

Masz ten kalendarz tutaj, w hotelu?

Bez niego nie podróżuję. Codziennie odrywam kartkę minionego dnia.

Zostawiasz przeszłość za sobą?

Zrywki kojarzą mi się z domem dziadków – oni mieli zawsze u siebie takie kalendarze, więc podtrzymuję rodzinną tradycję, to sentyment. Ale tak, lubię się symbolicznie żegnać, lubię ten gest zrywania, zostawiania za sobą przeszłości, mówienia: ok, to już minęło. To trochę jak odświeżanie aktualnych współrzędnych: byliśmy tutaj, idziemy dalej.

Łatwo Ci to przychodzi?

Wczoraj na koncercie w Katowicach graliśmy z zespołem utwór z nowej płyty, „Odyseję”...

Piosenkę o przemijaniu.

...i dzisiaj rano, przy śniadaniu, rozmawialiśmy trochę o nim. Doszłam do wniosku, że – paradoksalnie – przestroga *emento mori* jest tym, co mnie skłania do życia, tak w pełni. Poczucie ograniczenia

czasu rodzi we mnie jakiś rodzaj determinacji. Uruchamia mnie.

Wiesz, dlaczego?

W rodzinie mieliśmy doświadczenie odchodzenia naszego dziadka i była to dla nas wszystkich zarówno lekcja śmierci, jak i potężna informacja o życiu. Dziadek chorował, pokazując nam, najbliższemu, na czym polega umieranie, że „to” dzieje się naprawdę i że strata jest realna.

Jego odchodzenie było trudnym, wieloetapowym i transformującym procesem. Wstrząsającym, a z drugiej strony uruchamiającym nas wszystkich ku życiu. Jednak żeby tego doświadczyć, trzeba było najpierw przejść uczciwą żałobę, nie oddalać jej od siebie.

I co potem?

Można przenosić pamięć o bliskich na różne sposoby, na przykład opowiadać dzieciom o ich przodkach. Ja jestem bardzo rodzinna – mam rodzeństwo, siostrę, brata, żyłą rodzinę i wszyscy zwracamy uwagę na to, żeby naszym najmłodszym, trzylatkowi i dziesięciolatkowi, jak najczęściej opowiadać o dziadku. Przekazywać wiedzę o tym, kim byli ich pradiadkowie, skąd pochodzimy.

Skąd?

Rodzice mojego dziadka, prababcia Małgorzata i pradiadek Piotr, wywodzili się z Biłki Królewskiej pod Lwowem,

MELA KOTELUK

jest piosenkarką i autorką tekstów. Śpiewała z zespołem Scorpions i kwartetem Kwadrofonik oraz m.in. Gabą Kulką, Czesławem Mozilem, Ralphem Kamińskim i Sanah. Laureatka kilku Fryderyków. Jej albumy „Spadochron” (2012) i „Migracje” (2014) zyskały status podwójnej platyny, a „Migawka” (2018) złotej płyty. Tej wiosny ukazał się jej nowy album „Harmonia”.

DOROTA SZULC / MATERIAŁY PRASOWE

w 1933 roku przenieśli się z dziećmi na Wileńszczyznę, w okolice Olchówki, gdzie kupili 44 hektary ziemi i zbudowali dom. A potem wybuchła wojna. Pod koniec 1945 roku rodzina została przesiedlona w okolice Zielonej Góry, do Sulechowa.

Studiowałaś ich losy?

Gdy zaczęłam się wgryzać w przeszłość, zastanawiałam się nad psychicznymi śladami tego wysiedlenia, konieczności budowania nowego domu na nieznanym terenie. Dla mnie Sulechów zawsze będzie miejscem szczególnym, tam przyszłam na świat. Takie miejsce ma się jedno na całym świecie.

Jako młoda kobieta wyprowadziłaś się stamtąd do Londynu.



Tak, tuż po maturze. Wcześniej chodziłam do ciekawego liceum w Zielonej Górze – była to eksperymentalna szkoła, działająca przy ośrodku doskonalenia nauczycieli. Nie mieliśmy dzwonków, lekcje zaczynały się wcześniej niż w innych szkołach, bardzo dobrze wspominałam ten czas. W połowie liceum przeprowadziłam się do szkoły w Warszawie, by kształcić się muzycznie, a po maturze wyjechałam do Anglii, autokarem.

Do pracy?

Skąd! Planowałam wyjazd dosłownie na kilkanaście dni. Powiedziałam tacie, że wrócę najdalej za trzy tygodnie, w rzeczywistości zrobiły się z tego ponad trzy lata.

Co się stało?

Londyn otworzył przede mną zupełnie nowe perspektywy. Świat stał się jakby bliższy, poczułam wiatr w żaglach. Pracowałam, słuchałam dużo muzyki, chodziłam na koncerty. Oczywiście rozmyślałam o tym, czy zostać tam na zawsze – polubiłam Anglię. No, może z wyjątkiem wyłożonych wykładzinami mikroskopijnych londyńskich mieszkań, w których można się nabawić klaustrofobii.

Zresztą jakiś czas temu odwiedziłam Portsmouth i wciąż myślę, że mogłabym tam od czasu do czasu pomieszkować, łąpać inspiracje, ale na krótko.

Jak się czułaś – w wielkim mieście?

Dobre pytanie, bo sama się często zastanawiam nad tym, jak tamta dziew-

czyna się w tym wszystkim odnalazła. Codzienna droga z pracy do domu oznaczała jazdę metrem, pięć przesiadek, dwa autobusy, pociąg itd. Miałam wielką energię życia, to mnie zdumiewa do dziś. Najwidoczniej młodość jest wysokooktanowym paliwem do działania.

Co Ci zostało z tamtego czasu?

Rozumiem ludzi, którzy potrafią się spakować w jedną walizkę albo zmieścić życie w bagażniku auta i ruszyć przed siebie. To poczucie mobilności jest dla mnie bardzo istotne do teraz. Nie przywiązuję się do miejsca, do ziemi, tylko do ludzi.

Idziesz za ludźmi – to jak to się stało, że poszłaś w świat za Scorpionsami?



Mela Koteluk na gali Fryderyków 2025. Kraków, 5 kwietnia 2025 r.

→ Przypadek. Chórzystka, która na stałe śpiewała w zespole, zaszła w ciążę i poszukiwano kogoś na zastępstwo. Padło na mnie, bo zespół ma swoje polskie ogniwo, pochodzącego z Wieliczki Pawła Mąciwode grającego u Klausa Mainego na basie. Koncertów było tak naprawdę niewiele, natomiast jeden zapamiętam do końca życia: w londyńskiej sali Royal Albert Hall, z okazji 80. urodzin Michaiła Gorbaczowa.

Na imprezie byli Sharon Stone, Catherine Deneuve, Milla Jovovich. Galę transmitowało 40 krajów, a loża kosztowała kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

Oto moje życie, pełne paradoksów i niesamowitych spotkań: przyjeżdżam do Londynu po maturze, cięcie, śpiewam na scenie ze Scorpionsami, a w łóżko okłaskuje nas Michaił Gorbaczow. Niesamowita przygoda.

Ale wybrałaś własną drogę.

Mniej więcej w tym samym czasie kończyłam już swój pierwszy album w Warszawie. Po powrocie z Anglii przez jakiś czas pracowałam w małej firmie fonograficznej, miałam już swój zespół i nagrywaliśmy „Spadochron”. I to też była niezła przygoda, bo piosenki na płytę powstawały w zupełnie szalonych okolicznościach. Był

taki moment, gdy zespół miał swoje obowiązki rodzinne, pojawiały się małe dzieci, więc próby robiliśmy albo o 7 rano, albo przed północą. Udało się chyba tylko dlatego, że wszystkim nam bardzo na tym zależało.

Nagrywasz od kilkunastu lat, wydałaś piątą płytę. Czy są w Twojej twórczości sprawy niezmiennie ważne?

Interesuje mnie człowiek. I wszystko, co wiąże się z jego wewnętrznym przeżyciem.

A co jest najważniejsze w życiu wewnętrznym człowieka?
Odnalezienie punktu dobrostanu.

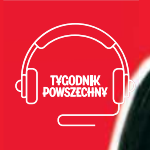
Gdzie jest taki punkt?

U każdego zapewne mieści się gdzieś indziej. Przede wszystkim chodzi o to, by znaleźć w sobie azyl, bezpieczne miejsce, w którym traktujesz siebie samą jak swojego sprzymierzeńca. Miejsce, w którym jesteś dla siebie oparciem i potrafisz zmierzyć się z krytycznymi głosami, które na co dzień produkuje głowa: czy nadal potrafię? czy jeszcze coś osiągnę? czy gdy wyjdę na scenę, dam z siebie sto procent? Znasz to? Takie „dealowanie” z wątpliwościami.

Zatem chodzi o to, żeby podjąć trud odnalezienia w sobie miejsca wolnego od wątpliwości.

Tak, przy czym nie zapominajmy, że kwestionowanie to istotna cecha krytycznego myślenia, analizowania, które pomaga nam w tym, by nie przyjmować wszystkiego na ślepo – to bardzo

TYMOTEUZ NOJ / MAŁE SZARE STUDIO // GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Nowy cykl Podkastu Tygodnika Powszechnego:

CIEKAWÉ, CO CZYTA

Nasi idole i ulubieńcy. Aktorki i aktorzy, muzycy, sportowcy, piosenkarki i piosenkarze. Jakie książki czytają przed snem, co ostatnio ściągnęły na swój czytnik, który tytuł ich zachwycił?

Posłuchaj rozmowy Moniki Ochędowskiej z NATALIĄ GROSIĄK





potrzebne. I nie jest równoznaczne z negowaniem siebie. O tym jest moja nowa płyta: o chaotycznej rzeczywistości, w której próbujemy sami siebie określić. Zrozumieć, kim jesteśmy.

To trudne.

Ważne jest w ogóle podejmowanie trudu i wprowadzanie w swoje życie dyscypliny. Przy czym dyscyplinę rozumiem tu jako troskę wobec siebie. Czasem robisz coś, wobec czego czujesz pewien opór – na przykład moment wyjścia na siłownię – ale wiesz, że służy to twojemu dobru, i pamiętasz, że zwykle czujesz się potem dobrze. Lubię stawiać przed sobą nowe wyzwania, ale – chcę to wyraźnie podkreślić – nie noszą one absolutnie znamion dyscypliny sportowej.

Na przykład?

Na przykład w zeszłym roku byłam na dziesięciodniowym kursie medytacji, podczas którego obowiązywało całkowite milczenie.

Opowiedz.

Wstaje się o 4.30 rano i medytuje wiele, wiele godzin dziennie. W ciszy. Można spacerować w lesie po wyznaczonej ścieżce – także w ciszy. Jesteś w takim ośrodku z setką innych osób – osobno mężczyźni, osobno kobiety. Nie możesz łapać kontaktu wzrokowego ani rozmawiać z kimkolwiek. Masz wyłączony na dziesięć dni telefon. Nie możesz słuchać muzyki, czytać książek ani zapisywać niczego, co przyjdzie ci do głowy, bo zabronione jest nawet posiadanie ołówka. Jest się wyłącznie ze sobą, bez możliwości ucieczki w cokolwiek.

Udało się?

Przez chwilę rzeczywiście myślałam, żeby przemycić sobie chociaż ten ołówek, ale decydując się na taki kurs musisz zaakceptować regulamin. Co nie zmienia faktu, że mi tego ołówka brakowało. Miałam ochotę zapisać swoje myśli.

Czemu tego nie robić?

Chodzi o to, by puścić wszystko, nawet to, co przychodzi ci do głowy. By nie zatrzymywać myśli, pozwolić im odpłynąć. Zresztą to, co projektuje w takich sytuacjach głowa, to nieżyły kosmos, nie tęsknisz nawet za chodzeniem do kina.

Duety Meli Koteluk: The best of



■ **KATARAKTA**,
w duecie z Danieliem
Bloomem, 2015

Tytułowa katarakta
to choroba oczu
prowadząca
do zmętnienia

soczewki – dla dotkniętych nią osób świat staje się coraz mniej wyraźny. W piosence, której towarzyszy świetny teledysk wyreżyserowany przez Klaudiusza Chrostowskiego, ten brak ostrości jest jednak cechą spowitego we mgle świata, nad którym czuwają coraz bardziej senni latarnicy. Wypiętrzają się wody, trzęsie się ziemia, błyska. A może ten koniec świata rozgrywa się jednak tylko w nas?



■ **DRZEWA**,
z zespołem
Kwadrofonik, 2020

„Drzewa to chmur
zgęszczenia, pod
nimi dzwoni ziemia,
nad nimi rwą

wezbrane planety z brązu lane” – napisał Krzysztof Kamil Baczyński, a zaśpiewała Meli Koteluk. Album nagrany do wierszy poety z okazji 76. rocznicy powstania warszawskiego zadebiutował na 2. miejscu ogólnopolskiej listy sprzedaży, rok później dostając wyróżnienie za najlepszy krążek w kategorii „muzyka poetycka”. Śluszenie, jest wybitny, przebojowy i ponadczasowy.



■ **MAJ 1939**,
z Sanah, 2025

Czytany dziś wiersz
Zuzanny Ginczanki
„Maj 1939” brzmi
niezwykle aktualnie
– na świecie „zbyt

wiele rzeczy się dzieje”, a w gazetach „są znaki, że przyjdzie wojna: komety, orędzie, mowy”. Skomponowana przez Arka Koperę i Sanah muzyka świetnie oddaje niepokój wiersza – nie bez powodu piosenka stała się przebojem. Jednocześnie wiele tu symboli bliskich samej Meli Koteluk: są komety, chmury, jest miłość w niespokojnych czasach i próba poszukiwania równowagi oraz radości z wybuchającej wokół wiosny.

Niebywałe doświadczenie. Ten rodzaj odosobnienia był najczystsza formą spotkania ze sobą, jakiej doświadczyłam, i jednocześnie – moją najdalszą podróżą.

Medytujesz na co dzień?

Nie codziennie, niestety. Teoretycznie wystarczy usiąść do medytacji dwa razy na dwadzieścia minut dziennie, rano i wieczorem. Ale, jak mówił nasz nauczyciel, tak naprawdę woda uspokaja się dopiero po godzinie.

Woda się uspokaja i dopiero wtedy coś widać? W Twoich piosenkach jest dużo odniesień do horyzontu.

Wiesz, Lady Gaga w jednym z wywiadów powiedziała, że jest wielu cudownych artystów, którzy mają potężne zasoby i talenty, ale nie mają jasnej perspektywy. A ważne jest, by nadać sobie kierunek.

Czasami wpadasz w jakiś błąd myślowy i nie wiesz, jak z tego wybrnąć – jakbyś jeździła w kółko na rondzie. To też jest jakiś etap dojrzewania. Idąc tropem powiedzenia, że energia podąża za uwagą, to jest tutaj robota do wykonania – obranie kierunku.

I jak to się robi?

Odwołując się do metafor kulinarnych, porównywałabym ten proces do odparowywania sosu. Czas ma znaczenie, coś się musi skrzystalizować, zyskać odpowiednią konsystencję i aromat. To trwa.

Jesteś cierpliwa?

Nie! Jestem totalnie niecierpliwa, dlatego nieustannie uczę się cierpliwości. Czasem nie umiem sobie poradzić z energią, która pojawia się, kiedy na coś za długo czekam. Na przykład teraz mam ochotę wydać od razu kolejną płytę.

Już?

Na przykład za miesiąc.

O czym?

Coś by się znalazło. Moglibyśmy wyjechać z zespołem na sześć dni gdzieś na Warmię, głęboko w las, albo nad jezioro, i zdecydować, że na płycie ukaże się wyłącznie to, co powstało tam na miejscu, od wtorku do niedzieli. Prawda momentu.

I sześć kolejnych kartek z kalendarza.

© Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA



MATERIAŁY PRASOWE MUFO X2

Zofia Rydet, cykl „Świat uczuć i wyobraźni” 1968-1975, z archiwum Fundacji im. Zofii Rydet
 Powyżej: *Macierzyństwo*, po prawej: *Narodziny*

Sztuki niewyrafinowane

OLGA DRENDA

Zofia Rydet jest słynna za sprawą monumentalnego „Zapisu socjologicznego”. W jaki sposób udało się jej wtedy nawiązać tak bliski kontakt z fotografowanymi przez nią ludźmi? Być może odpowiedź znajdziecie właśnie teraz w Krakowie.

ALEŻ TO NAIWNIE BRZMI: „ŚWIAT uczuć i wyobraźni”. I w odwagę skonfrontowania się ze szczególnym rodzajem naiwności warto się uzbroić przed wizytą w krakowskim Muzeum Fotografii. Trwa tam bowiem prezentacja jednego z mniej znanych, niedocenionego cyklu fotokolaży Zofii Rydet, po raz pierwszy zaprezentowanego zgodnie z zamysłem autorki. Mówię z rozmysłem o odwadze, bo w porównaniu z dziełem, z którego Rydet jest doskonale znana, czyli z monumentalnym „Zapisem socjologicznym”, te dokonania artystki wydają się dość nieśmiało i skromne, a do tego obciążone kłopotliwą sławą wprawkę niedorastających do rangi „Zapisu”.

Na swojej drodze do pełnej prezentacji „Świat uczuć i wyobraźni” miał szczegól-

nego pecha. Prace z tego cyklu powstały w epoce Edwarda Gierka, kiedy w polskich sztukach wizualnych, w tym fotografii, trwał czas konceptualizmu i neoawangardy, namysłu nad samym medium obrazu. Liryczne obrazy zawdzięczające wiele surrealizmowi, wyobraźni filmowej, a i trochę fotografii zwanej humanistyczną, w duchu słynnej wystawy „Rodzina człowieka”, nie pasowały do dekady, w której polska sztuka nabierała coraz silniejszego kontestacyjnego rysu.

Po latach, gdy „Zapis socjologiczny” święcił ponowne triumfy już jako kanoniczne dzieło polskiej fotografii, pokazywany na kolejnych wystawach i zdigitalizowany, najważniejsi krytycy fotografii, pełni skądinąd szacunku dla artystki, mocowali się z wyraźnym zakłopotaniem

z wcześniejszym dorobkiem autorki tego onieśmielającego zasobu. Adam Mazur pisał o „wciągającym, ale jednak kiczu”, Wojciech Nowicki – o „albumie pełnym naiwnej literatury w obrazkach”. Fotokolaże zbyt wyraźnie kontrastują bowiem z chropowatością i bezpośredniością surowki życia wiejskiego znanej z „Zapisu”. A może wcale nie?

Arcyludzkie

Przejdźmy się zatem po wystawie. Zrealizowany tu zamysł autorki był taki, żeby prace stanowiły diaporamę. Czyli analogowy spektakl multimedialny, w którym prezentacji zdjęć według określonego scenariusza towarzyszy muzyka lub słowo mówione. Mniej więcej sto fotografii podzielono na piętnaście sekcji o tytułach, z których powagą trudno dyskutować – „Macierzyństwo”, „Oczekiwanie”, „Odejsia”, „Zagrożenie”... Na zdjęciach: ekspresja ludzka momentami jak z kadrów neo-realistycznego kina, chwilami – sceny jak z próby teatralnej inscenizacji spektaklu *science fiction*, ale przy użyciu akcesoriów rodem z epoki filmu niemego.

Zamyślane kobiety, z których wszystkie noszą tę samą głowę smutnej kamiennej dziewczynki z nagrobkowego pomnika. Niemowlę na kwiatowej łące, czaszka w trawie. Marsz manekinów po nieistniejącej planecie. Kontury sennych ciał układających się jak kształty wydm. Jednookie główki wyrastające z ziemi. Staruszka zasłaniająca dłońmi oczy, tak sędziwa, że wygląda, jakby wciągała ją już wieczność.

Jest w tych pracach solenna powaga, przypominająca, że oto mamy do czynienia z opowieścią o sprawach arcyłudzkich. Przemawia prostymi i jednoznacznymi zestawieniami: przypomina, że w momencie narodzin już czyha na nas śmierć, że rośniemy jak drzewa, że nawet piękni i zdrowi bywamy podatni na strach i osamotnienie. A jednocześnie jest w nich nieporadność i dosłowność charakterystyczna dla polskiego powojennego surrealizmu, i to ona jest w „Świecie uczuć i wyobraźni” najciekawsza.

Niemal brak tu dystansu czy przymrużenia oka, z jednym wyjątkiem. Cykl fotomontaży „Sentymentalna ballada” podpowiada, że autorka działa ze świadomością kodów, jakimi się posługuje. Bohaterami tego cyklu jest fikcyjna para – ona ma głowę powracającej w tym cy-



klu smutnej dziewczynki z nagrobka, on – groteskowej figury z papier mâché, może pochodzącej z wesołego miasteczka. Ich krótka historia przywodzi na myśl wczesne wiersze Mirona Białoszewskiego, te, w których lubił ożywiać sceny makatkowe, odpustowe. To podobna poetyka, która sąsiaduje u Rydet z „pakietem dylematów dwudziestowiecznych”.

Sennik polski

„Fotomontaż daje wielką możliwość prze-
transponowania najgłębszych własnych
myśli, uczuć i przeżyć na powstanie zupeł-
nie innego obrazu, pozornie nierealnego,
ale składającego się przecież z elementów
rzeczywistych” – wyjaśniała Zofia Rydet
swoje zainteresowanie tą formą ekspresji.

Wewnętrzny krajobraz duszy Rydet,
który widzimy w „Świecie uczuć i wy-
obraźni”, nie jest odległy od sentymentu

epoki. Surrealizm dzierży do niej oso-
bliwy klucz, i nad jego polską, na dobre
i na złe prowincjonalną odmianą, którą
reprezentują też te fotokolaże, na pewno
warto szerzej się zastanowić. To nurt,
który zachęca do czerpania z nieświad-
omych wizji, skojarzeń, snów – nasz
almanach snów został jednak przecież
uprzednio zapisany tym, co poznaliśmy
na jawie. W senniku polskim znajdzie się
więc drzewo, aniołek cmentarny, spra-
cowana dłoń i maki wśród łąnów zbóż.
Znakomita teoretyczka fotografii Urszula
Czartoryska w eseju towarzyszącym al-
bumowemu wydaniu „Świata uczuć
i wyobraźni” zauważała pokrewieństwo
prac Rydet z dziełami fotomontażystów
czeskich, Karela Teigeo i Jindřicha Štyr-
ský’ego, ale jednocześnie dostrzegała
w nich wrażliwość o tonie Schulzow-
skim. Mogą przywodzić na myśl publi-

kacje polskiego promotora surrealizmu
i sztuki outsiderów, Andrzeja Banacha.
Wreszcie zamyślona główka powracają-
cej bohaterki fotografii, a także upodoba-
nie do motywu oczu, ma w sobie coś po-
krewnego naiwnemu i łagodnemu surre-
alizmowi Kazimierza Mikulskiego.

Oko matki

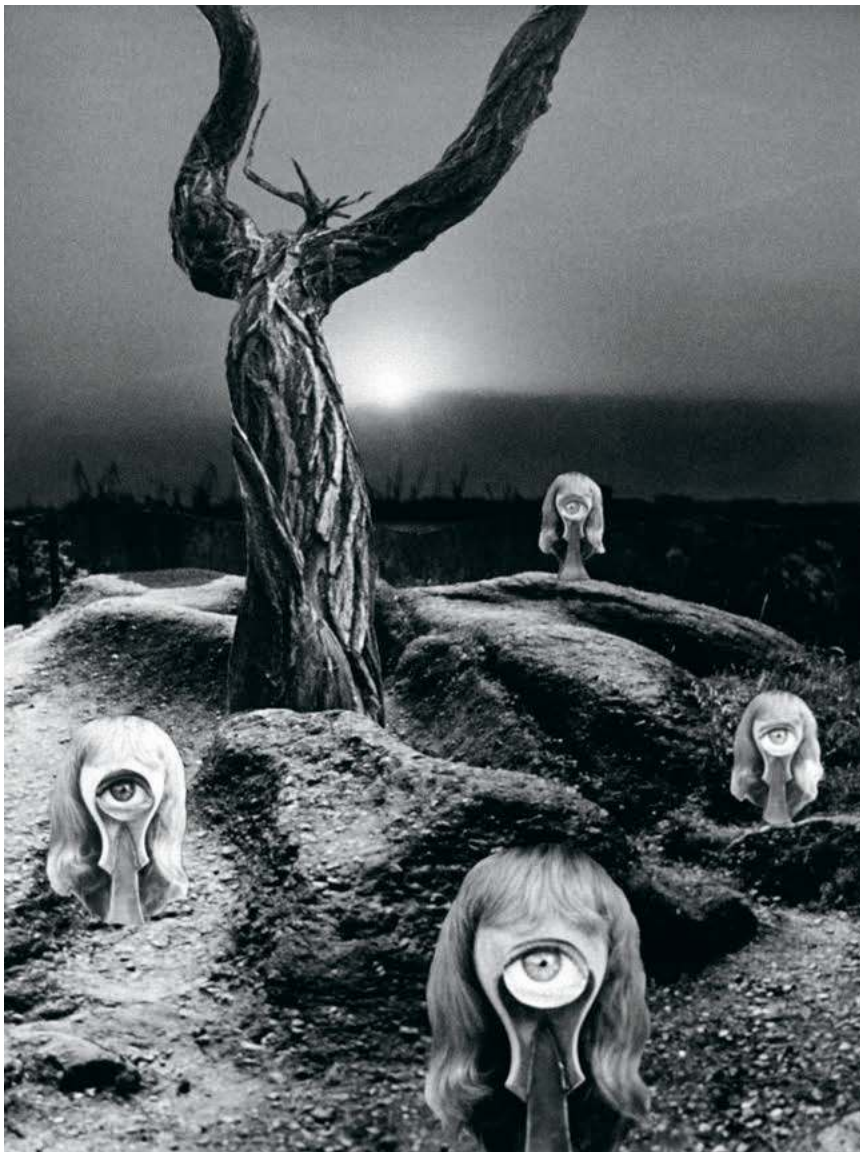
Powrót po latach do „Świata uczuć i wy-
obraźni” zachęca wielu krytyków do pod-
jęcia prób odczytania tego cyklu poprzez
rekonstrukcję biografii autorki, która
skądinąd nie spieszyła się do opowiada-
nia o sobie. Jej droga do Gliwic, gdzie za-
mieszkała po wojnie, prowadziła z daw-
nego Stanisławowa, dzisiaj Iwano-Fran-
kiwska, przez Rabkę i Bytom. Fotografią
zajęła się w wieku dorosłym, ucząc się sa-
modzielnie. Takie koleje losu podpowia-
dają naturalnie dramatyczne wydarze-
nia czasów wojny i każą pytać, jak wiele
z osobistych doświadczeń znalazło się
w fotomontażach z lat 70.

Czy to właściwa droga? Trudno powie-
dzieć; jeśli tak, to w równym stopniu mó-
wią one przecież wspólnym doświadcze-
niem wojennego pokolenia i znajomą mu
poetyką. Z pewnością osobisty jest zasób,
z którego czerpała, tworząc swoje foto-
kolaże. Poszczególne obrazy stanowią re-
miks jej własnych prac, stąd powracające
motywy. Jeden z nich jest osobisty w spo-
sób szczególny. Oko, które przygląda się
widzowi – ukryte w oknach czy jako za-
gadkowe główki albo peryskopy wyrasta-
jące z ziemi – to oko matki artystki.

Przypomnijmy – Zofia Rydet działała
w gronie fotografów wpływowego Gli-
wickiego Towarzystwa Fotograficznego,
z którymi łączyła ją też osobista przyjaźń.
Była to znakomita ekipa. Prowokacyjny
Zdzisław Beksiński, żartobliwy Jerzy
Lewczyński – w tym doborowym towa-
rzystwie zapalonych eksperymentatorów
Rydet przypadła z początku rola może
najtrudniejsza do obronienia, fotografii
lirycznej. Taki styl często się podoba i cie-
szy popularnością, ale nie sprzyja akcep-
tacji krytyków, którzy mają w zwyczaju
nie ufać temu, co konwencjonalnie ładne
czy uczuciowe. Od tego bagażu uwolniła
ją dopiero nieznosząca sprzeciwu rzeczo-
wość „Zapisu socjologicznego”.

Sztuka powiatowa

Do liryzmu czy ryzykownie prostej meta-
foryki warto jednak wrócić na poważnie. ➔



MATERIAŁY PRASOWE MUFO

→ Ona mówi nam coś ważnego o powojennym momencie w polskiej sztuce. Niektórym artystom udało się wtedy wyczuć moment zmiany, nieodwołalnego przejścia w nowoczesność, i uchwycić nietrwały stan hybrydowy. Władysław Hasior, bez przesady mówiąc – w latach 60. i 70. prawdziwy supergwiazdor sztuki, cieszący się sławą wykraczającą daleko poza świat regularnych bywalców wystaw, zwracał uwagę na zjawisko, które nazywał „sztuką powiatową”. Brało się ono z pogranicza ludowej tradycji i galopującej nowoczesności, której elementy polska wieś i małe miasto z chęcią sobie przyswajały. Jej elementy – ozdobne ogrodzenia, dekoracje ogrodowe, amatorskie pomniki – Hasior fotografował na bieżąco.

Jerzy Lewczyński wspominał, że podobnie jak Hasior, Rydet prezentowała swoje fotokolaże w formie slajdowisk,

które podobno cieszyły się niemałym powodzeniem. Oboje też pożyczali sobie śmiało motywy ze sztuki nazywanej wówczas „jarmarczną” (dzisiaj krytyk sztuki użyłby raczej słowa „wernakularny”), jak gipsowe figurki psów czy lampartów, wówczas popularne i niedrogie elementy dekoracyjne.

W tej czujności wyprzedzali nawet ówczesną etnologię, która z tą twórczością miała wtedy nadal delikatny problem. Była to jednak realna sztuka ludowa, czyli taka, którą w domach chcieli mieć ludzie na wsi. Widać to na niektórych kadrach z „Zapisu socjologicznego”, z ich mnogością jeleni na rykowisku i sztucznych kwiatów.

Barbara Jones, angielska rysownicza dzieląca z Zofią Rydet charakterystyczną wrażliwość na sposoby życia, których nadchodził właśnie ewidentny koniec,

Fantomy, z cyklu „Świat uczuć i wyobraźni”, 1968-1975, z archiwum Fundacji im. Zofii Rydet

wydała na początku lat 60. XX wieku książkę o „sztukach niewyrafinowanych” („Unsophisticated arts”). Rozumiała je jako „rzeczy tworzone przez ludzi tak, jak im się to podoba, albo powstające dla nich zgodnie z ich upodobaniami”.

W czasach Jones tymi ostańcami potocznego gustu były pozostałości świata wiktoriańskiego z jego sentymentalnością, rubasznnością i dojmującą biedą: teatryki kukiełkowe, frywolne pocztówki znad morza, obskurne puby i wesołe miasteczka. W „Świecie uczuć i wyobraźni” udało się uchwycić w momencie odchodzenia podobny kanon. Zamyślona twarz wiekowej kobiety, zakochana para, stada ptaków, dłonie i kłęby chmur – to przecież „amatorskie imaginarium” prowadzące do działów z wierszami czytelników w popularnej prasie.

Wspólny język

Być może to właśnie ten rodzaj „naiwnej poetyckiej” wrażliwości pozwolił później Zofii Rydet nawiązać później tak dobry kontakt z ludźmi, którzy znaleźli się w „Zapisie socjologicznym”. Z relacji wiemy, że artystka w fotografowaniu bywała zachłanna, wręcz apodyktyczna, chciała zarejestrować wszystko i bez dyskusji – ale nie wykluczało to jednocześnie realnego zaciekawienia fotografowanym, umiejętności stworzenia serdecznej więzi i zbudowania zaufania.

Choć Rydet pochodziła z innego świata, musiała nadawać ze swoimi bohaterami na podobnej fali. W ludowej nowoczesności było jednak miejsce i na kolaż – to produkowane przez drobne zakłady rzemieślnicze reprodukcje obrazów Matki Boskiej, w których wycięty z reprodukcji portret podklejano pod wykonaną z tworzywa suknę. Po pewnym czasie, gdy klej przestawał działać, twarze i dłonie przemieszczały się, tworząc mimowolnie surrealistyczne kompozycje. Trochę podobne do tych ze „Świata uczuć i wyobraźni”.

© OLGA DRENDA

Zofia Rydet **ŚWIAT UCZUĆ I WYOBRAŹNI**, MuFo Muzeum Fotografii w Krakowie, kurator Karol Hordziej, wystawa czynna do 4 maja.



MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROS

Kadr z filmu „The Last of Us”, sezon 2.

Grzyb taki jak my

MICHAŁ WALKIEWICZ

Sednem serialu „The Last of Us” jest pytanie o to, jak daleko mielibyśmy do „Biedronki”, gdyby nagle zawałił się cały świat? Wędrowka polega tu bowiem na powolnym odgruzowywaniu miasta, zbieraniu zapasów i budowaniu z resztek prowizorycznej drogi naprzód.

PASOŻYTNICZY GRZYB, *CORDYCEPS MILITARIS*, zwany „berłem owadów”, to niezły przyjemniaczek. Przedstawiciel rodziny maczuzników poluje głównie na mrówki i pająki. Przez naskórek dostaje się do ich układu krwionośnego, a następnie infekuje mózg i doprowadza do śmierci owada. Gdy z chitynowego

pancerzyka wystają już tubki przypominające królewską koronę, prowadzi żywego trupa w wyższe partie liści i rozsiewa jeszcze więcej zarodników. Wszystko po to, by zwiększać powierzchnię plechy, lub – jak powiedzieliby twórcy słynnej gry „The Last of Us” – budować społeczną strukturę.

Naukowcy uspokajają: maczuzniki nic nam nie robią. Teoretycznie mogłyby uwziąć się na ludzi, lecz ewolucja strasznie je rozleniwiała. Skończyły w tabletkach i kapsułkach. Można wyhodować je na brązowym ryżu, a potem ugotować z nich rosół. Do zagłady ludzkości raczej nie doprowadzą, co czyni fabularny punkt wyjścia „The Last of Us” czystą fantazją. Wszystko inne, co dzieje się w grze, jest jednak prawdą. Ściślej: prawdą psychologiczną oraz prawdopodobnym obrazem relacji międzyludzkich w obliczu upadku cywilizacji.

Grzyb z „Planety Ziemia”

Nie znam dojrzszej opowieści o końcu świata niż „The Last of Us”. Pierwsza scena gry to rozmowa ojca z córką. Zrealizowana w statycznym ujęciu, z dialogami w prozatorskim rytmie oraz ostentacyjną hopperowską „zwyyczajnością”, przyprowadzoną zwiastunami tragedii. Po chwili scena płynnie przechodzi w rozgrywkę. W papciach dziewczynki zwiedzamy

dom na przedmieściach Austin w Teksasie, obracamy w dłoniach zwyczajne przedmioty: kartkę urodzinową, gazetę relacjonującą harówkę w lokalnym szpitalu, telefon z tuzinem nieodebranych połączeń.

Jeśli twórcy gry szukają podpórki w kinie, literaturze, bądź sztukach plastycznych, to wyłącznie po to, by ulepić z nich autonomiczny język. Trudno wyjaśnić ten rodzaj strategii artystycznej komuś, kto nie gra w gry wideo. Na szczęście, za sprawą serialowej adaptacji „The Last of Us”, wszyscy uczestniczymy w triumfie popkulturowej ironii. Przez ostatnie dekady zastanawialiśmy się, czy gry rozpedziły się już na tyle, by złapać kino za kostkę. Dziś drżymy o to, czy wysokobudżetowa produkcja platformy Max odda sprawiedliwość grze wideo.

Uwaga, spoiler: nie odda. Po dwóch sezonach niezłego serialu jest to niemal pewne. Filmowcy spóźnili się na imprezę. Gra powstała w jednym z kluczowych momentów ewolucji cyfrowego medium. W 2013 r. wstrzeliła się pomiędzy zamaszystą satyrę na Amerykę, jaką było „GTA V”, a wielki traktat o matematycznym splocie przypadku i przeznaczenia, którym okazał się „Bioshock Infinite”. Była jednocześnie łabędzim śpiewem konsoli PlayStation 3 oraz wizytówką narracyjnego potencjału całego medium. ➔

→ Reżyser rozgrywki Bruce Straley (amerykański artysta wizualny) oraz dyrektor kreatywny i scenarzysta Neil Druckmann z kalifornijskiego studia Naughty Dog, ulepili opowieść z prefabrykatów klasycznych postapokaliptycznych narracji oraz skrawków świata za oknem.

Katalog inspiracji był pokaźny – od reporterskich relacji z terenów, przez które przetoczył się huragan Katrina, po twórczość Alexa Garlanda, „Noc żywych trupów” George’a A. Romero oraz poświęcone maczuznikom odcinki serialu dokumentalnego „Planeta Ziemia”. Na papierze jeden z najsugestywniejszych światów w historii gier wideo – objęty we władanie przez dziką przyrodę i zasilany ludzkim pędem ku autodestrukcji – to gatunkowy banał. Jakim cudem na ekranie jest czymś więcej niż sumą swoich składowych?

Jak skończył się świat

Akcja „The Last of Us” rozgrywa się po epidemii cordycepsu, która z dnia na dzień zdziesiątkowała ludzkość. Zmierzch cywilizacji obserwujemy oczami Joela Millera, najzwyklejszego ze zwykłych Teksańczyków: stolarza, brata, byłego męża i samotnego ojca. Już w prologu córka umiera w jego ramionach, zaś po ekspresowym skoku w daleką przyszłość scenarzyści wskazują zgnękanemu Joelowi światelko w tunelu. Misja przeszmuglowania przez kraj odpornej na działanie grzyba, czternastoletniej Ellie stanie się dla zgorzkniałego bohatera szansą na ponowne wzniecenie rodzicielskiej miłości. Dziewczynie z kolei pozwoli odnaleźć emocjonalny punkt oparcia w niestabilnym świecie.

Na pierwszy rzut oka „The Last of Us” jest scenariopisarskim gotowcem. Wyreżyserowane z biglem sekwencje filmowe oraz precyzyjnie rozpisane konflikty sugerują, że twórcy gry opowiadają językiem kina. Nic bardziej mylnego. Aby adaptacja się udała, filmowcy powinni pokochać ciszę i zrozumieć narracyjną moc upływającego czasu. Czas symbolizowany jest na ekranie poprzez znój najprostszych, powtarzalnych czynności. Cisza z kolei wypełnia znaczną część rozgrywki.

Sednem „The Last of Us” jest filozoficzne pytanie: jak daleko mielibyśmy do „Biedronki”, gdyby nagle zawałił się cały świat? Wędrówka polega bowiem w du-

Jeśli nie „The Last of Us”, to co?



■ **DAYS GONE (2019)**, SCE Bend Studio

żywe trupy, motory i szorstka męska miłość. „Days Gone” to kolejne obok „Top Gun” dzieło, które nadaje się na homoerotyczną analizę autorstwa Quentina Tarantino. To również kawał doskonałej gry wideo o owdowiałym harleyowcu z Oregonu, który próbuje przetrwać w świecie opanowanym przez zombie. Gwarantuję – tyłu nieumarłych na ekranie jeszcze nie widzieliście.



■ **FALLOUT (1997-2018)**, Interplay/Black Isle/Bethesda

„Wojna nigdy się nie zmienia” – mawiał mędrzec. Mawiał to zresztą w kilkunastu odstonach kultowej serii „Fallout”. Alternatywna wersja historii, w której Stany Zjednoczone zostały uwięzione w wiecznych latach 50., to żywa historia gier wideo. Horror, dramat, komedia, satyra, radioaktywne szczury, faceci w blaszanych puszkach. Cokolwiek wymyślicie, znajdziecie to w „Falloucie”.



■ **DEATH STRANDING (2019)**, Kojima Productions

Przed pandemią produkcja wizjonera Hideo Kojimy była doskonałą, kontemplacyjną opowieścią o kurierach przyszłości. Doświadczenie izolacji zamieniło ją jednak w arcydzieło. Na ekranie gwiazdy – Norman Reedus, Mads Mikkelsen i Léa Seydoux, a nawet reżyserki duet marzeń – Nicolas Winding Refn i Guillermo del Toro.



■ **S.T.A.L.K.E.R. 2 (2024)**, GSC Game World

Tytuł nie kłamie. Ukraiński „S.T.A.L.K.E.R.” to trochę bracia Strugaccy, a trochę Andriej Tarkowski. Z tą różnicą, że u Tarkowskiego głowy popromiennych mutantów nie pękały jak arbuzy. Zainteresowanym polecam uzbroić się w cierpliwość – to trudna, mozolna i niebezpieczna przeprawa przez fikcyjny Czarnobyl.

żej mierze na powolnym odgruzowywaniu miasta, zbieraniu zapasów, budowaniu z drabin, desek i szafek prowizorycznej drogi naprzód. Sprawia to, że wszelkie subtelne emocje oraz stany eksplikowane są albo językiem ciała w absolutnej ciszy, albo w rozmowach na przegnanie nudy. Kino lat 80., Bóg, pojęcie odruchu bezwarunkowego, noże sprężynowe, supermodelki, Garri Kasparow, Tora... Gdy bohaterowie nie milczą, rozmawiają o wszystkim i o niczym. W kinie to tłuszcz, który trzeba wyciąć. W scenariuszu gry wideo to dwudaniowy obiad z deserem.

Aby przenieść ten rodzaj narracyjnej dynamiki na ekran, Druckmann oraz producent „Czarnobyła” Craig Mazin zatrudnili reżyserów artystycznej wagi ciężkiej – m.in. Jasmilę Žbanić („Aida”) i Alego Abbasiego („Wybraniec”). Nie wystarczyło. Pierwszy sezon to kawałek porządnej telewizji, ale niezbyt dobra adaptacja gry. Skupiony jest bowiem wyłącznie na punktach węzłowych fabuły i momentach horrorowej liryki, nie zaś na prozie postapokaliptycznej codzienności.

Najlepszy wydaje się wtedy, gdy zrywa z wyrytymi na wirtualnych tablicach przykazaniami. Na przykład w odcinku o dwóch zakochanych facetach, którzy budują na przedmieściach Lincoln w Massachusetts swój prywatny raj. Tylko tam jest miejsce na ciszę.

Krok do przodu, dwa kroki wstecz

Wydane w 2020 r. „The Last of Us Part II” zepchnęło fanów na wrogie szanie. Nie mogąc się zdecydować, czy gra przesuwą granice medium czy może „tęczowej agendy”, ultrasi tłukli na oślep. Lecz nawet ci, którzy docenili potężny tonalny zwrot w historii, pozostawali sceptyczni. Oto bowiem opowieść o nadziei zamieniła się w kronikę egoizmu tak ekstremalnego, że rozsadzającego zbudowany na gruzach dawnego świata społeczny porządek.

Równoważne bohaterki drugiej gry i drugiego sezonu serialu – 19-letnia Ellie oraz członkini zamordystycznej militarnej bojówki Abby – stoją na kursie kolizyjnym za sprawą dramatycznej decyzji podjętej przez Joela w finale pierwszej opowieści. Nie zdradzając zbyt dużo, powiem, że jest to punkt wyjścia do opowieści o zemście jako zaklętym kręgu bez wyjścia. Twórcy usadzają gracza w niewygodnej pozycji. Zmuszają nas do popeł-

niania okropnych czynów, a następnie karcąco oceniają: zobacz, jak niewiele potrzeba, by wyszło z ciebie zwierzę. I bez tego wiemy, że natura zawsze znajdzie drogę. Żyrafy zajmą ludzkie siedziby, a człowiek zwróci się ku uniwersalnemu językowi przemocy. W „The Last of Us” mówią nim niemal wszyscy.

„The Last of Us Part II” jest w moim przekonaniu grą równie udaną, nawet pomimo gorliwości, z jaką Druckmann depcze optymistyczną filozofię oryginału. Niestety, nie można powiedzieć tego samego o opartym na jej motywach serialu. Za sprawą kolejnej fabularnej kompresji i w obronie przed szturmującymi internet krzykaczami twórcy uczynili serial jeszcze bardziej deklaracyjnym. W świetnej recenzji z serwisu Kotaku Kenneth Shepard pisze, że boją się nie tylko ciszy, ale i widzów. Stąd liczne świadectwa niewiary w naszą inteligencję oraz wrażliwość. Niemal każda scena jest napisana i wyreżyserowana w trybie „kawa na ławę”, tak, jakby bohaterowie byli świadomi, że na nich patrzymy.

Pierwszy sezon stał pod znakiem – umiarkowanego, ale jednak – ryzyka. Druckmann i spółka próbowali zerwać się z paska fanów, przehandlować kluczowe elementy gry za równie interesujące filmowe zamienniki. W drugiej odsłonie zmiany są raczej bezinwazyjne, jakby ktoś u sterów uznał, że nie ma co bełtać w wiaderku z wciąż gorącymi emocjami.

Jasne, sceny akcji zainscenizowano z polotem, Bella Ramsey i Pedro Pascal w rolach Joela i Ellie radzą sobie fantastycznie, zaś metafora grzybni jako perfekcyjnej struktury społecznej pracuje na pełnych obrotach. Trudno jednak wyprowadzić z tego rodzaju asekuracyjnej postawy coś transgresywnego.

Cud w grze wideo

„The Last of Us” to podróż z cyklu tych ostatecznych, obejmujących całą Amerykę oraz szeroki zakres metaforycznych figur – tragiczne losy bohaterów drugoplanowych, niczym w oświeceniowej powiastce, pozostają lustrem dla centralnej relacji Joela i Ellie. U jej kresu znaj-

dziemy interesujące refleksje na temat zemsty i przebaczenia, wspólnoty i jednostki oraz, przepraszam za wyrażenie, natury i kultury.

Wszystko to tematy większe niż gry wideo. Wpisanie ich w interaktywne konwencje horroru, dramatu inicjacyjnego czy opowieści postapo ma jednak zasadniczą zaletę: „The Last of Us” pozostaje dziełem lekkostrawnym. Twórcy szukają ekwiwalentu dla fabularnego motywu rozmaitych atawizmów w impulsach i reakcjach gracza. Pozwalają pracować naszej wyobraźni w oswojonym miejscu, gdzie liczą się zarówno silne emocje (strach, miłość, melancholia, żal, przywiązanie), jak i wychwytywane kątem oka subtelności.

To właśnie dlatego gra sprawia frajdę nawet wtedy, gdy mówi o wyciąganiu się za uszy z bagna psychicznej traumy oraz o egoizmie, który zamienia każdą społeczną utopię w farsę. W grach ten paradoks zdarza się od wielkiego dzwonu. Kino musi poradzić sobie bez niego.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

REKLAMA

TO WA RZY STWO
WIE NIAW SKIE GO

15. Międzynarodowy
Konkurs Lutniczy
im. Henryka Wieniawskiego
Poznań, 9-16.05.2025

ORGANIZATOR

WSPÓŁFINANSOWANIE

WSPÓŁORGANIZATORZY

PARTNERZY

TO WA RZY STWO
WIE NIAW SKIE GO

POZnań*



ZWIĄZEK
POLSKICH
ARTYSTÓW
LUTNIKÓW



Muzeum Narodowe
w Poznaniu

B A Z A R
P O Z N A Ń
M O T E I L L U M I N A R I U M

Bösendorfer



Jerzy Grzegorzewski w Teatrze Narodowym. Warszawa, listopad 2000 r.

Kroniki przepowiedzianej śmierci

DARIUSZ KOSIŃSKI

Dwadzieścia lat po śmierci Jerzy Grzegorzewski jest wielkim mitem polskiego teatru. I jak to prawdziwy mit, ujawnia niepokojące i skryte w naszej kulturze napięcia.

ZMARE 9 KWIETNIA 2005 R., DZIEŃ PO pogrzebie Jana Pawła II. W wydanej dwa lata temu biografii artysty Maryla Zielińska cytuje wspomnienie aktorki, Karoliny Dryzner, która spotkała go trzy dni przed śmiercią na placu Piłsudskiego pełnym ludzi przeżywających odchodzenie papieża. Jerzy Grzegorzewski miał jej powiedzieć niby żartem: „Zobacz, jaki mi zrobił numer, uprzedził mnie. Ukradł mi moment, tego widowiska nie przebiję. Jak teraz umrę, nawet nikt tego nie zauważy”.

Wprawdzie do świadomości publicznej wiadomość o śmierci artysty się nie przebiła, ale dla tych, dla których był jedną z najważniejszych postaci polskiej kultury przełomu tysiącleci, stanowiła cios bolesny, nawet jeśli spodziewany. Pamiętam dobrze moment, gdy siedząc na widowni Teatru Polskiego we Wrocławiu dostałem esemesa z wiadomością, że Grzegorzewski zmarł. Dojmujące poczucie, że coś się nieodwołalnie skończyło, albo raczej – że coś ważnego właśnie straciliśmy, bo pozwolił nam temu czemuś się zatracić.

Kronika zapowiedzianej śmierci została doczytana do końca i właśnie ją zamykamy z poczuciem niejasnej winy, zagłuszanej powtarzaniem, że tak być musiało i nic się nie dało poradzić. Męcząco dwuznaczne uczucie, które dwie dekady po tamtym kwietniu wcale nie wydaje się mniejsze, przynajmniej wśród tych osób, dla których Grzegorzewski nadal stanowi jakiś punkt odniesienia.

Prospero

W połowie lat 80. nasz rok ówczesnej specjalności teatrologicznej na krakowskiej polonistyce regularnie jeździł do Warszawy w jednym zasadniczo celu – do Centrum Sztuki „Studio”, na kolejne przedstawienia Jerzego Grzegorzewskiego, który od roku 1982 był dyrektorem artystycznym tej dziwnej placówki, stworzonej dla Józefa Szajny.

Z Dworca Centralnego do skrzydła Pałacu Kultury i Nauki niedaleko, a że często bywaliśmy tylko na przedstawieniach, więc Warszawy właściwie nie widzieliśmy. Trzeba było jednak przejść pod PeKi-Nem i dobrze pamiętać, jak spoglądając w górę na ten stalinowski monument nucałem w duchu zakazaną wtedy piosenkę

„Dezertera” o kamiennym pomniku przyniatającym środek Europy pięścią komunizmu. Ale Pałacu bym nie wysadził, bo przecież w nim właśnie otwierał się świat całkowicie odmienny od tepej, nudnej i jałowo depresyjnej rzeczywistości zbyt długiego końca PRL, a zarazem tak silnie z nią związany, że dawał nam bezcenną szansę odnalezienia w niej swojego miejsca – światu teatru Grzegorzewskiego.

Pojawił się w mojej świadomości od razu jako artysta niezwykły, osobny, niepowtarzalny, tworzący teatr rozpoznawalny już na pierwszy rzut oka w zachwycających swoją surreálną logiką asamblażach tak niezwykłych przedmiotów jak pantografy, skrzydła samolotów, otwarte i postawione na sztorc fortepiany. „Pułapka” (1984), „Powolne ciemnienie malowideł” (1985), „Tak zwana ludzkość w obłędzie” (1987), a dla mnie szczególnie „Opera za trzy grosze” (1986) to były przedstawienia formacyjne, wyznaczające pewien pułap i wzorec twórczego doświadczenia teatru.

Dlatego wcale nie wzbudził moich kontrowersji pomysł, by to właśnie Grzegorzewski został dyrektorem artystycznym Teatru Narodowego odbudowanego po pożarze w okropnie nowobogackim stylu i otwartego ponownie w roku 1997. Kto inny miałby kierować tą szczególną sceną, jeśli nie artysta jako jedyny ze współczesnych zdolny do prawdziwie twórczej pracy nad Mickiewiczem, Wyspiańskim, Witkacym i Gombrowiczem?

Nie mam też wątpliwości, że Grzegorzewski sprostał temu wyzwaniu, które sam sobie rzucił nazywając Teatr Narodowy „domem Wyspiańskiego”. A przecież poniósł klęskę, za którą sam zapłacił cenę najwyższą. Niespodziewanie dla samego siebie, choć kochany, wręcz wielbiony przez wierną grupę wspierających go osób, został opuszczony przez publiczność, a przede wszystkim – oznaczony w dominującej narracji jako elitarny i egocentryczny twórca niezrozumiałych przedstawień oderwanych od problemów życia zbiorowego (paradoks: głównym twórcą tej narracji był mój o rok starszy kolega z krakowskiej teatrologii, wówczas recenzent „Gazety Wyborczej”).

Projekt Teatru Narodowego, który spełniał, i to w stopniu możliwie najwyższym, wszystkie postulaty stawiane przed tą sceną jako wyjątkowym miejscem artystycznej rozmowy ze wspólnotą i jej kul-

turą, okazał się dla wspólnoty nieinteresujący. Żywe serce teatru biło już gdzie indziej. Na przełomie tysiącleci moje studentki nadal jeździły do Warszawy na swoje przedstawienia formacyjne, ale gdy wracały w T-shirtach z napisem „I love TR”, było jasne, że nie były to przedstawienia w Narodowym.

Kronika zapowiedzianej śmierci zaczęła się pisać coraz szybciej po rezygnacji Grzegorzewskiego z dyrekcji w roku 2003. Mityczne dziś przedstawienia ostatnie: „Morze i zwierciadło” według Audena (2002) i „Duszycka” według Różewicza (2004) w sposób oczywisty były rozgrywaniem nadchodzącego rozstania. Jerzy Trela grający w pierwszym z nich Prospera wspomina w książce Maryli Ziełińskiej, że jego monologi były pożegnaniem z pięknem tego świata, pięknem, którego poszukiwanie i tworzenie stanowiło istotę twórczości i życia Grzegorzewskiego: „Wraz z jego utratą sztuka i życie zaczęły tracić sens. Samounicestwieniem protestował przeciwko cywilizacyjnemu barbarzyństwu”.

Na nieczystym sumieniu

Niemal od razu po śmierci Grzegorzewski stał się idealizowanym wzorcem artysty teatralnego. Jego autorskie spektakle przeciwstawiano jednocześnie prowokacyjnie politycznemu „nowemu teatrowi” i rozpędzającemu się przemysłowi, wciąż gającemu najlepsze umysły pokolenia i przemieniającemu najzdolniejszych aktorów w twarde banków i fast-foodów.

Dyrektorski następca Grzegorzewskiego, Jan Englert, choć sam jako aktor nie stronił i nie stroni od zadań, które w poprzedniku wywołałyby odruch niesmaku, stworzył dla niego w Teatrze Narodowym rodzaj napowietrznej izby pamiątek. Powołano specjalny festiwal „Planeta Grzegorzewski”, w ramach którego pokazywano długo utrzymywane w repertuarze przedstawienia reżysera, a jedno z nich, „Duszyckę”, grano jeszcze w roku 2020 (kres tym prezentacjom położyła pandemia). Zatrószono się o spuściznę po artyście wydając serię jego autorskich scenariuszy. Jej współwydawca, Teatr Narodowy opublikował też liczącą grubo ponad tysiąc stron, dwutomową biografię artysty autorstwa Maryli Ziełińskiej, zatytułowaną „To”.

Wśród całego grona wielkich polskich reżyserów teatralnych drugiej po-

łowy XX wieku nie ma chyba drugiego tak dobrze opracowanego i opisanego jak Grzegorzewski. W kategorii intensywnej obecności pośmiertnej konkurować z nim mogliby chyba jedynie Tadeusz Kantor i Jerzy Grotowski, ale ci dwaj byli już za życia osobni. W teatrze repertuarowym Grzegorzewski ma po śmierci pozycję bezprecedensową. Jego nazwisko wciąż jest obecne w życiu teatralnym ze względu na fakt, że Scenie przy Wierzbowej Teatru Narodowego i Dużej Scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu (a także Galerii warszawskiego „Studio”) nadano jego imię. Wszystko to zapewne zasłużone, ale doprawdy trudno w tym nie wyczuć podglebia nieczystego sumienia. Czyż tych wszystkich hołdów nie składa teatr, który całą tradycję Grzegorzewskiego – tak romantyczną i wyspiańską, jak awangardową – odesłał do lamusa?

Powiem wprost: „domu Wyspiańskiego” w Teatrze Narodowym od dwudziestu lat nie ma. Nie ma go też w innych miejscach, gdzie działają osoby chętnie opowiadające o wielkości Grzegorzewskiego. Jeśli pod hasłem „dom Wyspiańskiego” rozumieć świadome i programowe dążenie do wielostronnego i głębokiego mocowania się ze zbiorową wyobraźnią, tradycjami kultury polskiej i europejskiej oraz osobistymi wyzwaniem, to przez dwadzieścia lat, jakie minęły od śmierci Grzegorzewskiego, nigdzie nie podjęto próby świadomej realizacji jego programu. Gdyby się postarać, można by pewnie znaleźć i wskazać jakieś próby działań o podobnym charakterze, ale po pierwsze – izolowane i nietworzące programu; a po drugie – nie odwołujące się do Grzegorzewskiego.

W środowisku dominuje przekonanie, że program „domu Wyspiańskiego” może i był imponujący, ale w praktyce nie realny, bo te wielkie problemy nikogo już nie interesują, romantyzm sobie buja, wodzi, a światek coraz niżej schodzi. Teatr po grzegorzewski z zalem, chyba autentycznym, ale bez żadnego wahania zrezygnował z realizacji jego programu i obrał kurs pragmatyczny. Być może istotnie nie było innego wyjścia, a teatr nie jest kijem do zawracania kulturowo-społecznej Wisły. Ale nie zmienia to faktu, że po śmierci Grzegorzewskiego jego wyznawcy, gorąco go wychwalając i budując mu wciąż nowe pomniki, w praktyce przyznali rację jego krytykom.



„Noc listopadowa” w Teatrze Narodowym w Warszawie, listopad 2000 r.

Nowe wyzwolenie

⇒ Czy może być inaczej? Czy może zaistnieć jakaś żywa tradycja teatralna Jerzego Grzegorzewskiego? Nie naśladowanie jego teatru, bo to na pewno niemożliwe, ale podjęcie analogicznej pracy nad połączeniem dwóch, w praktyce polskiej sceny współczesnej oderwanych od siebie nurtów: romantyzmu i awangardy? Poza osobistymi demonami, tym, co rozerwało sztukę Grzegorzewskiego, było właściwe mu połączenie inspiracji awangardowych (przede wszystkim Witkacego i Strzebińskiego) z pracą nad wspólnotą narodową, walką z jej demonami i geniuszami, podobną do tej, jaką prowadził Wyspiański.

To połączenie właśnie nadawało dynamikę polskiemu teatrowi w jego złotej erze – w latach 60. i 70. Było obecne w twórczości artystów tak odmiennych jak Swinarski i Kantor, Grotowski i Wajda, Racza i Dejmek – za każdym razem łącząc się

Poza osobistymi demonami, tym, co rozerwało sztukę Grzegorzewskiego, było połączenie inspiracji awangardowych z pracą nad wspólnotą narodową, **walką z jej demonami i geniuszami.**

z własnym stylem, osobistą estetyką i polityką. Grzegorzewski był ostatnim artystą, dla którego to połączenie było podstawową siłą napędową. Siłą, która ostatecznie rozsądziła i zniszczyła jego teatr. Nie z jego winy, ale w wyniku procesów

zewewnętrznych, w których i romantyzm, i awangarda straciły przewodnie role.

Wystarczy przecież spojrzeć na karierę młodszego zaledwie o cztery lata Krystiana Lupy, który w tym samym czasie, gdy Grzegorzewski tracił społeczne zainteresowanie, stawał się najważniejszą postacią polskiego teatru. Jest oczywiste, że miało na to wpływ także to, że i on, i jego uczniowie świadomie i deklaracyjnie zrezygnowali z zajmowania się „przekłętymi polskimi problemami”. Tradycja romantyczna utraciła swoją innowacyjną siłę i została (po raz kolejny, bo to samo działo się choćby w wieku XIX, gdy Słowackiego oswajał Sienkiewicz) przejęta przez konserwatywnych tradycjonalistów, którzy wzięli z niej kilka najprostszych elementów wystarczających, by zmaistrować broń przeciwko „postmodernizmowi”.

Co może bardziej zastanawiające – pokolenie, które za czasów dykcji Grze-

gorzewskiego w Narodowym wchodziło do teatru, porzuciło nie tylko romantyzm, ale i awangardę. To pojęcie nie oznacza jednak każdej postawy nowatorskiej odmiennej od dominującej, ale konsekwentne działanie eksperymentalne, nastawione na przyszłość, nieznane jeszcze kształty i formy. Awangarda świadomie posługuje się twórczą niewiedzą, czego mistrzem był właśnie Grzegorzewski. To zarazem skłócało go nieuchronnie z naszymi czasami pełnymi „specjalistów” i „ekspertów”, piszących wciąż „projekty” o z góry założonych przebiegach i efektach.

Odrzucenie Grzegorzewskiego przez zwolenników teatru, który dwie dekady temu sam nazywał się „nowym”, oznaczało też odrzucenie awangardy. Pokolenie wtedy wchodzące, owszem – zaciągnęło pewne rozwiązania warsztatowe i kompozycyjne stworzone przez teatralnych rewolucjonistów, ale całkowicie odrzuciło ich związki z „nieznanym”, na czele z wszelką metafizyką, poezją i „duchowością”. Ta ostatnia została zastąpiona psychoanalizą i sprowadzona do kwestii emancypacji i terapii polegającej przede wszystkim na pracy z traumą.

Grzegorzewski – odmawiający racjonalizacji tajemnicy i metafory – został odrzucony, bo z jednej strony był zbyt wyrafinowany dla szerokiego widza i jego rzeczników, którzy po prostu nie rozumieli wykorzystywanych przez niego znaków, a z drugiej – zbyt uduchowiony, by mógł być zaakceptowany przez przedstawicieli nowego pragmatyzmu techniczno-psychoanalitycznego. Został rozerwany przez narastające sprzeczności kultury przełomu tysiącleci. Najwięcej mówi o tym antygrzegorzewski sojusz zwolenników tradycyjnego teatru mieszczańskiego i nowego wtedy teatru „krytycznego”, który w istocie stanowił i stanowi modną sztukę nowej klasy średniej – klasy ekspertów i specjalistów.

Pytanie zasadnicze, które stawiam nie w obliczu rocznicy, ale wobec coraz bardziej doskwierającej mi jałowości polskiego teatru: czy postawa, której Jerzy Grzegorzewski był wierny aż do śmierci, może jeszcze odzyskać moc i znaczenie? Czy ktoś jeszcze rozświetli ciemniejące malowidła?

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

■ BŁONIA Tajemnicy, scen.

Mateusz Wiśniewski, rys. Michał Araszewicz, Piotr Marzec, Antoni Serkowski, Judyta Sosna, Magda Zwierzchowska, Kultura Gniewu



Na łożu śmierci Stefan Grabiński, pionier rodzimego *weird fiction*, miał powiedzieć, że „w społeczeństwie polskim pisarz, który ma coś do powiedzenia i nie chce być kopia mody, musi być galernikiem kopanym przez prasę, krytykę i snobów”. Echa życiorysu literata, na przemian przez odbiorców hołubionego i wyszydzanego, a finalnie zapomnianego, porbrzmiewają w jego pełnej lęku twórczości. Mateusz Wiśniewski w „Błoniach tajemnicy” podjął się zadania przywrócenia pamięci o nadwiślańskim Poem. Adaptując pięć wybranych nowel, uchwycił esencję utwo-

rów Grabińskiego, czyli niesłabnący, prowadzący do obłędu lęk przed nieznanym. Dzięki roztropnej selekcji materiału udało się nie tylko przybliżyć obsesje fantasty, ale również atrakcyjnie urozmaicić zbiór: w jego skład wchodzi zarówno klasyczne gotyckie opowiadania, jak i horrory metafizyczne. W eksplorowaniu szczelin rzeczywistości scenarzyście pomogli rysownicy i rysowniczkę będący z grozą za pan brat. Od delirycznych wizji Piotra Marca po zadłużone w niemieckim ekspresjonizmie kadry Magdy Zwierzchowskiej – ilustracje w „Błoniach tajemnicy” podsycają nastrój niezwykłości i niepokoju, który dla zamieszkanego przez upiory i demony światów Grabińskiego był nieodłączny.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

■ BUDYŃ O SMAKU MICKIEWICZA,

Od 12 maja na winylu i w serwisach streamingowych



MAMY DOBRY CZAS DLA POEZJI: śpiewanie jej stało się modne. Muzyczne wersje mają dziś m.in. wiersze Asnyka, Baczyńskiego, Broniewskiego, Ginczanki, Konopnickiej, Leśmiana czy Szymborskiej i nie są to bynajmniej niszowe przedsięwzięcia, a przeboje z milionami odtworzeń (utwór „Eviva l’arte” Przerwy-Tetmajera w wykonaniu Sanah i Krzysztofa Zalewskiego został przez 4 miesiące wysłuchany 5,5 mln razy na YouTube i prawie tyle samo na Spotify). Nadszedł czas i na narodowego wieszczka. Tym razem jest nieco inaczej, bo „Ballady i romanse”

Adama Mickiewicza zostały przepisane przez zmarłego trzy lata temu Jacka „Budynia” Szymkiewicza. Teksty utworów trzymają się wątków zawartych w oryginale, ale całość opowiedziana jest współczesnym językiem. Potrzebę balladowej tajemnicy zapewniają użyte w nagraniach wibrafon, flet altowy, klarnet basowy czy waltornia. Całość jest mieszaną rocka, jazzu (pierwotny tytuł projektu to „Ballady i romanse na jazzowo”), psychodelii i amerykanu. Śpiewają: Natalia Grosiak, Tomasz Organek, Aga Kiepuszewska oraz Maciej Starnawski. W dniu premiery romantycznego „Budyniu” będzie można go skosztować w szczecińskiej filharmonii.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

■ Eleanor Janega, Kobieta Średniowiecza, tłum. Justyna Kukian, PORT



PÓŻNOŚREDNIOWIECZNA SEKSUALNOŚĆ, myśl apokaliptyczna i propaganda – oto wachlarz zainteresowań dr Eleanor Janegi, amerykańskiej mediewistki i popularnej twórczyni podcastów historycznych. Takich, dodajmy, które nie nadają się do słuchania w aucie z dziećmi. Janega opowiada o opartym na antycznych mizoginistycznych teoriach świecie, który po zdjęciu dekoracji nie jest tak odległy od naszego: współczesne feministki walczyły ze zjawiskami zakorzenionymi setki lat temu. Chodzi

o przedmiotowe podejście do kobiet (gwałt był przestępstwem wobec ojca czy męża ofiary), jak i ignorowanie wartości wykonywanej przez nie pracy. Kobieta miała być cicha, cnotliwa, skromna i piękna – ale w naturalny sposób, bo np. regulacja brwi podchodziła już pod grzech śmiertelny. Janega krytykuje epokę wiktoriańską za tabuizację tematów seksualnych i w swoich publikacjach przywraca im należne miejsce. Tak jest też z „Kobietą średniowiecza”, która może zaskoczyć czytelników wychowanych na Samsonowiczu. I dobrze, najwyższy czas na taki szok poznawczy. ©© MACIEJ MÜLLER

Schulz znowu możliwy

ANITA PIOTROWSKA

Kino na podstawie prozy Brunona Schulza wyprzedziło swój czas. Moda na ekranowe światy równoległe i rzeczywistości alternatywne miała się rozwinąć dopiero w kolejnych dekadach.

O PROZIE BRUNONA SCHULZA ZWYKŁO się mówić, że jest nieprzekładalna na język filmu. Takie głosy pojawiały się, kiedy pod koniec 1973 r. weszła na polskie ekrany kongenialna adaptacja „Sanatorium pod Klepsydrą” w reżyserii Wojciecha Jerzego Hasa. I nie chodziło tylko o żywioł języka, tę słynną „napuszystość epitetów”, ale o niezgłębione bogactwo schulzowskiego uniwersum.

Obejmowało však i to, co kosmiczne czy metafizyczne, i to, co przyziemne, nie mówiąc o eksperymentach z czasem i narracją. Obecnie ten film, doceniany kiedyś głównie za granicą, powraca do kin studyjnych w związku z Rokiem Hasa – 1 kwietnia minie setna rocznica jego urodzin. Tymczasem w równie kameralnym obiegu pojawiła się druga, zupełnie inna i bardzo luźna adaptacja, czyli „Sanatorium pod Klepsydrą według Braci Quay”. Dowód na to, że autor z Drohobycza ciągle pobudza twórców kina i że nie ma sensu dosłowny przekład tekstu na obrazy (ciekawie zadanie dla AI). Trzeba szukać własnego klucza.

Zafascynował Hasa światotwórczy potencjał „Sanatorium”. Nie mógł też, raptem ćwierć wieku po Zagładzie, zapo-

mnąć o okolicznościach śmierci pisarza, zastrzelonego przez gestapowca w 1942 r. Ani o zagładzie żydowskiego miasteczka, reanimowanego w tym przypadku potrójnie. Najpierw przez pisarza, którego bohater, Józef, odwiedza ojca w tytułowym kurorcie i zstępuje do krainy zmarłych. A potem przez reżysera, inscenizującego galicyjski sztetl prześniony w opowiadaniach Schulza i przepuszczony po latach przez doświadczenia Szoah.

Pociąg wiozący bohatera musiał budzić skojarzenia z masowymi transportami Żydów do obozów śmierci, podobnie jak inne sceny wyprzedzające historyczne wydarzenia. Nakładają one dodatkowy filtr, który nie wszystkim przypadł do gustu, a już na pewno nie decydemtom z pomarcowego PRL-u. Kiedy „Sanatorium pod Klepsydrą” mimo oporu władzy zostało wysłane na festiwal w Cannes i wróciło stamtąd z Nagrodą Jury, Has musiał czekać prawie dekadę, żeby móc nakręcić w Polsce kolejny film. I nigdy nie powrócił do dawnej reżyserskiej formy.

Mnożąc „boczne odnogi czasu” stworzył coś, co filmoznawca Waldemar Frąc nazywa kinem możliwym. Reżyser poniekąd wyprzedził czas, bo moda na ekranowe światy równoległe czy rzeczywistości alternatywne miała się rozwinąć dopiero w kolejnych dekadach.

Przed wszystkim jednak, z pomocą operatora Witolda Sobocińskiego czy scenografów, Jerzego Skarżyńskiego i Andrzeja Płockiego, stworzył jedyną w swoim rodzaju fantasmagorię. Kamera wędruje

przez widmowy labirynt, pełen zapuszczonych wewnątrz, gabinetów figur woskowych czy egzotyczno-awanturniczych obrazów wyjętych wprost z dziecięcej głowy. To powidoki przeszłości, której nigdy nie było. I tym bardziej po 1945 r. nie ma do niej powrotu, toteż w najmniej spodziewanym momencie konduktor burzy jej iluzję swoim „poproszę bilet do kontroli”. Ale chociaż przejawskawienie żydowskiego folkloru może dzisiaj budzić wątpliwości, „Sanatorium” nadal zasysa swoją wizją i nie tylko jako piękna rupieciarnia.

Bracia Quay odeszli od folkloru, Holokaustu, literalnego odczytywania biografii Schulza i nawet kiedy cytują jego prozę, brzmią lakonicznie. Raz jeszcze postawili na subiektywną esencjonalność i – będąc twórcami tradycyjnej animacji poklatkowej z równorzędnym udziałem lalek, przedmiotów i ludzi – na fakturę materialnego tworzywa.

Blizniacy z Pensylwanii zawsze fascynowali się kulturą Europy Środkowo-Wschodniej, jej tradycjami kina animowanego (Władysław Starewicz, Jan Švankmajer, Walerian Borowczyk), literaturą (Schulz, Kafka, Lem – patrz: „Maska” z 2010 r.), nie mówiąc o muzyce (Janáček, Penderecki). Ich etiuda „Ulica Krokodyli” (1986) uchodzi za arcydzieło. Wystarczyło 20 minut, by zainscenizować schulzowski rozpad świata, jego demontaż na zardzewiałe śrubki i atrapy nowoczesności. Pełnometrżowe „Sanatorium pod Klepsydrą według Braci Quay” jest dla widza dużo większym wyzwaniem.



**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

Również dla twórców, którzy pracowali nad tym filmem przez 19 lat. Stworzyli autorską impresję wokół „Sanatorium pod Klepsydrą”, co prawda umieszczając akcję w roku 1937 (wtedy wydano opowiadania), ale swoim medium czyniąc tajemniczą J.S., kuracjuszkę z uzdrowiska „Karpaty” (chodzi o Józefinę Szelińską, tłumaczkę Kafki i ukochaną pisarza, której dedykował tomik).

Film celowo redukuje rozbuchany makrokosmos do wypranych z koloru obrazów „o ograniczonej widoczności”. I choć całość podzielono na rozdziały, wypełniono cytatami i mówiona jest po polsku, z udziałem rodzimych wykonawców o różnych rodowodach teatralnych (Tadeusz Janiszewski, Wioletta Kopañska, Andrzej Kłak, Leszek Bzdyl), dostajemy dzieło dość hermetyczne. Lecz kto wie, może właśnie ten rozebrany do kości Schulz bliższy jest oryginalnemu. Z pewnością wymaga przestrojenia się na inny tryb, daleki od kina narracyjnego, nawet tak meandrycznego jak u Hasa.

Ów nieprzejrzysty, nietrwały, mało czytelny świat z trudem wydobywa się z ciemności i trzeba nieźle wyteżać wzrok, żeby namierzyć odniesienia do sławetnych obsesji, do znanych skądinąd obrazów literackich czy plastycznych. Są tu kadry o wyjątkowej intensywności, jak te z rozkładającą się ptaszarnią ojca, ale gdyby to opowiadanie Schulza znalazło się dziś na liście obowiązkowych lektur szkolnych, seans z Braćmi Quay nie pomógłby w nadrobieniu zaległości przed sprawdzianem.

Nie ma jednak potrzeby, żeby robić filmowi Quayów konduktorskie „sprawdzam”. Już na wstępie pojawia się optyczna biomaszyna, pośrednicząca w naszej percepcji. Oferuje obraz fragmentaryczny i sami musimy pozyskiwać sobie oniryczne fragmenty. Albo i nie, poprzestając na bardziej intuicyjnym czy immersyjnym odbiorze.

Za to w filmowym imaginariu Braci schulzowski „czas zużyty” nabiera jeszcze bardziej sugestywnych kształtów. Jeśli dzieło Hasa było snem o śmierci, zmateriałizowanym w całym jego surrealistycznym przepychu, ten film o tropieniu ojca po przedśmionkach zaświatów, pełen zapętleń, zdezelowanych rzeczy, organicznych resztek i brzydkich lalek, przynosi dogłębną dekonstrukcję tego snu. Redukuje do suchego *memento*. ©

HAS. KRONIKI
WYOBRAŹNI – przegląd filmów Wojciecha Jerzego Hasa w kinach studyjnych.

SANATORIUM
POD KLEPSYDRĄ
WEDŁUG BRACI QUAY
(„Sanatorium under the Sign of the Hourglass”) – reż. Bracia Quay.
Prod. Wielka Brytania/Polska/Niemcy 2024.
Dystryb. Gutek Film.
W kinach.

Stephen i Timothy Quay, znani jako Bracia Quay, to bliźniaczy duet twórców artystycznej animacji. Urodzili się w USA, lecz od lat mieszkają i pracują w Europie. Prócz cenionych filmów, jak „Instytut Benjamenta” (1995) czy „Stroiciel trzęsień ziemi” (2005), mają na koncie wideoklipy, reklamy, projekty graficzne oraz współpracę scenograficzną z teatrem, operą i baletem.

Na zdjęciu kadr z filmu: „Sanatorium pod Klepsydrą według Braci Quay”

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

Lektor: Choroba i poznanie



■ Max Blecher, **DZIEŁA ZEBRANE**
Przełożyła Joanna Kornaś-Warwas,
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2025, ss. 440.

NA PONAD 400 STRONACH ZEBRANY DOROBK NIESPEŁNA TRZYDZIESTOLETniego życia, naznaczonego cierpieniem. Max Blecher (1909-1938), pisarz rumuński, pochodzący z żydowskiej rodziny kupieckiej z Mołdawii, jest jednym z najciekawszych odkryć ostatnich dziesięcioleci. Za życia wydał tom wierszy i dwie powieści; trzecią opublikowano w całości wiele lat po jego śmierci. Te powieści – „Zdarzenia w bliskiej nierzeczywistości”, „Zabliźnione serca” i „Rozświełona jama” – miały już polskie wydania, i to w trzech różnych oficynach, są jednak trudne do zdobycia. „Dzieła zebrane” zawierają prócz powieści krótsze prozy i wiersze, a także kalendarium życia pisarza i posłowie, których autorem jest Doris Mironescu, biograf i edytor pism Blechera.

Lekturę warto zacząć od „Zabliźnionych serc”, których bohater, Emanuel, rumuński student w Paryżu, zgłasza się do lekarza z dojmującymi bólami pleców. Poznaje przerażającą diagnozę – to gruźlica kręgosłupa, jeden z kręgów został już częściowo zjedzony, utworzył się też „zimny ropień”, który za chwilę może pęknąć. Po punkcji ropnia trafia do szpitalnego sanatorium w Berck nad kanałem La Manche. Sam Blecher spędził w Berck trzy lata, jednak historię swojego bohatera zamknął w roku kalendarzowym.

I od razu powiedzmy: jego powieści, choć silnie autobiograficzne (pierwsza opowiada o wzrastaniu w prowincjonalnym mieście, trzecia ma formę dziennika sanatoryjnego), to przede wszystkim świetna literatura, będąca analizą poznania świata ze szczególnej perspektywy. Doświadczenie cierpienia i zamknięcia (także najbardziej dosłownego, bo w gorsecie gipsowym) wyostreza zmysły, choć czasem zaciera granice między rzeczywistym a wyobrażonym, między realnością a snem. Jak pisze Grzegorz Jankowicz we wstępie do pierwszego polskiego wydania „Jamy”: „Czym są zdarzenia? Jaką mają wagę? Co się z nimi dzieje wraz z upływem czasu? Czy ból, który zmusza do maksymalnej koncentracji na umęczonym ciele, opisywany przez Blechera bez cienia sentymentalizmu czy romantycznego uwznioślenia, unieważnia to, co się dzieje wokół? Odpowiedź pisarza jest jednoznaczna: zdarzenia nie tracą swojej wagi, lecz przeżywane w stanie choroby wyjawiają przed nami swą niemal absolutną nieuchwytność”.

Mironescu zalicza Blechera do „konstelacji osobliwych autorów”, wśród których jest i Bruno Schulz, przypomina też o surrealistycznych elementach jego wyobraźni. A o Blecherze-człowieku sporo można przeczytać we wspólnym „Dzienniku 1935-1944” Mihaila Sebastiana. ©

PAWEŁ

Bravo

Wiara, nadzieja i mdłości

CIEŻKO WAM BYŁO IŚĆ DO PRACY W PONIEDZIAŁEK RANO? Tyle dobrego, że pogoda przestała być kpina z wiosny, a za parę dni będzie można się najeść w majestacie wiary, nadziei i mdłości. Szkoda tylko, że wypatrując tramwaju na przystanku, nie mieliście się ochoty pogapić w niebo – coś za blask bił od panny Laury Sanchez i jej czterech koleżanek, które zabrała na suborbitalny wypad rakieta swego lubego Jeffa Bezosa. Przelot na granicy kosmosu trwał ledwo cztery minuty, to krótko jak na wieczorek panieński, ale za to nieważkość taka, że na Ziemi skrzynka szampana by nie starczyła. Celebrytki poleciały w pełnym makijażu i koafiurach, żeby, jak wyczytałem w „Elle”, wynieść trochę glamouru także w kosmos. Wcześniej Bezos zafundował wycieczkę kapitanowi Kirkowi ze Star Treka (czyli Williamowi Shatnerowi). Po powrocie aktor opowiadał zaskoczony, że nie zobaczył niczego, tylko straszliwą, zimną pustkę. Trochę szczebiotu i brokatu – i od razu dziura robi się mniej czarna.

Za dwa miesiące właściciel Amazona wyprawi weselico w Wenecji. Biedni ci bogacze, muszą ulegać konwencji, nie mogą ot tak iść po prostym ślubie na kocyki do Skaryszaka i zjeść palcami tort z Misianki. Są skazani na różne weneckie „magie”. Że to nic wielkiego, sami możecie się przekonać, билет wstępu do miasta w sezonie to tylko pięć euro. Może kusi was sława tradycyjnych bacaro, gdzie się jada kanapeczki i popija spritz? Tylko czy warto jechać taki kawał, żeby zjeść trochę pasty rybnej? Albo ta ich gorzka niby-salata, no dajcie spokój, pewnie im zśniła w piwnicy. Spritza takiego jak na Campo Santa Margherita da się zrobić u was za rogiem, wierzcie mi, słowo barmana – trzeba tylko wlać naprawdę porządne, nietanie prosecco. I podać w szklance, nie kieliszku, lodu mało, to nie krioterapia, do środka duża zielona oliwka. Z pestką, błagam. No i jednak campari zamiast aperola, jeśli ma być wenecko.

Tak czy owak w czerwcu uważajcie, bo w mieście zrobi się jeszcze ciśnień od paparazzich i ochroniarzy, będzie ponoć Trumpówna z Kushnerem, a może i sam pomarańczowy nestor. Centrum wydarzeń będzie 130-metrowy szkuner Bezosa



GEISLER-FOTOPRESS GMBH / ALAMY / BE&W

z galionem wyrzeźbionym na podobieństwo p. Sanchez. Mam słabość do żaglowców. „Koru” jest piękny, oldskulowy, nawet jeśli stanowi brutalną ostentację bogactwa. Na którą składamy się wszyscy, klienci Amazona oraz niekoniecznie najlepiej traktowani pracownicy – Bezos po swoim locie kosmicznym tak właśnie publicznie dziękował: dzięki, guys, to wyście za to zapłacili.

Na jeszcze większy od „Koru” szkuner o minimalistycznej nazwie „A” składali się zaś wszyscy, którzy jedli w poprzedniej dekadzie płody rolne i mieli ciepłą wodę w kranie – należy bowiem do Andrieja Mielniczenki, rosyjskiego potentata w branży nawozów i węgla. Może go pamiętacie, był gwiazdą konferencji klimatycznej COP28 w Dubaju, proponując wskrzeszenie mamuta dzięki DNA wydobytemu z zachowanych szczątków. W moskiewskim jacht-klubie genetyka musi być ważnym tematem rozmów. Weźmy np. takiego Alishera Usmanowa: będziemy zwać go „biznesmenem”, bo jego prawnicy zdołali wymusić na Komisji Europejskiej, by usunęła określenie „oligarcha” z listy osób objętych sankcjami. Jacht przepisał na siostrę, skądinąd dopiero co wyjętą spod sankcji pod naciskiem Węgier. Pomalutku przy każdej okazji Orbán w ten sposób przywraca do obiegu kolejne osoby z putinowskiego dworu – taktyka salami, co się zowie.

Ale miało być o genach, nie o wędlinach. Otóż Usmanow 10 lat temu wykupił na aukcji medal noblowski wystawiony przez Jamesa Watsona. Tego od „podwójnej helisy”, uznawanego (wraz z Francisem Crickiem oraz pomijaną przy honorach Rosalind Franklin) za odkrywcę struktury DNA. Medal wysta-



GRAZYNA MAKARA



Frittata z listkami mniszka

W kolejnym odcinku poświęconym wczesnowiosennej zieleninie namawiam was do młodych listków mniszka. W przeciwieństwie do np. ogórecznika czy chmielu są wybitnie łatwe do zdobycia i łatwiejsze w obróbce niż pokrzywa. Mają zdecydowanie gorzkawy smak, który wielu polskim podniebieniom może się wydawać za mocny – dlatego sugeruję na początek wymieszanie go pół na pół ze szpinakiem. Także np. w typowym nadzieniu do ravioli czy wege-lazanii, gdzie część szpinaku zastąpić możemy mniszkiem podduszonym 5 minut na oliwie z szalotką.

Po lewej:
„Koru”,
jacht Jeffa
Bezosa.
Cannes,
22 maja
2023 r.
Po prawej:
mniszek
lekarski
(*Taraxacum
officinale*)
z zielnika
„Rośliny
lecznicze”,
1887 r.



KÖHLER'S MEDIZINAL-PFLANZEN / DOMENA PUBLICZNA

wił, żeby zwrócić na siebie uwagę, czując się wypchniętym na margines mainstreamu.

A było go za co wypychać. Od lat Watson opowiada m.in. o genetycznie warunkowanej niższości intelektualnej mieszkańców Afryki. Część tego, co mówi, to jawne bzdury, wynikające być może z popośpolitej u noblistów wiary w nieomyślność. Weźmy choćby Karry'ego Mullisa czy Linusa Paulinga – na prawdę wielcy uczeni, autorzy przełomowych dla ludzkości wynalazków. Pierwszy głosił, że wirus HIV nie wywołuje AIDS. Drugi propagował leczenie raka i chorób psychicznych kuracjami witaminowymi. Itd. Na szczęście Polacy mają tylko noblistów literackich, więc jest im oszczędzone zażenowanie, gdy koryfeusz nauki przesadza, oględnie mówiąc, z uproszczeniami.

Watson opowiadał również – wychodząc od faktycznych badań nad hormonami peptydowymi – iż osoby o ciemniejszej karnacji mają większe libido. I dalej, na podstawie tych samych badań: osoby chude są nieszczęśliwe, co nadrabiają ambicją i walecznością, więc będą lepsze jako pracownicy. W zgiełku protestów zaginął dalszy ciąg logiczny tego zdania: osoby o większej masie ciała są szczęśliwsze, bo ich ciało produkuje więcej endorfin. Brzmi trochę jak hasło ruchu ciałopozytywności. Tyle że Watson miał przed oczami raczej postaci starswieckich jowialnych jegomości i zażywnych jejmości, nieco tęgawe osoby w typie świętego Mikołaja. A może tylko chciał narobić szumu, bo dla trapiącego epidemią otyłości Zachodu tusza jest prawie tak zapalna jak rasa. Nie wiem. Ale na pewno wam życzę, żebyście w te święta mogli przez dwa dni nie uważać na to, ile jecie.



Zapisz się na newsletter
– co piątek przepisy
na Tygodnikowy lunch,
obiad i deser w Twojej
skrzynce: powszech.
net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

SKŁADNIKI: 300 g listków mniszka (lub pół na pół ze szpinakiem) 5 jajek 100 ml mleka 5 łyżek parmezanu 1 łyżka skrobi kukurydzianej albo ziemniaczanej ■ czosnek ■ sól ■ masło

A co do frittaty: rzucamy listki na osolony wrzątek na 1 minutę, przekładamy na patelnię, na której podgrzaliśmy na oliwie czosnek. Dusimy 5 minut, mieszając i podlewając ewentualnie wodą z gotowania – ma pozostać dość wilgotny. Studzimy. Układamy równomiernie na prostokątnej blasze wyłożonej papierem do pieczenia nasmarowanym masłem. Zalewamy masą z mocno rozbełtanych jajek, mleka, parmezanu i skrobi, doprawionej pieprzem. Wstawiamy do piekarnika rozgrzanego do 200 stopni, kiedy się zetnie (po ok. 10 minutach), redukujemy temperaturę do 170 stopni i pieczemy, aż zaczną się z wierzchu mocno rumienić. Uwaga! Duszony na patelni mniszek jest też znakomitym kompanem świeżo ugotowanych szparagów, które właśnie wyłazą z ziemi. ©&

Tajemnice zakonnicy, która sięgnęła po sukces

Współcześnie każdego dnia spotykamy liderki, managerki, dyrektorki – to określenia znane, powszechne, ale jeszcze 200 lat temu niespotykane. Gdzieś jednak miały swój początek. Wszyscy znamy historię Marii Skłodowskiej-Curie – emancypantki, wzoru dla ruchu women empowerment. Nie będziemy więc znów opowiadać tego, co przepracowano wielokrotnie. Nasza bohaterka ma jednak wiele wspólnego ze słynną Polką. Współdzieliły zamiłowanie do wyjątkowych substancji, ale do wyjątkowych substancji, co przepracowano wielokrotnie. Nasza bohaterka ma jednak wiele wspólnego ze słynną Polką. Współdzieliły zamiłowanie do wyjątkowych substancji, ale do wyjątkowych substancji, co przepracowano wielokrotnie.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Przenosimy się do XIX wieku. Świat biznesu zdominowali, a wręcz zmonopolizowali mężczyźni. To oni otwierają nowe zakłady, zasiadają na najwyższych stanowiskach, podbijają świat – decydują o wszystkim. Jak zatem Maria Clementine Martin wyłamała się z tradycyjnego modelu społeczeństwa tamtych czasów, stając się pionierką kobiecej przedsiębiorczości? Aby zrozumieć to lepiej, cofnijmy się na moment do 1792 roku. 17-letnia wówczas Wilhelmine Martin wstępuje do zakonu, przyjmując imię Maria Clementine. Imię znane nam do dziś. Zapadnie w pamięci setek osób, szczególnie mężczyzn XIX-wiecznego biznesu, którym siostra utrzymała nosa.

ZAMIAST PROBLEMÓW

– WYZWANIA

W 1811 roku młodą zakonnicę dotknął dekret napoleoński nakazujący rozwiązanie wszystkich klasztorów franciszkańskich. Kobieta stanęła przed nie lada wyzwaniem i rozpoczęła trudną tułaczkę. Fundamenty ogromnych biznesów zbudowano jednak na wyzwaniach!

Źródła wskazują, że w 1815 roku siostra Maria wniosła pomoc rannym żołnierzom obu stron w bitwie pod Waterloo, zdobywając wiedzę o ziołach oraz preparatach roślinnych. Obecność na froncie znacząco skróciła kobiecie drogę do sukcesu. Prędko trafiła bowiem przed oblicze króla Fryderyka Wilhelma III. Władca pruski docenił zasługi bohaterki i nagroził zakonnicę dożywotnią pensją – 160 talarów rocznie. Dziś powiedzielibyśmy, że właśnie pojawiła się szansa na dywersyfikację przychodów – tak też pomyślała Maria. Zabłysnęła swoim biznesowym zacięciem i zaczęła działać. Już niedługo te pieniądze pomogą jej stworzyć własną zielarnię i produkować preparaty ziołowe. Ale do tego czasu... jeszcze przez kilka lat pozostanie w cieniu.

PIERWSZE OBJAWIENIE

Maria zniknęła na kilka lat z kart historii. Aż do roku 1821,

kiedy to znów dała o sobie znać w niemieckim dziś Münster. Jak się okazało, świat stawiał przed siostrą następne wyzwania, którym dzielnie stawiała czoło, kształtując swój charakter. Założycielka Klosterfrau utknęła w zawiłościach prawnych związanych z prowadzeniem alternatywnej medycyny. Lekarze sprzeciwiali się zabiegom z wykorzystaniem roślin i ziół, jakie przeprowadzała, pomagając pacjentom dotkniętym fistułami. Problemem okazał się brak stosownego wykształcenia medycznego. Siostra zwróciła się więc o pomoc do króla, ponownie licząc na jego protektorat. Nic z tego. Urzędnicy nie zezwolili na kontynuowanie działań.

Maria pozostała jednak w Münster jeszcze przez kilka lat. Pomimo wielu przeciwności nie poddała się. Udowodniła, że niosąc pomoc potrzebującym, doskonale odnajduje się w męskim świecie biznesu i tylko czas oraz

dalsza ciężka praca dzielą ją od sukcesu.

WIĘCEJ NIŻ WODA KOŁOŃSKA

6 listopada 1825 roku 50-letnia wówczas kobieta zaskakuje ogłoszeniem w „Kölnische Zeitung”, w którym reklamuje produkowaną własnoręcznie wodę kołońską (spirytus melisowy). Droga ku sukcesowi zaprowadziła ją do Kolonii. Przygotowywane tam, dzięki prostej destylacji, remedium szybko zyskało na popularności. Pierwowzór Melisany zaczął święcić triumfy dzięki swoim właściwościom łagodzącym i wyciszającym. Siostra Maria Clementine Martin połączyła naturalną moc roślin i ziół w jednej recepturze. Stworzyła kultowy dziś produkt Melisana Klosterfrau, którego jednym ze składników (i źródłem całej nazwy) od początku jest melisa.

WYZWANIA

NAPĘDZAJĄ SUKCESY

Na biznesowym szlaku Marii stanęło jednak kolejne niemałe wyzwanie. Spirytus melisowy był według ówczesnych przepisów kosmetykiem i uchodził za towar perfumeryjny. Oznaczało to jedno – każde reklamowanie spirytusu karmelitańskiego lub melisowego sprzedawanego jako lek podlegało zakazowi

MELISANA

NA CO STOSOWAĆ MELISANĘ KLOSTERFRAU?

NA OBJAWY PRZEZIĘBIENIA I GRYPY

NA MNIEJ NASILONE NERWOBÓLE

NA UŁATWIENIE ZASYPIANIA

Melisana Klosterfrau Original, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt ziołowy. Wskazania do stosowania: Stosowanie doustne: w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwienia zasypiania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagając jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobolach i powysiękowych bólach mięśni. Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o. MEL. 2025.03.13.2

Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Nie przekraczaj maksymalnej dawki leku. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

prawnemu. Ich produkcja i sprzedaż była bowiem zastrzeżona wyłącznie dla aptekarzy! Maria mimo wszystko stała się zabezpieczoną sukces, podejmując kilka kluczowych kroków. 7 listopada 1829 roku ponownie zwróciła się do króla Fryderyka Wilhelma III. Tym razem o zgodę na oznaczanie środka leczniczego orłem pruskim. Dekretem rządowym z dnia 28 listopada 1829 roku otrzymała zezwolenie. Melisana mogła jako jedno z niewielu remediów w Kolonii nosić królewski herb na opakowaniu, który do dzisiaj jest umieszczany na każdej butelce. Zakonnica odniosła wielki sukces w ustanowieniu i obronie dobrej pozycji rynkowej swojej firmy, mimo kilku niepowodzeń. Siostra zakonna ponownie wykazała się determinacją.

KOLONIA NA KOLANACH – CZAS NA ŚWIAT

Wreszcie nadszedł czas, aby o produkcie dowiedział się cały świat. Maria Clementine Martin wzięła w 1838 roku udział w renomowanej Wystawie Sztuki i Przemysłu, zorganizowanej przez Gewerbe-Verein w Kolonii na Heumarkt. Reklamy jej ziołowego remedium nadal pojawiały się w „Kölnische Zeitung”. Melisanę znano coraz więcej

konsumentów. Przed śmiercią siostra sporządziła testament, wyznaczając swojego asystenta Piotra Gustawa Schaebena jako spadkobiercę, ufając, że będzie wiernie kontynuował jej dziedzictwo.

Maria zmarła 9 sierpnia 1843 roku. 8 lat po jej śmierci, w 1851 roku, preparat ziołowy otrzymał pierwszą nagrodę na Wystawie Światowej w Londynie. Przedsiębiorstwo zgodnie z testamentem przeszło w ręce Piotra Gustawa Schaebena (1815–1885). Nowy właściciel znacznie je rozbudował i rozpowszechnił preparat na całym świecie. Formuła i sposób przygotowywania produktu przez lata były udoskonalane i dostosowywane do wymagań prawnych i potrzeb pacjentów. Dziś Melisana Klosterfrau Original jako tradycyjny lek roślinny dostępny bez recepty, dzięki zawartości 13 ziół, jest pomocna na:

- objawy przeziębienia i grypy,
- powysiłkowe bóle mięśni,
- objawy stresu, takie jak ból brzucha i wzdęcia na tle nerwowym*,
- mniej nasilone nerwobóle,
- stany złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym nasilone zmianami pogody,
- ułatwianie zasypiania.

* na objawy stresu, doustnie w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha); do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach; pkt 4.1. CHPL Melisana Klosterfrau Original.

A firma MCM Klosterfrau Healthcare z siedzibą w Kolonii nadal łączy tradycję z nowoczesnością. Obecnie jej produkty dostępne są w ponad 20 krajach.

MELISANA NA... SUKCES

Historia Marii Clementine Martin jest nie tylko opowieścią o odwadze i przedsiębiorczości, ale także inspiracją dla nas wszystkich. Jej dziedzictwo, kontynuowane przez Klosterfrau, przemawia do naszych serc i umysłów. Przypomina, że nie ma granic dla marzeń i dążeń. To historia o tym, jak jedna kobieta zmieniła świat swoją determinacją i świeżą wizją, odciskając trwale piętno na kartach historii. Maria pokazała nam, że warto dbać i walczyć o samego siebie – również stawiając w swojej apteczce Melisanę! Tak na wszelki wypadek...

MELISANA

KLOSTERFRAU ORIGINAL,

płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: stosowanie doustne – w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwiania zasypiania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach i powysiłkowych bólach mięśni.

Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o. Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania i tylko wtedy, gdy jest to konieczne. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

Artykuł sponsorowany przez MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o. MEL.2024.02.01

MELISANA
NA
NA

OBJAWY STRESU, TAKIE JAK BÓL BRZUCHA I WZDĘCIA NA TLE NERWOWYM*

STANY ZŁEGO SAMOPOCZUCIA O PODŁOŻU PSYCHOSOMATYCZNYM NASILONE ZMIANAMI POGODY

Melisana Klosterfrau Original, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: Stosowanie doustne: w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwiania zasypiania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach i powysiłkowych bólach mięśni. Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o. MEL. 2025.03.13.1

*na objawy stresu, doustnie w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha); do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach; pkt 4.1. CHPL Melisana Klosterfrau Original.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Zwróć uwagę na przeciwwskazania. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.



CHLEBY I BABY

W Jerozolimie wszystko coś znaczy.
W jej chlebach szukałem więc opowieści o ludziach, którzy stworzyli to miasto.

BARTEK KIEŻUN

PIERWSZY NAZYWAŁ SIĘ KA'AK AL QUDS. OCZYWIŚCIE PRZYPATRUJĄC SIĘ jego delikatnie brązowej skórce obsypanej sezamem nie miałem o tym pojęcia. Po prostu w piekarni wskazałem placem coś, co chciałem dostać. Palestyński piekarz krzyknął „ka'ak” rozciągając „a” w nieskończoność. A potem do worka z pieczywem włożył jeszcze mały woreczek i wyjaśnił po angielsku, że to do chleba, który nazwał bajgłem.

W wynajętym mieszkaniu zacząłem rozmyślać nad chlebem leżącym przede mną na stole. O tym, że ma coś wspólnego z simitami ze Sztambułu i koulouri z Salonik i Aten byłem przekonany ze względu na ich fizyczne podobieństwo. Wszystkie powstają z wałeczków ciasta i są obsypane ziarnami sezamu. Ale jak do tego doszło? Jeszcze bardziej nie dawało mi spokoju pytanie o to, dlaczego piekarz użył słowa „bajgł”. Bajgł są z Krakowa – taka była moja pierwsza myśl. Potem dodałem jeszcze Nowy Jork, ale nic w tej opowieści się nie kleiło, bo dlaczego arabski piekarz miałby piec żydowskie bajgły.

Jak Bóg przykazał

Następnego dnia rano uznałem, że skoro zaczęliśmy rozmawiać po angielsku, to zaryzykuję pytanie. Jeśli czegoś nie zrozumie, to doczytam – pomyślałem, mając w głowie zdanie Archimedeśa o punkcie oparcia i Ziemi. Wyczekałem przed sklepem na ulicy Proroków dłuższą chwilę, a kiedy nikt już nie stał przy ladzie, wszedłem do środka, kupiłem dwa bajgły i zadałem pytanie: co to za chleb i dlaczego nazywa się bajgłem?

Sprawa okazała się prosta: – Mówimy bajgł, bo w Jerozolimie wszyscy znają to słowo, Żydzi, Amerykanie i turyści. Ale Arabowie mówią ka'ak, ka'ak al Quds, czyli chleb z Jerozolimy.

Zapisałem sobie nazwę, wyszedłem przed piekarnię, usiadłem na rozchybotanym stołku i wcinając lekko słodkie, mleczne pieczywo czekałem na to, żeby w piekarni znów zrobiło się pusto. Kiedy już straciłem nadzieję, piekarz zrobił sobie przerwę na papierosa i sam zaczął mówić: – Najstarszą zanotowaną recepturę na ten chleb zawiera „Kitab al Tabikh”, arabska książka kucharska pochodząca z X wieku. Ka'ak, jak na nie mówiono, były bardzo popularnym chlebem. Szybko się piekły. Prawdopodobnie pojawiły się w Jerozolimie już po podboju

miasta przez kalifa Omara z dynastii Umajjadów w VII wieku. Wtedy zmieniły nazwę: mówiono na nie właśnie ka'ak al Quds.

Kiedy usłyszałem tytuł książki, poczułem, że wszystkie elementy układanki trafiają na swoje miejsce. Dobrze ją znałem. „Kitab al Tabikh” miała kilka wydań. Pierwsze wyszło w Damaszku, drugie pojawiło się w Andaluzji dopiero dwieście lat później. Kolejne, już XIV-wieczne, pokochali Osmanowie i to dlatego po dziś dzień w Stambule na śniadanie wcina się simit, chleb bardzo podobny do ka'ak al Quds. Kiedy armia Imperium Osmańskiego podporządkowała sobie tereny Bizancjum, przepis na obsypane sezamem niepozorne bochenki pojawił się w Salonikach i w Atenach. Wepchnąłem do plecaka niezjedzony kawałek chleba i ruszyłem przed siebie.

Tego dnia miałem zamiar odwiedzić targ Machane Yechuda. Wszystko tam było, tak jak być powinno na najsłynniejszym z jerozolimskich targów, tylko ceny zbiły mnie z panatyku. Dużo drożej niż na targu przy Bramie Damasceńskiej, gdzie kończyłem i zaczynałem każdy mój dzień w Jerozolimie. Postanowiłem jednak poszukać kolejnego bochenka, który mógłby mi opowiedzieć coś o historii miasta. Długo nie trwało. „Challah” wpadło w moje ucho zupełnie nieoczekiwanie, zaraz poszedłem za tym głosem.

Challah jest jednym z najbardziej bogatych w symbole bochenków. Jej trzy części splecione w warkocz wyobrażają pokój, prawdę i sprawiedliwość – mówią w Jerozolimie. Jeśli warkocz składa się z dwunastu części, to jest aluzją do dwunastu plemion Izraela. Chalki pieczone na Nowy Rok, czyli święto Rosz ha-Szana, są okrągłe, co symbolizuje ciągłość czasu i powtarzalność następujących po sobie lat. Podczas święta Szawuot, czyli Święta Zbiorów, dwa położone obok siebie bochenki oznaczają tablice Prawa, czyli dziesięciu przykazań.

Challah nawiązuje też do podwójnej porcji manny, jaką Żydzi otrzymywali od Stwórcy w każdy piątek w trakcie swej wędrówki przez pustynię po wyjściu z Egiptu. To dlatego każda szabasowa kolacja zaczyna się od dwóch plecionych bochenków. Samo słowo „challah” oznacza kawałek ciasta, jaki zgodnie z zaleceniami Boga należy przeznaczyć na ofiarę: „Gdy przyjdziecie do kraju, do którego was prowadzę, zanim zaczniecie jeść chleb kraju, przyniesiecie wprawdzie dar szczególny dla Pana. Przyniesiecie w darze pierwociny ciasta [challah]”. Żydowska ➔

Na targu Machane Yechuda w Jerozolimie

→ chałka nie zawiera nabiału. Wynika to z zasad koszerności i zakazu łączenia produktów mlecznych i mięsnych.

Z taką wiedzą uznałem, że mogę opuścić targ, bo wiem już niemal wszystko. I żyłem w tym przekonaniu przez kilka dni. Aż pewnego wieczora dałem w mediach społecznościowych wyraz zachwytowi daktylami na targu przy Bramie Damasceńskiej. Nie minęło pół godziny, gdy mój telefon zaczął brzęczeć domagając się uwagi. Pisała do mnie mieszkanka Jerozolimy. Najpierw zrobiła krótki wykład na temat daktyli i stopni ich dojrzałości, których, jak się okazało, jest kilka. Potem dodała, że jeśli kupię żółte, prawie niedojrzałe owoce palmy daktylowej i je zamrożę, kilka tygodni później zrobię z nich farsz i upiekę nadzianą nim chałkę, będzie to najlepszy chleb, jaki znają w Jerozolimie. Piekarnika nie miałem, ale opuszczając Jerozolimę kupiłem dwa kilogramy daktyli, które zamroziłem już po przyjeździe do Polski. I potwierdzam, nadziewana daktylami chałka to jest zupełnie osobne zjawisko.

Etiopski po jemeńsku

Moim kolejnym chlebowym przystankiem w Jerozolimie była mała piekarnia na Starym Mieście. Sprzedawca nie miał tam nic innego niż *mankish*. A ten był frapujący w swoim skromnym pięknie placka tłustego od oliwy i zielonego od za'haru. Tym razem próby rozmowy po angielsku skończyły się na wymianie liczebników. Wieczorem przeszukałem więc internet w celu znalezienia jakichkolwiek informacji o chlebie, który zaspokaja głód wszystkich w Jerozolimie niezależnie od wyznawanej przez nich religii.

To lewantyński przysmak, powstały, jak się przypuszcza, kilka tysięcy lat temu. O poranku przy wspólnym piecu spotykały się głównie kobiety. Ich zadaniem było przygotowanie ilości chleba wystarczającej, by wykarmić całą rodzinę. Małe kawałki ciasta wrzucały do pieca, aby stworzyć coś na kształt małej przekąski, słonej drożdżówki, którą można było wpakować w dłoń wszystkim głodnym w okolicy jako śniadanie. Nazwa pochodzi od arabskiego czasownika „*manqīshah*” oznaczającego grawerowanie. Chodzi o uformowanie placka w taki sposób, by w powstałych zagłębieniach zebrał się nadmiar oliwy. Panie wymyśliły przed wiekami coś, co skradło moje serce. Wpadałem więc do piekarni o najróżniejszych porach i za każdym razem wychodziłem ściskając w rękach tłusty kawałek chleba pachnący tymiankiem i oregano.

Pewnego dnia wybrałem się obejrzeć kościół Kidane Mehret należący do Etiopskiego Kościoła Prawosławnego Tewahedo, którego historia zaczyna się w I wieku. Został wybudowany w Jerozolimie według schematu wypracowanego w IV w., gdy chrześcijaństwo stało się religią państwową w Etiopii. Świątynię tego typu są złożone z trzech pierścieni. Zewnętrzny *qne mahilet* jest dostępny dla wszystkich. *Kidist* to miejsce wyłącznie dla tych, którzy przystępują do komunii, a kwadratowa kaplica pośrodku kościoła to *mekdes*, najświętsze miejsce, do którego wstęp mają tylko kapłani.

Kościół był w remoncie, ale dzień i tak okazał się owocny, bo gdy tylko obejrzałem dostępne części budynku i wyszedłem poza teren świątyni, w moim nosie pojawiły się aromaty chleba. Niewielki bar był po drugiej stronie ulicy. Okazało się, że miejsce prowadzi jemeński Żydzi, których głównym zajęciem jest sprzedawanie kanapek napchanych falafelem, czyli niewielkimi ko-



GRZEGORZ SLEMP / ADOBE STOCK

Challah, czyli chałka

tłecikami z ciecioriki. O tym, że jemeński falafel jest uznawany za jeden z najlepszych w Jerozolimie, już wiedziałem, więc zamówiłem kanapkę bez wahania. Na pytanie, w jakim chlebie chcę falafel, otworzyłem szeroko usta i oczy i... milczałem. To sprawdzona metoda, polecam. Nie czekałem długo, chłopak zaczął wybierać między pitą a *lahoh*. Zapytałem, co to jest *lahoh*.

– Płaski chleb, jak naleśnik. Takie placki smaży się w Etiopii – wykrzyknął machając ręką w kierunku kościoła, a ja uznałem to za wspaniały zbieg okoliczności. Potem dodał coś jeszcze o Somalii i Jemenie.

– Pełno ich też w Izraelu, gdzie pojawiły się razem z jemeńskimi Żydami, czyli nami – dodał. – W Jemenie *lahoh* to obowiązkowe pieczywo szabasowe. Na co dzień zaś podawano go w porze śniadania z miodem albo na obiad jako dodatek do zup. A my podajemy w nim falafel!

– Chcesz? – pytanie zawisło w powietrzu, więc pokiwałem głową z zachętą, bo liczyłem na to, że etiopski chleb usmażony przez jemeńczyków to będzie przygoda. I była! *Lahoh* to jeden z najlepszych płaskich chlebów, jakie jadłem w życiu. Smaży się je tylko z jednej strony, a druga, przypominająca swoją strukturą gąbkę, jest wewnętrzną stroną kanapki.

Widać było, że jestem zadowolony, więc uznał, że musi mnie wysłać do dzielnicy Rechavia, do jemeńskiej restauracji. Następnego dnia ruszyłem w kierunku zupełnie nieznanego mi dzielnicy.

Same dobre wróżby

Kiedy dotarłem na miejsce, okazało się, że restauracja jest pełna. Po kilku minutach zwolnił się mały stolik w kącie ogródka. Taka okazja mogła się nie powtórzyć. Przeglądając kartę zauważyłem, że spora część dań podawana jest w towarzystwie pikantnego sosu *zhug* z kolendry, papryki i czosnku, a także chleba *kubaneh*.

O tym bochenku nie wiem nic – pomyślałem i ułożyłem sobie w głowie zamówienie uwzględniające sporą ilość *kubaneh*. To szabasowe pieczywo – jak zdradziła mi kelnerka – często przygotowywane w dość cienkim metalowym garnku z pokrywką. Pierwsze bochenki *kubaneh* powstawały z mąki kuku-



BOAZ ROTTEN / ALAMY / BE&W

Bajgiel, ka'ak al Quds, czyli chleb z Jerozolimy

rydzianej, którą zamieniano na pszenną tylko w szabat. Zimą bywało, że dodawano do pieczenia tłuszcz barani, a latem – aromatyczną czarnuszkę. Piekło się go w niskiej temperaturze całą noc, a o poranku cieszone się smakiem świeżego chleba podawanego z jajkami.

Dziś *kubaneh* jest przygotowywany nie tylko od święta, a ci, którzy nie mają specjalnego naczynia, pieką go w zwykłej tortownicy. Coraz częściej też ten rodzaj chleba piecze się w wysokiej temperaturze, bo najważniejsza jest jego struktura, która nieco przypomina klasyczny płaski chleb skrzyżowany z francuską *brioche*. Bierze się to ze sporej ilości masła wsmarowywanej w surowe jeszcze ciasto.

Brioche przypominały również amerykańskie czekoladowe babki, które można kupić w dzielnicy ortodoksyjnych Żydów Me'a Sze'arim. Pani za ladą w piekarni była rumiana i okrągła niczym pączek, co uznałem za dobrą wróżbę. Pytania zadawałem między kolejnymi gryzami. Ustaliłem, że w środku jest trochę gałki muszkatołowej. Chwilę później potwierdziłem, że waniłi też wyczuwam całkiem słusznie. Po kolejnych pięciu kęsach uznałem, że dzieje się coś złego, bo serce mi przyspieszyło, a powieki zaczęły opadać. „Bez kawy nie dam rady – pomyślałem. – Cukier i gluten zaraz sprawią, że padnę tu jak Śpiąca Królewna”.

Oklamałem właścicielkę, że jestem już po śniadaniu i więcej nie zmieszczę. Zapakowałem babkę do torebki i ruszyłem w kierunku ulicy Jaffy. Wiedziałem, że to wystarczająco daleko, by spalić trochę kalorii, a do tego miałem nadzieję, że nie usnę, bo trudno iść i spać jednocześnie.

Po drodze mój mózg eksplodował od nadmiaru cukru. Był jak chomik w kołowrotku. Im szybciej pracował, tym bardziej się nakręcał. Przerobiłem historię kulinariów, wyciągając wnioski z fragmentarycznych informacji dotyczących bab i babek znanych z polskiej kuchni.

Baba rusza w świat

W XVII wieku w Polsce czasochłonne baby podawano tylko na dworach i w domach najbogatszych mieszczan. Wypiek na bazie ciasta uciaranego z kosmicznych ilości żółtek z dodatkiem szafranu sam w sobie był świadectwem bogactwa. Uzyskiwana z krokusów przyprawa świetnie się sprawdzała jako oznaka statusu oraz jako barwnik. Polskie baby podbarwiane szafranem stawały się złote, a kolor ten niemal zawsze i wszędzie kojarzono ze słonecznym blaskiem. To pewnie dlatego złote baby zadomowiły się na wiosennym, wielkanocnym stole.

W XIX wieku do dobrej jakości baby nadal potrzeba było kilkadziesiąt żółtek i misternego uciaranie połączonego z ubijaniem. Trwało to godzinami. Potem następowało garowanie. Później trzy kwadransy w gorącym piecu, a na koniec studzenie w pierzynie, by baba nie opadła. Zalecenia obejmowały również zachowania w kuchni, bo dobrze wiadano, że przy wyciąganiu baby z pieca najlepiej nie rozmawiać, mogła się bowiem obrazić i sięść, i to mimo przygotowanej pierzyny. Czasem babę kołysano w pościeli, jak dziecko.

W XIX wieku zdarzyło się coś jeszcze. Świat przyspieszył, a ludzie na potęgę ruszyli się z domów i zaczęli emigrować. Za chlebem, za pracą, za wolnością, ale też za miłością. Zwiększył się również dostęp do produktów. Dlatego na polskich stołach rozgościły się inne baby, przekładane serem albo dżemem. Gospodynie zaczęły piec także parzone i migdałowe, a o tych najbardziej tradycyjnych trochę zapomniano.

Popularność zyskały zwłaszcza baby piaskowe, pieczone z dodatkiem proszku do pieczenia, bo były tańsze i szybsze.

Baby ruszyły się z Europy Środkowej i Wschodniej i wyładowały w Ameryce, dokąd ich receptura trafiła razem z aszkenazyjskimi Żydami, którzy za babami przepadali. Należy pamiętać, że polska baba i żydowska baba to dwie różne sprawy. Usłyszałem klaksony, rozejrzałem się więc tylko odrobinnę nieprzytomny. Nie trąbili na mnie, więc wróciłem do rozważań.

Polska baba była z formy o karbowanych bokach, przywodzących na myśl falbany spódnicy. Żydzi piekli je po przepiecieniu ciasta tak, że nieco bardziej przypominało chałkę niż babkę. Po fali emigracji baby ewoluowały osobno. W bogatej Ameryce szybko porzucono banalne dżemy i babę przekładano kremem czekoladowym – tak powstał jeden z najsłynniejszych wypieków żydowskich piekarni nowojorskich. Do tego, że babka czekoladowa stała się szlagierem na międzynarodową skalę, przyłożyli się właściciele Green's Home Style Bakery z Brooklynu. Słynne zrobiły się też baby z Breads Bakery. Przekładano je różnie, czasem nawet serem i dżemem, co było ukłonem w stronę tradycji. Innym razem w ruch szły feta i *zat'har*, co było nowością.

Serce mi się nieco uspokoiło. Do kawiarni dotarłem w prawie normalnym stanie. Kawy nie posłodziłem, pozwoliłem jednak głowie dołożyć do zestawu jerozolimskich chlebów beduińskie placki pieczone na rozgrzanych kamieniach i wszechobecne pszenne pity. Pomyślałem wówczas, że zwykłe jedzenie jest w stanie opowiedzieć wiele interesujących historii i że nawet polityka nie zdoła go przed tym powstrzymać, a wniosek z mojej chlebowej epopei był prosty: Jerozolima i jej różnorodność to święto.

© BARTEK KIEŻUŃ

TOMASZ

Stawiszyński:

Przekroczyć próg uprzedzeń



W FERWORZE POLITYCZNYCH ROZLICZEŃ i zwykłej brutalizacji życia publicznego przemknęła ukradkiem 20. rocznica śmierci Jana Pawła II. Bilans? Kilka okolicznościowych tekstów, audycji i podcastów, jeden film dokumentalny na ekranach kin. Standar-

dowy rozkład: dekonstrukcja lub śmiech po stronie lewicy, idealizacja po stronie prawicy, a gdzieś między nimi pojedyncze próby niuansowania, jak choćby świetny artykuł Wojciecha Bonowicza z poprzedniego numeru „TP”, rozmowa Dominiki Wielowieyskiej z Adamem Michnikiem w „Gazecie Wyborczej” czy esej Arkadiusza Stempina opublikowany na łamach Oko.press.

Nawiasem mówiąc, zakrawa na paradoks, że jednym z najwytrwalszych obrońców dziedzictwa polskiego papieża, zwolennikiem ostrożności i detaliczności w krytyce jego dorobku, stał się człowiek długo uważany przez znaczną część wierzących (i hierarchów) za zdecydowanego wroga Kościoła. Tymczasem dzisiaj to Adam Michnik nawołuje do powściągnięcia rewolucyjnego ferworu, uwzględniania dziejowego kontekstu czy uruchamiania wyobraźni w miejsce moralistycznej sztampy rozszepiającej rzeczywistość na czerni i biel.

W każdym razie jest coś przynębiającego zarówno w pragnieniu pełnej dekompozycji wizerunku Jana Pawła II, zredukowania go li tylko do wad, błędów, przewin czy zaniedbań, jak w uporczywym niedopuszczaniu do wiadomości jego najdrobniejszych nawet skaz. Jest coś przynębiającego w płynącym w mediach społecznościowych potoku chamskich tekstów czy memów, obliczonych na tanie obrazoburstwo, wulgarnych i brutalnych w sposób przekraczający granice przyzwoitości (nawiasem mówiąc, radośnie propagowanych także przez ludzi, którzy uważają się za wojujących z przemocą, dyskryminacją i opresją w każdej, również symbolicznej, postaci). Zarazem jest coś przynębiającego w uporczywej pomnikomanii, kurczowym trzymaniu się złotej legendy, unikaniu konfrontacji z realiami życia konkretnej osoby, a nie baśniowej figury unoszącej się kilka centymetrów nad ziemią.

Bonowicz pisze o „znikaniu” papieża, o przykrywaniu go kolejnymi warstwami kostiumów szytych na takie lub inne zamówienie, czasami polityczno-ideologiczne, a czasami emocjonalne. Tymczasem przyjrzenie się dziedzictwu JPPII, a przede

wszystkim niektórym jego tekstom, mogłoby być całkiem inspirujące. Np. dwóm encyklikom traktującym nie o kontrowersyjnych ponad miarę zagadnieniach bioetycznych, lecz o relacjach wiara–rozum (Fides et ratio) czy antropologii pracy (Laborem exercens). Albo rozmowom, które z papieżem Polakiem przeprowadził w latach 90. ubiegłego wieku Vittorio Messori, opublikowanym w tomie „Przekroczyć próg nadziei”. Pamiętam intensywną dyskusję, jaka się wokół tej książki toczyła ongiś na łamach „brulionu” – z udziałem przedstawicieli radykalnie różnych środowisk. Po trzech dekadach od wydania można by znowu do niej sięgnąć, choćby po to, żeby... przekroczyć próg uprzedzeń wobec autora. Tak pozytywnych, jak negatywnych, oczywiście.

Jan Paweł II wyjątkowo dobrze się do tego nada. Właśnie z powodu swoich niejednoznaczności – życiowych, myślowych i historycznych. Wbrew pozorom, był to przecież człowiek o wyjątkowo skomplikowanym życiorysie, który odegrał w swojej epoce (czy w ogóle: w dziejach) rolę fundamentalną. Heroizm miesza się w nim z tragizmem, wielkość z bezradnością, imponderabilia z ułomnościami ludzkiej natury. Był to także człowiek niedający się łatwo wpisać w proste podziały. Dowodem choćby ta okoliczność, że najbardziej prawicowo-konserwatywnie nastawiona część katolików nie nosi go dziś wcale na sztandarach. Przeciwnie: widzi go raczej jako destruktora zdrowej tkanki wiary, progresistę i głównego rozmydlającego, nie zaś skrajnego przedstawiciela kościelnej konserwy, co mu z kolei imputują mieszkańcy bańki lewicowo-liberalnej.

Już tylko to, że się kogoś krytykuje z równą zapalczywością w biegunowo odmiennych sferach politycznego i światopoglądowego spektrum, świadczy niechybnie, że warto mu się bliżej przyjrzeć. Ale w tym przypadku powód jest jeszcze jeden, niebagatelny. Mianowicie – specyficzne, a nieoczywiste podobieństwo czasów, w których żył, działał i myślał Jan Paweł II, do czasów, w których ja piszę, a Państwo czytacie te słowa. Ekonomiczna brutalność, wyzysk, widma i realia totalitaryzmów, duchowa pustka i deficyt sensu, prymat grupy nad jednostką – mamy tego dookoła mnóstwo. Dlaczego by więc nie zajrzeć do tekstów Karola Wojtyły, które w sposób bezpośredni dotyczą tych zagadnień? Że okoliczności mamy zupełnie inne, że chrześcijaństwo jest na słabszej niż wówczas pozycji, że wreszcie co niewierzącym po rozważaniach ściśle religijnych? Wszystko to prawda, niemniej podobieństw jest co najmniej tyle samo, ile różnic, a wysokim deliberacjom teologicznym towarzyszy tam namysł nad ludzką naturą, życiem społecznym, dobrem i złem, odpowiedzialnością czy przenikaniem się sfery moralnej i politycznej. Takiego namysłu zdecydowanie nam dzisiaj potrzeba, czemu by więc nie skorzystać i z takich zasobów?

No właśnie, czemu by nie?

©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.



Stany Zjednoczone

WYCIEZKI OBJAZDOWE

Będzie co wspominać



Poleć bezpośrednio z Warszawy

NOWY CITROËN C4

BYĆ MOŻE NAJBARDZIEJ KOMFORTOWE AUTO WE WSZECHŚWIECIE



LEASING 102,9% UBEZPIECZENIE ZA 1 ZŁ

DOSTĘPNY RÓWNIEŻ W WERSJI ELEKTRYCZNEJ

Oferta leasingowa dotyczy modeli Citroën i jest skierowana do przedsiębiorców. Założenia przyjęte do komunikowanego całkowitego kosztu leasingu od 102,9% to: okres 24 miesiące, wpłata własna 45%, wykup 19%. Szczegóły oferty znajdują Państwo u Autoryzowanego Dealera Citroëna. Niniejsza informacja nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego. Zgoda na udzielenie leasingu jest uzależniona od zdolności kredytowej klienta ustalonej zgodnie z procedurami Leasingodawcy.

Pakiet ubezpieczeń OC/AC za 1 zł. Ubezpieczenie OC/AC/NNW/Assistance dla pojazdów w pierwszym roku eksploatacji. Stała suma ubezpieczenia fabrycznie nowego pojazdu przez okres 12 miesięcy, brak konsumpcji sumy ubezpieczenia oraz udziału własnego w przypadku wystąpienia szkody, zniesiona zwyżka w przypadku pojazdów będących własnością (lub współwłasnością) osób fizycznych w wieku do 29 lat, naprawa samochodu w Autoryzowanym Serwisie Obsługi Citroën, z zastosowaniem części oryginalnych. Pakiet ubezpieczeń dostępny za 1 zł w przypadku skorzystania przez Klienta z oferty zamówienia pojazdu online lub u Dealera. Istnieje możliwość rozszerzenia ochrony o opcje dodatkowe – zwyżki z tytułu użytkowania oraz rozszerzenia ochrony dopłaca Klient zgodnie z tabelą zwyżek i zniżek. Oferta dotyczy tylko samochodów nowych. Szczegóły dotyczące promocji dostępne w salonach Citroën.

Pakiet Citroën, We Care obejmuje 2 lata standardowej gwarancji umownej producenta na nowy pojazd oraz po jej upływie, do 6 lat dodatkowej, bezpłatnej Specjalnej Ochrony, aktywowanej w przypadku podjęcia decyzji o serwisowaniu samochodu w sieci Citroën przez serwis uczestniczący w programie zgodnie z przedstawionym planem serwisowym. Specjalna Ochrona jest ważna do następnego zaplanowanego przeglądu i do 8 lat lub 160 000 km, w zależności od tego, co nastąpi wcześniej, zgodnie z warunkami programu. Ochrona obowiązuje dla wszystkich samochodów osobowych zakupionych jako nowe od 10 stycznia 2025 r., niezależnie od rodzaju silnika i źródła napędu (z wyjątkiem Ami). Jej zakres obejmuje najważniejsze komponenty pojazdu, takie jak: silnik, skrzynię biegów czy układ przeniesienia napędu. Zapoznaj się z warunkami programu na stronie: <https://www.citroen.pl/serwis/citroen-we-care.html>.

Zużycie paliwa/energii (ważone), cykl mieszany: 5,9 l/100 km (wersje benzynowe), 4,7-4,8 l/100 km (wersje hybrydowe), 14,5-15,5 kWh/100 km (wersje elektryczne). Emisja CO₂ (wartość uśredniona): 133-134 g/km (wersje benzynowe), 106-108 g/km (wersje hybrydowe), 0 g/km (wersje elektryczne). Wartości zużycia paliwa i energii oraz emisji CO₂ określone zostały na podstawie pomiarów w cyklu WLTP.

Do **8** lat
Citroën, We Care
gwarancji



CITROËN